



ANNE RICE

Pokuta

WYDAWNICTWO
otwarte



ANNE RICE

Pokuta

WYDAWNICTWO
otwarte

Anna Rice

POKUTA

Spis treści

ROZDZIAŁ 1 ODCIENIE ROZPACZY

ROZDZIAŁ 2 O MIŁOŚCI I LOJALNOŚCI

ROZDZIAŁ 3 ŚMIERTELNY GRZECH I TAJEMNICA

ROZDZIAŁ 4 MALACHIASZ WYJAWIA MI MOJĄ HISTORIĘ

ROZDZIAŁ 5 ANIELSKA PIEŚŃ

ROZDZIAŁ 6 TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE LEI

ROZDZIAŁ 7 MEIR I FLURIA

ROZDZIAŁ 8 LUDZKA NIEDOLA

ROZDZIAŁ 9 WYZNANIE FLURII

ROZDZIAŁ 10 FLURIA OPOWIADA DALEJ

ROZDZIAŁ 11 FLURIA KONTYNUUJE SWOJĄ OPOWIEŚĆ

ROZDZIAŁ 12 ZAKOŃCZENIE HISTORII FLURII

ROZDZIAŁ 13 PARYŻ

ROZDZIAŁ 14 ROSA

ROZDZIAŁ 15 PROCES

ROZDZIAŁ 16 DOŚĆ CZASU I ŚWIATA

OD AUTORKI

ANNE RICE

Powieść tę dedykuję

Christopherowi Rice, Karen O'Brien, Sue Tebbe, Becketowi Ghioto oraz pamięci Alice O'Brien Borchardt, mojej siostry

„Strzeżcie się, żebyście nie gardzili żadnym z tych małych;

albowiem powiadam wam: Aniołowie ich w niebie

wpatrują się zawsze w oblicze Ojca mojego,

który jest w niebie”.

Mt 18,10

„Tak samo, powiadam wam, radość powstaje

u aniołów Bożych z jednego grzesznika,

który się nawraca”.

Łk 15,10

„[...] bo swoim aniołom dał rozkaz o tobie,

aby cię strzegli na wszystkich twych drogach.

Na rękach będą cię nosili,

abyś nie uraził swej stopy o kamień”.

ROZDZIAŁ 1

ODCIENIE ROZPACZY

Od samego początku miałem złe przeczucia.

Przede wszystkim nie chciałem przyjąć zlecenia w Mission Inn.

Wszędzie, byle nie tam. I to na dodatek w apartamencie dla nowożeńców, w tym specjalnym pokoju, w moim pokoju. Trudno o większego pecha, myślałem.

Oczywiście mój szef, którego nazywałem Panem Sprawiedliwym, nie mógł wiedzieć, że to właśnie do Mission Inn uciekałem, gdy nie chciałem być Luckym Szczwanym Lisem, jego płatnym zabójcą.

Ten hotel był jednym z niewielu miejsc, w których nie potrzebowałem kamuflażu. Przekraczałem jego próg jako zwykły facet mający mniej więcej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, krótkie jasne włosy i szare oczy – facet, który nie wyróżnia się niczym z tłumu. Nie zadawałem sobie nawet trudu zakładania aparatu na zęby, by zmienić swój sposób mówienia, ani nieodłącznych okularów przeciwsłonecznych, za którymi ukrywałem się zawsze, z wyjątkiem chwil spędzanych w domu i jego najbliższej okolicy.

Goszcząc w Mission Inn, pokazywałem swoją prawdziwą twarz, którą gdzie indziej skrywałem pod wymyślnymi maskami, zmienianymi w zależności od zleceń Pana Sprawiedliwego. Uważałem to miejsce, a w szczególności usytuowany pod kopułą apartament dla nowożeńców, zwany Amistad Suite, za swój teren i właśnie otrzymałem polecenie splugawienia go raz na zawsze. Rzecz jasna, było to moje osobiste odczucie. Nie chciałem wyrządzić żadnej szkody hotelowi Mission Inn. To właśnie w tym wystawnym, zapierającym dech w piersiach budynku, zajmującym dwa kwartały kalifornijskiego miasta Riverside, mogłem przez dzień czy dwa udawać, że nie jestem poszukiwany przez FBI, Interpol ani nawet Pana Sprawiedliwego, i uciszyć wyrzuty sumienia.

Podróże do Europy już dawno stały się dla mnie zbyt niebezpieczne ze względu na zaostrzone procedury bezpieczeństwa na każdym punkcie kontrolnym, a także dlatego, że depczące mi po piętach agencje rządowe oskarżały mnie o popełnienie każdego morderstwa, którego sprawcy nie znaleziono.

W Mission Inn znajdowałem to, co tak kochałem w Sienie, Asyżu, Wenecji i Pradze, do których nie miałem już wstępu. Oczywiście była to namiastka, pozwalała mi się jednak wyciszyć i odzyskać na pewien czas upragniony spokój ducha. Istniało co prawda kilka innych miejsc, w których równie łatwo mi było zachować anonimowość, lecz ten hotel był najlepszym z nich i dlatego do niego wracałem. Znajdował się niedaleko mojego domu, o ile można go tak nazwać. Nocowałem w Mission Inn za każdym razem, gdy odczuwałem taką potrzebę, a mój apartament był akurat wolny. Lubiałem też inne pokoje, szczególnie ten zwany Apartamentem Gospodarza, lecz wolałem zaczekać na Amistad. Od czasu do czasu obsługa hotelu dzwoniła na jedną z wielu używanych przeze mnie komórek z informacją, że pokój może być mój.

Zdarzało mi się mieszkać w nim nawet tydzień. Zabierałem wtedy z sobą lutnię i brzdąkałem na niej, gdy przysła mi ochota. Zawsze brałem także stertę książek, przeważnie historycznych, dotyczących renesansu, średniowiecza, wieków ciemnych i starożytnego Rzymu. Spędzałem w Amistad długie godziny i zatapiając się w lekturze, doznawałem niezwykłego stanu spokoju i ukojenia.

Mieszkając w Mission Inn, wybierałem się na wycieczki do swoich ulubionych miejsc.

Jednym z nich było miasteczko Costa Mesa, w którym słuchałem –

również niezamaskowany – koncertów orkiestry Pacific Symphony. Podobał

mi się kontrast między stiukowymi sklepieniami i zardzewiałymi dzwonami w hotelu a porażającą ogromem pleksiglasową salą koncertową Segerstrom oraz urzekającą Cafe Rouge na pierwszym piętrze. Wyglądając przez faliste, wysokie okna restauracji można było odnieść wrażenie, że się lewituje. Zawsze gdy jadłem tam obiad, czułem się tak, jakbym unosił się w czasie i przestrzeni, odcięty od zła i brzydoty tego świata, cudownie sam.

W tamtej właśnie sali koncertowej wysłuchałem niedawno Święta wiosny Strawińskiego i zakochałem się w tej muzyce od pierwszego, przepelnionego szaleństwem dźwięku. Przypomniałem sobie, że po raz pierwszy usłyszałem ją dziesięć lat temu, dokładnie w noc poznania Pana Sprawiedliwego. To wspomnienie zmusiło mnie do przemyślenia mojego życia, tego wszystkiego, co się wydarzyło w ciągu ostatniej dekady, spędzonej na przenoszeniu się z miejsca na miejsce i wyczekiwaniu na dzwonek telefonu, zawsze oznaczający dla kogoś wyrok śmierci, który ja musiałem wykonać.

Nigdy nie mordowałem kobiet, przynajmniej od chwili, gdy stałem się sługą, niewolnikiem, czy może rycerzem Pana Sprawiedliwego, w zależności od sposobu postrzegania naszego układu. Pan Sprawiedliwy nazywał mnie swoim rycerzem, ja natomiast nie widziałem niczego wzniesłego w tym, co robię. Dziesięć lat okazało się czasem zbyt krótkim, bym przyzwyczaił się do tej roli.

Kiedy gościłem w Mission Inn, zdarzało mi się też zapuszczać na południe, do położonej bliżej wybrzeża misji San Juan Capistrano – kolejnego sekretnego miejsca, w którym doznawałem uczucia anonimowości, a czasem nawet szczęścia.

San Juan Capistrano, w przeciwieństwie do hotelu, jest prawdziwą misją. Mission Inn stanowi wyłącznie hołd złożony architekturze i dziedzictwu działalności misyjnej.

Przemierzyłem rozległe ogrody Capistrano wzdłuż i wszerz, odwiedziłem otwarte krużganki, a przede wszystkim wąską i mroczną Serra Chapel –

najdawniej konsekrowaną katolicką kaplicę w stanie Kalifornia. Byłem pod wielkim wrażeniem tego przybytku również dlatego, że było to jedyne na całym wybrzeżu sanktuarium, o którym z całą pewnością wiadano, że błogosławiony Junipero Serra, franciszkanin, odprawił w nim mszę świętą.

Niewykluczone, a nawet pewne jest, że odprawiał msze w wielu kaplicach misyjnych, lecz tylko w tej zrobił to na pewno.

W przeszłości zdarzyło mi się kilkakrotnie pojechać na północ, do misji w Carmel, gdzie miałem okazję zobaczyć zrekonstruowaną celę, w której mieszkał Junipero Serra. Za każdym razem dumiałem nad surowością wystroju, na który składało się krzesło, wąskie łóżko i wiszący na ścianie krzyż

– wszystko, czego święty potrzebował do życia. Nie sposób też zapomnieć o refektarzu i muzeum w San Juan Bautista oraz o pozostałych misjach, odrestaurowanych z dbałością o najdrobniejszy szczegół.

W dzieciństwie przez krótki czas pragnąłem zostać duchownym, a ściślej mówiąc, dominikaninem. Dominikanie i franciszkanie z misji kalifornijskich złączyli się w moich wyobrażeniach w jedno, ze względu na podobny charakter posługi: były to zakony żebracze, siłą rzeczy darzyłem je więc równym szacunkiem. Jakaś część mnie pozostała wierna dawnemu marzeniu.

Wciąż zaczytuję się książkami o dominikanach i franciszkanach. Ze szkolnych lat zachowałem starą biografię Tomasza z Akwinu, osianą odręcznymi notatkami. Lektura książek historycznych zawsze dawała mi ukojenie, przenosząc w czasy, do których nie można się było cofnąć. To samo dotyczyło misji – reliktu przeszłości.

W swoich podróżach najczęściej wracałem do Serra Chapel w San Juan Capistrano. Nie robiłem tego ze względu na cechującą mnie w dzieciństwie religijność – wiedziałem, że nie ma do niej powrotu. Pragnąłem tylko przypomnieć sobie ścieżki, którymi szedłem jako chłopiec. A może raczej stąpać po tej samej uświęconej ziemi, co pielgrzymi i święci, którym na co dzień nie poświęcałem zbyt wiele czasu.

Podobał mi się belkowany sufit i pomalowane ciemną farbą ściany Serra Chapel. Przebywając w mrocznym wnętrzu, rozjaśnionym tylko blaskiem złocistego, znajdującego się w przeciwległym końcu kaplicy retabulum –

stojącej za ołtarzem konstrukcji złożonej z obrazów i figur świętych – czułem spływający na mnie spokój. Zachwyciło mnie również czerwone światło płonące w tabernakulum po lewej stronie ołtarza. Zdarzało mi się korzystać z ustawionych przed nim klęczników, przeznaczonych pewnie dla pary młodej.

Złote retabulum, zwane również reredos, nie mogło się tu znajdować w początkach franciszkańskiej działalności. Pojawiło się później, podczas restauracji kaplicy, lecz mimo to wierzyłem w jego autentyczność. Znajdował

się tu Najświętszy Sakrament, który – niezależnie od stanu mojej wiary – miał

dla mnie szczególne znaczenie.

Czym to tłumaczyłem?

Podczas każdej wizyty w kaplicy długo klęczałem, spowity półmrokiem, a przed wyjściem zapalałem świecę, choć nie potrafiłbym wskazać konkretnej intencji. Być może szeptałem coś w rodzaju: Cześć waszej pamięci, Emily i Jacobie, lecz nie była to modlitwa. Przestałem w nią wierzyć, podobnie jak

w pamięć.

Pociągały mnie rytuały, pomniki i wszystko, co pozwalało mi lepiej zrozumieć otaczający mnie świat. Intrygowała historia zapisana w książkach, budynkach, malowidłach, lecz wierzyłem w niebezpieczeństwo i wierzyłem w słusność zabijania ludzi za każdym razem, gdy zlecał mi to mój szef, w głębi duszy nazywany przeze mnie po prostu Panem Sprawiedliwym.

Podczas ostatniej wizyty w misji, ledwie miesiąc temu, spędziłem wyjątkowo dużo czasu, spacerując po ogromnym ogrodzie. Nigdy nie widziałem tylu gatunków kwiatów w jednym miejscu. Były to nowoczesne odmiany róż o wyszukanych kształtach, a także starsze gatunki rozwinięte na wzór kamelii, był tam też powój, lantana oraz największe, jakie kiedykolwiek widziałem, skupisko błękitnych ołowników. W ogrodzie rosły również słoneczniki, drzewka pomarańczowe i stokrotki, pośród których można się było przechadzać jedną z szerokich, świeżo wybrukowanych ścieżek.

Dużo czasu spędziłem też w pobliskich krużgankach, zachwycając się starożytnymi nierównymi kamiennymi posadzkami. Lubiłem patrzeć na świat spod okrągłych łukowych sklepień, gdzie zawsze odczuwałem spokój. Taki rodzaj sklepienia kojarzył mi się zarówno z misjami, jak i z Mission Inn.

Szczególnością przyjemności sprawiała mi myśl, że misja Capistrano była dokładnym odwzorowaniem jednego ze starożytnych, rozsianych po całym świecie klasztorów. Tomasz z Akwinu, bohater moich dziecięcych lat, spędził

pewnie wiele godzin, przemierzając podobne budowle, ścieżki i zapierające dech w piersi ogrody. Przez lata zakonnicy założyli wiele takich miejsc, w nadziei, że cegła i zaprawa murarska powstrzymają inwazję wrogiego świata oraz zapewnią ochronę nie tylko im, lecz także uczonym księgom, które wyszły spod ich ręki.

Dużo czasu spędziłem na gruzach porażającego swym majestatem kościoła w Capistrano. Trzęsienie ziemi w roku 1812 zniszczyło go prawie zupełnie, pozostawiając pozbawiony dachu szkielet ziejący pustką nisz.

Przypatrywałem się rozrzuconym gdzieś tam szczątkom ścian, w poszukiwaniu jakiegoś przekazu, który słyszałem w dźwiękach Święta wiosny.

Szukałem drogowskazu pośród zgliszczy własnego życia. Byłem rozdarty i sparaliżowany niemocą, jakbym to ja przeżył trzęsienie ziemi. Dręczyła mnie świadomość własnych słabości. Starłem się zaakceptować swój los, co nie jest rzeczą łatwą, szczególnie gdy się nie wierzy w przeznaczenie.

Podczas ostatniej wizyty w Serra Chapel rozmawiałem z Bogiem o tym, jak bardzo Go nienawidzę za to, że nie istnieje. Powiedziałem mu, że stwarzanie iluzji czegoś odwrotnego jest wstrętne i nieuczciwe wobec ludzi, w szczególności dzieci, i za to również nim gardzę.

Wiem, wiem, że to bez sensu. Robiłem wiele kompletnie pozbawionych sensu rzeczy, takich jak zabijanie ludzi. Pewnie dlatego coraz częściej przemierzałem te same miejsca, wolny od zakładanych na co dzień masek.

Wiem, że bez przerwy czytałem historyczne książki, jakbym ufał w odwieczną boską ingerencję dla dobra ludzi, choć w nią nie wierzyłem. Mój umysł stał się istną skarbnicą wiedzy na temat przypadkowych, znanych z historii faktów i postaci. Dlaczego zabójca zajmował się czymś takim?

Cóż, nie można być płatnym zabójcą od rana do nocy. Niezależnie od zawodu, jaki wykonywałem, czasami do głosu dochodziła spragniona normalności ludzka część mojej natury. Wówczas zatapiałem się w lekturze książek historycznych i jeździłem w miejsca, o których czytałem z wypiekami na twarzy. To pozwalało mi się skupić na czymś innym niż poczucie pustki lub ja sam.

Wygrazanie Bogu pięścią za otaczający mnie bezsens również pomagało.

Chociaż nie istniał naprawdę, w chwilach gniewu nawiązywałem z Nim kontakt i lubiłem te momenty wypełnione iluzją, która kiedyś znaczyła dla mnie tak wiele, a teraz wywoływała już tylko wściekłość.

Być może ludzie wychowani w rodzinach katolickich pozostają wierniejsi religijnym rytuałom. Żyjąc od pokoleń w teatrze wyobraźni, trudno z niego uciec i wydostać się spod wpływu mającej dwa tysiące lat tradycji, w której się dorastało. Większość Amerykanów uważa, że świat powstał w dniu ich narodzin, lecz katolicy sięgają dalej, aż do Betlejem i czasów je poprzedzających. Podobnie Żydzi, nawet nieortodoksyjni, pamiętają o ucieczce z egipskiej niewoli i wcześniejszych obietnicach złożonych Abrahamowi. Patrząc na rozgwieżdżone niebo czy piaszczystą plażę, nie potrafiłem zapomnieć o prorocztwie dotyczącym przyszłego potomstwa Abrahama i niezależnie od tego, w co wierzyłem, pozostawał on ojcem ludu, do którego wciąż należałem bez własnej winy czy zasługi.

„Będę ci błogosławił i dam ci potomstwo tak liczne jak gwiazdy na niebie i jak ziarnka piasku na wybrzeżu morza”.

Na tym właśnie polega siła spektaklów wystawianych w teatrze ludzkiej wyobraźni, nawet jeśli się już przestało utożsamiać z jego widownią i reżyserem.

Na samą myśl o tym pokręciłem głową i roześmiałem się głośno, jak szaleniec, medytując na klęczkach w Serra Chapel, ukryty w słodkim, rozkosznym półmroku.

Przyczyną tak irracjonalnego zachowania podczas ostatniej mojej wizyty było to, że minęło niemal równo dziesięć lat, odkąd zacząłem pracować dla Pana Sprawiedliwego. Szef nie zapomniał o rocznicy, choć nigdy wcześniej nie słyszałem, by je obchodził, i na moje szwajcarskie konto, na które najczęściej otrzymywałem zapłatę, przelał hojną premię.

Podczas naszej rozmowy poprzedniego wieczoru powiedział:

– Gdybym znał cię choć trochę, Lucky, zamiast gotówki dostałbyś ode mnie bardziej osobisty prezent. Wiem tylko, że lubisz grać na lutni, a gdy byłeś chłopcem, nie wypuszczałeś jej z rąk. Tak mi mówiono. Gdyby nie twoja miłość do muzyki, być może nigdy by nie doszło do naszego spotkania. Czy wiesz, ile czasu minęło od chwili, gdy widzieliśmy się po raz ostatni? A jednak wciąż nie tracę nadziei, że pewnego dnia mnie odwiedzisz, razem ze swoim cennym instrumentem, a gdy już to zrobisz, poproszę, byś mi zagrał. Do diabła, Lucky, nie wiem nawet, gdzie teraz mieszkasz.

Temat ukrywania przeze mnie adresu często przewijał się w naszych rozmowach. Pan Sprawiedliwy tłumaczył to sobie pewnie moim brakiem zaufania i w głębi duszy bał się, że praca niszczy miłość, jaką go darzyłem.

Chodzi o to, że naprawdę mu ufałem i nikogo nie kochałem równie mocno jak jego. Nie chciałem po prostu, by ktokolwiek wiedział, gdzie mieszkam.

Żadnego z miejsc pobytu nie traktowałem jak domu i przeprowadzałem się dość często. Zawsze zabierałem z sobą tylko lutnię, książki i oczywiście moją skromną garderobę.

W erze telefonów komórkowych i internetu łatwo było zmylić trop, ale z drugiej strony trzeba było być na każde zawołanie zawieszzonego w elektronicznej próżni głosu.

– Możesz się ze mną skontaktować o każdej porze dnia i nocy –

przypomniałem mu. – Nieważne, gdzie mieszkam. Skoro dla mnie nie ma to znaczenia, to tym bardziej dla ciebie.

Może kiedyś prześlę ci swoje nagranie. Zdziwisz się, ale brzdąkanie na lutni nadal niezłe mi wychodzi.

W słuchawce rozległ się śmiech. Dopóki odbierałem jego telefony, nie mógł mi nic zarzucić.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? – spytałem.

– Nie, podobnie jak ja nigdy nie zawiodłem ciebie – odparł. – Po prostu chciałbym się z tobą częściej widywać. Do diabła, możesz być teraz wszędzie, choćby w Paryżu lub Amsterdamie.

– Ale nie jestem i doskonale o tym wiesz. Przekraczanie granicy stało się zbyt ryzykowne. Tkwię w Stanach od czasu ataków na WTC. Jestem bliżej, niż myślisz, i pewnego dnia cię odwiedzę, tylko jeszcze nie teraz. Może nawet zaproszę cię na obiad? Usiądziemy przy stoliku w restauracji jak normalni ludzie. Jednak na razie nie jestem w nastroju, za bardzo lubię swoją samotność.

W dniu rocznicy nie dostałem żadnego nowego zadania, mogłem więc zostać w Mission Inn, a następnego ranka pojechać do San Juan Capistrano.

Nie było sensu wyjaśniać Panu Sprawiedliwemu, że mieszkam w cichej zadrzewionej części Beverly Hills, a w przyszłym roku mogę wylądować na spalonej słońcem pustyni w Palm Springs. Nie widziałem również potrzeby dzielenia się z nim informacją, że nie zawracam sobie głowy kamuflażem, przebywając w tym miejscu albo w okolicy, która znajduje się zaledwie godzinę drogi od Mission Inn.

To właśnie ten hotel – w Riverside, w stanie Kalifornia – stanowił dla mnie jedyny stały punkt odniesienia. Byłem gotów przejechać cały kraj, by się tam znaleźć. Mission Inn był miejscem, do którego wracałem najchętniej.

Tamtego wieczoru Pan Sprawiedliwy wydawał się szczególnie rozmowny.

– Kilka lat temu kupiłem ci wszystkie dostępne na rynku nagrania muzyki na lutnię i najlepszy instrument. Zapłaciłem za wszystkie książki, które zapragnąłeś przeczytać, do diabła! Czy nadal tyle czytasz, Lucky? Wiesz, że powinieneś mieć możliwość, by się lepiej wykształcić. Może poświęciłem ci za mało uwagi?

– Niepotrzebnie się zamartwiasz, szefie. Mam tyle książek, że nie wiem już, co z nimi robić. Dwa razy w miesiącu podrzucam pełne pudło jakiejś bibliotece. Niczego mi nie brakuje.

– A co powiedziałbyś na penthouse w miłej okolicy, Lucky? Albo jakieś rzadkie wydania książek? Musi istnieć coś, co mógłbym ci ofiarować zamiast pieniędzy. Penthouse to dobry, bezpieczny wybór. Im wyżej, tym bezpieczniej.

– Bezpiecznie pośród chmur? – zdziwiłem się.

Moje mieszkanie w Beverly Hills było co prawda pent- housem, lecz budynek miał tylko pięć pięter.

– Do penthouse’ów można się dostać na dwa sposoby, szefie –

powiedziałem – a ja nie lubię się czuć jak w potrzasku. Moja odpowiedź brzmi więc: Nie, dziękuję.

U siebie czułem się wystarczająco bezpiecznie. Ściany mieszkania, od podłogi po sufit, pokryte były książkami na temat każdej epoki poprzedzającej dwudziesty wiek.

Od dawna wiedziałem, dlaczego kocham właśnie tę dziedzinę nauki: historycy wydawali mi się tacy logiczni, poukładani, spełnieni. Brali na warsztat całe stulecie i nadawali mu znaczenie, ferowali sądy o jego charakterze i losie – oczywiście często błędne. Mimo to chętnie oddawałem się samotnej lekturze i wierzyłem, że wiek czternasty naprawdę był „odległym zwierciadłem”, żeby przywołać znany tytuł, a kolejne okresy historyczne istniały wyłącznie po to, by późniejsze pokolenia czerpały z nich wiedzę.

Czytanie stanowiło znakomitą rozrywkę zarówno w Mission Inn, jak w moim apartamencie. Lubiałem tu być z wielu względów. Wolny od konieczności kamuflażu, czerpałem przyjemność ze spacerów po miłej, cichej okolicy i posiłków w hotelu Four Seasons.

Również tam zdarzało mi się wynajmować pokój wyłącznie po to, by poczuć się kimś innym. Miałem swój ulubiony apartament z długim granitowym stołem i czarnym fortepianem. Mieszkając w nim, grywałem na fortepianie, a czasem nawet śpiewałem głosem, który był ledwie cieniem moich dawnych zdolności wokalnych.

Kilka lat temu sądziłem, że na zawsze związę swoje życie ze śpiewem. To właśnie muzyka odciągnęła mnie od planów zostania dominikaninem, choć pewną rolę odegrało również dojrzewanie oraz pociąg do dziewcząt i światowego życia. Cudowny dźwięk lutni zawładnął moją dwunastoletnią duszą. Myślę, że grając na tak urzekającym instrumencie, czułem się lepszy od dzieciaków z garażowych kapel.

Wszystko to, nie wyłączając dawno rzuconej w kąut lutni, od dziesięciu lat było wspomnieniem. Obchodziliśmy okrągłą rocznicę naszej współpracy, a ja wciąż nie chciałem zdradzić Panu

Sprawiedliwemu swojego adresu.

– Co mógłbym ci dać? – naciskał. – Kilka dni temu zajrzałem do antykwariatu, całkiem zresztą przypadkowo. Wałęsałem się po Manhattanie, wiesz, że lubię się włóczyć bez celu, i tam właśnie natknąłem się na niezwykle piękną książkę z czasów średniowiecza...

– Szeffie, niczego mi nie potrzeba – przerwałem mu i odłożyłem słuchawkę.

Następnego dnia w Serra Chapel, w poświęceniu czerwonego migoczącego na ołtarzu światła, opowiedziałem o tym Bogu, który nie istnieje. Wyznałem mu, że jestem potworem, żołnierzem bez wojny, samowładnym katem, śpiewakiem, który nigdy nie wydobył z siebie głosu – jakby Go to obchodziło.

Później zapaliłem świecę w intencji Nicości, w której pograżyło się moje życie.

– Ta świeca jest... za mnie.

Wydaje mi się, że tak właśnie powiedziałem, ale nie jestem pewien.

Wiem na pewno, że mówiłem zbyt głośno, bo ludzie zaczęli mi się przyglądać.

Zdumiało mnie to, bo rzadko ktoś zwraca na mnie uwagę.

Nawet przebierałem się za osoby nijakie, trudne do opisanía.

Byłem konsekwentny w swoich działaniach, choć wątpię, by ktokolwiek to zauważył. Nakładałem na włosy zbyt dużą ilość żelu i nigdy nie zapominałem o dużych, ciemnych okularach, czapce z daszkiem i skórzanej kurtce pilotce. Utykałem też przy chodzeniu, raz na prawą, raz na lewą nogę.

To wszystko czyniło mnie niewidzialnym. Zanim pojawiłem się w Mission Inn bez kamuflażu, kilkakrotnie nocowałem tam w różnych przebraniach i za każdym razem meldowałem się pod innym nazwiskiem. Poszło jak po maśle.

Kiedy w hotelu pojawił się prawdziwy Lucky Szczwany Lis, alias Tommy Crane, nikt go nie rozpoznał. Opanowałem sztukę kamuflażu do perfekcji. Dla tropiących mnie agentów nie byłem człowiekiem, lecz modus operandi.

Opuszczałem Serra Chapel dręczony wściekłością pomieszaną z niepewnością i smutkiem. Moje nerwy kołło jedynie wspomnienie dnia spędzonego w urokliwym miasteczku San Juan Capistrano i zakup figurki Najświętszej Panienki w sklepie z pamiątkami na terenie misji, tuż przed jego zamknięciem. Było w niej coś niezwyklego. Gipsowy posążek przedstawiał

Maryję z Dzieciątkiem i dawał złudne wrażenie miękkości i łagodności. Poza tym była z niego słodycz. Główka Dzieciątka Jezus była przechylona na bok, a Jego rysy bardzo sugestywne. Spod welonu Maryi, zachwycającego barwami złota i bieli, wyłaniała się Jej drobna twarz oraz para dłoni. Pamiętam, że wrzuciłem pudełko z figurką do samochodu i nie zaprzętałem sobie nią więcej głowy.

Przy okazji każdej wizyty w Capistrano – również tej ostatniej –

uczestniczyłem w mszy świętej w nowej bazylice, wybudowanej na wzór kościoła zrównanego z ziemią w roku 1812. Jej przestronne, pełne przepychu i światła wnętrze w stylu romańskim, łagodne łuki oraz przepięknie malowane ściany napawały mnie spokojem i zachwytem. Z tyłu ołtarza również znajdowało się złote retabulum, nieporównywalnie większe od tego w Serra Chapel, chociaż równie wiekowe, zasłaniające całą tylną ścianę sanktuarium.

Blask złota bił w oczy i przytłaczał.

Nikt nie wiedział o tym, że od czasu do czasu przysyłałem bazylice pieniądze, rzadko podpisując się tak samo. Na przelewach ode mnie pojawiały się zmyślane, często żartobliwe nazwiska. Najważniejsze było to, że pieniądze trafiały we właściwe ręce.

Poczesne miejsce w retabulum zajmowały figury czterech świętych: Józefa z nieodłączną lilią, Franciszka z Asyżu, błogosławionego Junipero Serry z niewielką makietą misji w prawej dłoni i nowo przybyłej, przynajmniej w moim odczuciu, błogosławionej Kateri Tekakwithy, indiańskiej świętej.

Jednak to centralna część retabulum przykuwała moją uwagę podczas mszy.

Znajdowała się w niej połyskliwa rzeźba ukrzyżowanego Chrystusa z zakrwawionymi dłońmi i stopami, a nad nią postać brodatego Boga Ojca, na którego spływały złociste promienie odchodzące od białej gołębiczy. Było to przedstawienie Trójcy Świętej, choć protestant mógłby się tego nie domyślić, nie znając znaczenia poszczególnych symboli. Biorąc pod uwagę, że tylko Jezus stał się człowiekiem dla naszego zbawienia, postaci Boga Ojca jako starca i Ducha Świętego jako białej gołębiczy mogą się wydać niezrozumiałe i jednocześnie wzruszające. Tak naprawdę tylko Syn Boży objawił się cieleśnie.

Nie mogłem przestać się zastanawiać nad przedstawieniem Trójcy i zachwycać nim, niezależnie od tego, czy powinienem je odczytywać dosłownie czy przenośnie, mistycznie czy trzeźwym rozumem. Chłonałem emanujące z niej piękno i poczucie ukojenia, nawet wtedy gdy dyszałem nienawiścią.

Świadomość tego, że znajduję się w towarzystwie ludzi oddających cześć sacrum, w miejscu świętym – przynajmniej w ich odczuciu – sprawiała, że spływał na mnie spokój. Sam nie wiem dlaczego. Spychałem wówczas wszystkie samooskarżenia na dno umysłu, koncentrując uwagę na tym, co przede mną. Dokładnie tak samo postępuję podczas pracy, tuż przed odebraniem komuś życia.

Spoglądanie na krzyż z kościelnej ławki było jak przypadkowe spotkanie z przyjacielem, z którym jest się poróżnionym i którego się wita słowami: „To znowu ty! A ja wciąż jestem na ciebie wściekły”.

Poniżej konającego Pana znajdowała się jego błogosławiona Matka, którą zawsze darzyłem podziwem, przedstawiona jako Najświętsza Panienka z Gwadelupy.

Podczas ostatniej wizyty w bazylice spędziłem długie godziny z wzrokiem utkwionym w złotej

ścianie. Nie miało to nic wspólnego z wiarą, lecz ze sztuką. Sztuką zapominania o wierze, sztuką zaprzeczania jej. Było też przesadne i fałszywe, lecz przedziwnie kojące, nawet jeśli uparcie powtarzałem: Nie wierzę w Ciebie i nigdy Ci nie wybaczę, że nie jesteś prawdziwy.

Po mszy wyjąłem towarzyszącymi od dzieciństwa różaniec i zmówiłem go, choć nie rozważałem tajemnic, które dawno przestały mieć dla mnie znaczenie. Niemal zatrieciłem się w powtarzanej jak mantra modlitwie.

„Zdrowaś, Maryjo, łaski pełna, jakbym wierzył w Twoje istnienie. Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen, do diabła, czy Ty mnie w ogóle słuchasz?” Zapewniam was, że nie byłem jedynym zabójcą na tej planecie, który chodził na mszę. Należałem jednak do nielicznej grupy, która naprawdę słuchała, mamrotała pod nosem odpowiedzi, a czasem nawet śpiewała pieśni.

Zdarzało mi się też bezczelnie przyjmować komunię w stanie grzechu śmiertelnego. Potem klękałem z pochyloną głową i myślałem: To jest właśnie piekło. Tak wygląda piekło. Trudno o coś gorszego.

Zbrodniarze mniejszego i większego kalibru uczestniczący w mszach i obrzędach religijnych razem ze swoimi rodzinami istnieli na tym świecie od zawsze. Pamiętacie chyba słynną filmową postać włoskiego mafiosa, który idzie na pierwszą komunię swojej córki i zdecydowanie nie należy do wyjątków.

Ja nie miałem rodziny. Nie miałem nikogo bliskiego. Byłem nikim.

Chodziłem na mszę wyłącznie dla siebie: osoby, która była nikim. W

poświęconych mi aktach Interpolu i FBI znajdowała się następująca adnotacja: człowiek widmo. Nikt nie wiedział, jak wyglądam, skąd pochodzę i gdzie ponownie uderzę. Nie byli nawet pewni, czy pracowałem dla jednej osoby. Jak już wspominałem, byłem dla nich modus operandi. Latami budowali moją charakterystykę z fragmentów ujęć zarejestrowanych przez kamery przemysłowe, zamazanych obrazów oraz niejednoznacznych fragmentów zeznań. Zdarzało im się błędnie opisywać popełnione przeze mnie zbrodnie, lecz w jednej kwestii mieli rację: byłem nikim, nieboszczykiem spacerującym pośród żywych, przebrany za jednego z nich.

Rzeczywiście miałem tylko jednego szefa, którego na własny użytek nazywałem Panem Sprawiedliwym. Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym pracować dla kogoś innego. Nikt nie próbował mnie odszukać, by zlecić własne zadanie, i prawdopodobnie nikt nie zamierzał tego zrobić.

Pan Sprawiedliwy mógłby być brodatym Bogiem Ojcem z retabulum, a ja jego krwawiącym synem. Duchem Świętym była łącząca nas więź – bo ona naprawdę istniała – a ja nigdy nie złamałem żadnego z przykazań Pana Sprawiedliwego.

Właśnie dopuściłem się bluźnierstwa. I co z tego?

Skąd tyle wiem na temat akt policji i biur śledczych? Mój umiłowany szef od zawsze miał swoje dojścia i chichocząc, dzielił się ze mną przez telefon informacjami, które gdzieś usłyszał.

Wiedział, jak kiedyś wyglądałem. Tego wieczoru, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, jakieś dziesięć lat temu, nie miałem na sobie przebrania.

Martwiło go jedynie to, że nie widział mnie od bardzo długiego czasu. Zawsze jednak odbierałem od niego telefony i podawałem swój nowy numer, kiedy zmieniałem komórkę. Na początku pomagał mi załatwiać lewe papiery, takie jak paszport czy prawo jazdy. Po pewnym czasie nauczyłem się je zdobywać sam, podobnie jak wyprowadzać w pole ludzi, od których je otrzymywałem.

Pan Sprawiedliwy wiedział, że jestem wobec niego lojalny. Nie było tygodnia, żebym do niego nie dzwonił, w odpowiedzi na jego telefon bądź z własnej inicjatywy. Czasami na sam dźwięk jego głosu w słuchawce odbierało mi mowę, tylko dlatego że wciąż tam był i los mi go nie odebrał. Jeśli jeden człowiek stanowi czyjeś całe życie, przesądza o czyimś losie, towarzyszy w wędrówce, to trudno się dziwić obawie przed utratą takiej osoby.

– Lucky, chciałbym z tobą trochę pobyc – miał zwyczaj mawiać. – Tak jak podczas tych pierwszych kilku lat. Dowiedzieć się, skąd pochodzisz...

Wybuchalem najłagodniejszym śmiechem, na jaki potrafiłem się zdobyć.

– Uwielbiam dźwięk twojego głosu, szefie – odpowiadałem.

– Lucky – zwrócił się do mnie pewnego razu – czy przynajmniej ty wiesz, skąd pochodzisz?

To pytanie naprawdę mnie rozbawiło. Nie śmiałem się z Pana Sprawiedliwego, lecz z całej tej sytuacji.

– Szefie, są pytania, które sam mam ochotę ci zadać: kim naprawdę jesteś i dla kogo pracujesz – mówiłem nieraz. – A jednak tego nie robię, prawda?

– Zdziwiłbyś się, słysząc odpowiedź – ripostował. – Mówiłem ci już, synu, że pracujesz dla Porządnych Ludzi.

I na tym stanęło.

Porządni Ludzie. Czy miałem do czynienia z odnoszącą sukcesy szajką czy z legalną organizacją? Jak mógłbym to sprawdzić? I jakie to miało znaczenie, skoro i tak robiłem wyłącznie to, czego życzył sobie szef – czy zatem sam mogłem być porządny?

Czasami wyobrażałem sobie, że Pan Sprawiedliwy naprawdę stoi po stronie sprawiedliwości, a rząd sankcjonuje nasze działania, tuszuje kolejne sprawy, czyniąc mnie swoim pomocnikiem i zmywając moje winy. Dlatego właśnie mogłem nazywać swojego szefa Panem Sprawiedliwym i powtarzać sobie: Cóż, może sam jest agentem FBI albo przedstawicielem Interpolu w tym kraju. Niewykluczone, że działamy w słusznej sprawie. Jednak prawdę powiedziawszy, nie wierzyłem w to. Mordowałem ludzi. To był mój sposób na życie. Nie miałem żadnego powodu, poza finansowym, by zabijać.

Skazywałem ludzi na śmierć. Zabijałem ich bez ostrzeżenia i wyjaśnienia swoich motywów. Pan

Sprawiedliwy mógł być jednym z Porządnych Ludzi, ale ja na pewno do nich nie należałem.

– Nie boisz się mnie, prawda, szefie? – zapytałem go kiedyś. – Nie boisz się, że mam trochę nierówno pod sufitem i pewnego dnia doniosę na ciebie albo spróbuję cię zabić? Nie musisz się mnie bać, szefie. Nie pozwoliłbym, by włos spadł ci z głowy.

– Nie, synu, nie boję się ciebie, lecz o ciebie – powiedział. – Martwię się, bo byłeś dzieckiem, kiedy wziąłem cię pod swoje skrzydła. Martwię się... jak znosisz kolejne noce. Jesteś najlepszym, co mnie spotkało, i czasem wszystko wydaje mi się zbyt proste: kontakt z tobą, to, że zawsze jesteś pod telefonem, a sprawy układają się po mojej myśli, choć daję ci tak niewiele instrukcji.

– Gadatliwość jest twoją cechą, szefie, nie moją. A jednak powiem ci coś.

To nie jest łatwe. Ekscytujące, tak, ale nigdy łatwe. Czasami ta praca sprawia, że się duszę.

Nie pamiętam, jak skomentował tę moją chwilę szczerości.

Przypominam sobie tylko, że mówił długo, między innymi o tym, że jego pozostali pracownicy regularnie się u niego meldowali. Znał ich, odwiedzał.

– Ze mną będzie inaczej, szefie – odrzekłem. – Musisz się zadowolić tym, co słyszysz.

A teraz musiałem wykonać zlecenie w Mission Inn.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie ze snu ubiegłej nocy, w moim mieszkaniu w Beverly Hills. Wolałbym go nigdy nie usłyszeć.

ROZDZIAŁ 2

O MIŁOŚCI I LOJALNOŚCI

Jak już mówiłem, nazwa hotelu Mission Inn w Riverside jest mylna, bo nigdy tu nie było prawdziwej misji, takiej jak San Juan Capistrano.

Ogromny hotel, ucieleśnienie snu architekta, składał się z wielu dziedzińców, altan, krużganków stylizowanych na klasztorne, kaplicy, w której organizowano śluby, oraz niezliczonych urokliwych gotyckich elementów, takich jak łukowate drewniane drzwi, ustawione we wnękach figury świętego Franciszka, a nawet dzwonnice i najstarszy w dziejach tutejszego chrześcijaństwa dzwon. Poszczególne części budynku przywodziły na myśl misje rozrzucone po całym stanie Kalifornia. Niektórzy uważali go za wspanialszy i bardziej zachwycający niż same misje, w hołdzie którym go zbudowano. Mission Inn zawsze tętnił życiem, radosnym szczebiotem i śmiechem, emanował ciepłem, zachęcał do kolejnych odwiedzin.

Przypuszczam, że na początku był to labirynt, który wiele zyskał w rękach nowych właścicieli i został przez nich przekształcony w luksusowy hotel. Mimo to wciąż łatwo się było zgubić, przemierzając jego liczne tarasy, niezliczone klatki schodowe, wałęsając się z jednego patio na drugie, czy wreszcie usiłując trafić do swojego pokoju. Ludzie tworzą tak wymyślne miejsca wędrowni wizją,

miłością do piękna, nadziejami i marzeniami.

Wieczorem Mission Inn wypełniał tłum szczęśliwych ludzi: panien młodych fotografowanych na przypadkowo wybranych balkonach i spacerujących zwawym krokiem rodzin. Liczne restauracje pękały w szwach, w powietrzu unosiły się dźwięki fortepianu i śpiew, a przy odrobinie szczęścia można było trafić na koncert. Chętnie poddawałem się tej świątecznej atmosferze, która pozwalała mi na krótką chwilę odzyskać spokój.

Podobnie jak właściciele tego miejsca kochałem piękno, przepych i wizje wyniesione niemal na boskie wyżyny. Jednak w przeciwieństwie do nich nie miałem planów ani marzeń. Byłem tylko posłańcem, wykonawcą przeznaczenia, popychadłem, nawet nie człowiekiem. Nie miałem domu, imienia ani marzeń, lecz jakaś siła kazała mi co pewien czas wracać do Mission Inn. Możecie pomyśleć, że przyciągał mnie jego styl: przewaga formy nad treścią. To miejsce nie tylko stanowiło hołd dla kalifornijskich misji, lecz było również architektonicznym wzorem dla części miasta. Na sąsiednich ulicach można było zobaczyć latarnie ozdobione dzwonami i budynki użyteczności publicznej wybudowane w podobnym, „misyjnym” stylu.

Podobało mi się to umyślnie stworzone wrażenie ciągłości, zmyślane i nieprawdziwe, podobnie jak ja, znany pod przypadkowym pseudonimem Lucky Szczwany Lis.

Zawsze wspaniale się czułem, wchodząc łukowatym wejściem zwanym campanario, ze względu na zdobiące go dzwony. Uwielbiałem widok ogromnych drzewiastych paproci i strzelistych palm, których wysmukłe pnie skąpane były w migoczącym świetle, oraz jaskrawych petunii rosnących po obu stronach ścieżki.

Podczas każdej z moich pielgrzymek spędzałem dużo czasu w pomieszczeniach ogólnodostępnych. Nigdy nie omijałem przestronnego mrocznego lobby z białą marmurową rzeźbą przedstawiającą rzymskiego chłopca wyciągającego cierń ze stopy. Spowite cieniem wnętrze działało na mnie kojąco, podobnie jak śmiech i radość bawiących w nim rodzin. Siadałem w jednym z wygodnych foteli, wdychałem unoszący się w powietrzu kurz i obserwowałem ludzi, napawając się panującą wokół przyjazną atmosferą.

Nigdy też nie odmawiałem sobie obiadu w hotelowej restauracji, urządzonej na przepięknym placu otoczonym kilkoma kondygnacjami, z których każdą zdobiły półokrągłe okna i tarasy. Wyciągałem egzemplarz „New York Timesa” i zabierałem się do lektury oraz posiłku w cieniu jednego z czerwonych parasoli. Wnętrze restauracji było nie mniej zachwycające. Dolna część ścian została wyłożona płytkami w żywym odcieniu błękitu, zaś wieńczące je beżowe łuki bogato ozdobiono i udekorowano zielonymi pnączami. Na suficie barwy nieba namalowano nie tylko chmury, lecz także maleńkie ptaki.

Pomieszczenie wypełniało światło wpadające przez drzwi wychodzące na plac i odbite w taflach luster. Szmer prowadzonych przez gości rozmów przypominał odgłos wody w fontannie. Czysta przyjemność.

Przemierzałem ciemne korytarze, stąpając po ozdobnym zakurzonej dywanie. Zatrzymałem się w atrium przed kaplicą świętego Franciszka, błędząc wzrokiem po przepysznie zdobionej betonowej

futrynie drzwi –

przykładzie churrigueryzmu w najczystszej postaci. Wewnątrz kaplicy dostrzegłem przedślubne przygotowania, oczywiście pełne pompy oraz nadziei, że to związek na całe życie, i od razu zrobiło mi się cieplej na sercu.

Wokół suto zastawionych, świątecznie przybranych stołów uwijała się masa niekryjących podekscytowania ludzi. Wspiąłem się na najwyżej położony taras i oparłszy głowę o zieloną metalową barierkę, obrzuciłem spojrzeniem salę restauracyjną. Zatrzymałem wzrok na ogromnym zegarze norymberskim, który wybijał kwadrans. Nie mogłem się już doczekać tego dźwięku, podobnie jak widoku wolno przesuających się figur we wnęce poniżej tarczy.

Moim zdaniem, w zegarach drzemie jakaś siła. Mordując, zawsze zatrzymywałem zegarek ofiary, bo czymże jest zegar, jeśli nie instrumentem odmierzającym czas pozostały nam na osiągnięcie czegoś w życiu i odkrycie w sobie rzeczy, o których istnieniu nawet nie mieliśmy pojęcia?

Zabijając, myślałem często o Duchu Ojca z Hamleta, który skarży się synowi:

Skoszony w samym kwiecie moich grzechów:

Bez namaszczenia, bez przygotowania,

Bez porachunku z sobą wyprawiony

Zdać porachunek z win jeszcze nie zmytych.

Takie myśli krążyły mi po głowie, kiedy dumałem nad życiem i śmiercią lub zegarami. Wszystkie pomieszczenia w Mission Inn, włącznie z pokojem muzycznym oraz tym w stylu chińskim, każdy kąt i zakamarek darzyłem bezgranicznym uwielbieniem. Mój zachwyty mógł wynikać z liczby znajdujących się tam zegarów i dzwonów lub faktu zebrania w jednym miejscu przedmiotów z tak wielu epok, że niejednego mogłoby to przyprawić o zawrót głowy.

Jeśli chodzi o Amistad Suite, apartament dla nowożeńców, to wybierałem go ze względu na kopułowy sufit, na którym wymalowano popielaty krajobraz oraz gołębie wylaniające się z mlecznej mgły i ulatujące w stronę błękitnego nieba. Na samej górze znajdowała się ośmioboczna kopuła wypełniona szkłem witrażowym. W pokoju zadbano o każdy szczegół –

wstawiono nawet okrągłe łuki w przejściu łączącym jadalnię z sypialnią, nad parą ciężkich podwójnych drzwi prowadzących na taras oraz nad trzema wysokimi oknami częściowo otaczającymi łóżko. W sypialni stał masywny kamienny szary kominek, z którego wnętrza wiało zimną czarną pustką, co nie przeszkadzało mi wyobrażać sobie trzaskającego w nim ognia. Nie narzekam na brak wyobraźni.

Właśnie dlatego, dzięki niezliczonej ilości pomysłów na zbrodnię i uniknięcie kary za nią, jestem tak dobrym zabójcą. Ciężkie, zwisające do samej podłogi draperie zasłaniały trzy okna, pod którymi stało ogromne antyczne łóżko z baldachimem. Miało ono wysoki, bogato rzeźbiony zagłówek z ciemnego drewna, a w nogach krótkie grube kolumnienki zakończone gałką. Widok tego łóżka

nieodmiennie przywodził mi na myśl Nowy Orlean. To miasto stanowiło dom – i jednocześnie grób – dla chłopca, którym kiedyś byłem i który nigdy nie miał okazji zasnąć w łóżu z baldachimem.

Działo się to w innym kraju,

A poza tym dziewczka nie żyje.

Nie pojawiłem się w Nowym Orleanie, odkąd zostałem Luckym Szczwanym Lisem. Wydawało mi się, że już tam nie wrócę i nigdy nie będę miał okazji spać w antycznym łóżku z baldachimem.

W Nowym Orleanie chowano ważnych ludzi, nie zaś tych, których zabijałem na zlecenie Pana Sprawiedliwego.

Na myśl o ważnych ludziach przyszli mi do głowy zmarli rodzice oraz rodzeństwo – maleńcy Jacob i Emily. Nie wiem, gdzie znajduje się grób choć jednego z nich. Pamiętam opowieści o kwaterze na cmentarzu Świętego Józefa, położonym w niebezpiecznej dzielnicy przy Washington Avenue, gdzie pochowano moją babkę. Nie przypominam sobie jednak, bym kiedykolwiek ją tam odwiedził. Ojciec spoczywał pewnie w sąsiedztwie więzienia, w którym zadźgano go nożem. Był marnym gliną, mężem i ojcem. Zamordowano go dwa miesiące po tym, jak zaczął odsiadywać wyrok dożywocia. Nie wiedziałem, gdzie położyć kwiaty dla zmarłych członków swojej rodziny, lecz nawet gdybym wiedział, i tak nie odwiedziłbym grobu ojca.

Wystarczy tych szczegółów – możecie już sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy Pan Sprawiedliwy powiedział mi, że następnego morderstwa dokonam właśnie w Mission Inn.

Była to zbrodnia najgorszego rodzaju, która na zawsze miała mi odebrać spokój i azyl, pieczołowicie chronioną przystań, wytchnienie dla umysłu. Może to tkwiące we mnie wspomnienie Nowego Orleanu sprawiało, że nie odbierałem tego miejsca takim, jakim było naprawdę: sypiącym się ze starości, nedorzecznym, rozmyślnie i przypadkowo malowni czym.

Zauważałem za to oplecione winoroślą altany, kipiące fioletowym geranium donice, drzewka pomarańczowe, czerwone dachy werand, niekończące się żelazne balustrady ozdobione wzorem krzyża i dzwonu. Tęskniłem za fontannami, szarymi kamiennymi posązkami aniołów umieszczonymi nad wejściem do pokoiów, pustymi wnękami, a nawet dziwnymi dzwonicami i łukami przyporowymi otaczającymi trzy okna w położonym najwyżej narożnym pokoju. Jak również za dźwiękiem dzwonów, nieodłącznym elementem tego miejsca, i widokiem z okien na odległe górskie szczyty pokryte czasem warstwą mieniającego się śniegu. I wreszcie za mroczną, przytulną restauracją, w której serwowano najlepsze steki poza Nowym Jorkiem.

Niewykluczone, że morderstwo w misji San Juan Capistrano byłoby czymś jeszcze gorszym, lecz to nie tam spędziłem większość swoich spokojnie przespanych nocy.

W głosie Pana Sprawiedliwego zawsze pobrzmiwała czułość, gdy się do mnie zwracał. Ja chyba też mówiłem do niego w podobny sposób.

– Ten mężczyzna to szwajcarski bankier zajmujący się praniem brudnych pieniędzy, głównie dla

Rosjan, tkwiący po uszy w tym bagnie.

Trzeba to będzie zrobić w jego pokoju hotelowym.

I jednocześnie... m o i m pokoju.

Nie zdradziłem się ani słowem, ani jednym dźwiękiem, lecz w myślach zmówiłem krótką modlitwę: Dopomóż mi, Boże. Wszędzie, byle nie tam.

Mówiąc najprościej, ogarnęło mnie złe przeczucie, przeczucie jakiegoś nieszczęścia. Sięgnąłem do mego dawnego, prawie zapomnianego repertuaru modlitw i przypomniałem sobie najbardziej naiwną, jedną z tych, które przypawiały mi o wściekłość:

Aniele Boży, strózu mój,

Ty zawsze przy mnie stój,

Rano, wieczór, we dnie, w nocy.

Bądź mi zawsze ku pomocy.

Na dźwięk słów Pana Sprawiedliwego ogarnęła mnie słabość, poczułem się okropnie. Wiedziałem, że jeśli uda mi się to zignorować, przekuć niemoc w cierpienie i napięcie, będę ocalony. Zresztą i tak uważałem, że świat stałby się lepszy, gdybym z niego zniknął, szczególnie dla tych, których zamierzałem z niego sprzątnąć.

Co sprawia, że ludzie tacy jak ja kontynuują swoją egzystencję? Jak odpowiada na to pytanie Dostojewski głosem Wielkiego Inkwizytora? „Nie mając niewątpliwego wyobrażenia o celu swego życia, człowiek nie zgodzi się żyć”. Święta prawda. Z drugiej strony powszechnie wiadomo, że Wielki Inkwizytor jest zły i omylny.

Doskonale wiedziałem, że ludzie potrafią znieść rzeczy niewyobrażalne.

– To musi wyglądać na atak serca – odezwał się szef. – Nie chcemy żadnych podejrzeń, dlatego komórki i laptopy zostaw na swoim miejscu. Nie ruszaj niczego, upewnij się tylko, że facet nie żyje. Oczywiście jego towarzyszka nie może cię zobaczyć, inaczej leżymy. Ta kobieta jest luksusową dziwką.

– Co ona z nim robi w apartamencie dla nowożeńców? – zdziwiłem się.

Tym przecież był Amistad Suite.

– Usiłuje go zmusić do ślubu. Próbowwała w Vegas, ale jej się nie udało.

Ma nadzieję, że dopnie swego w kaplicy, do której wszyscy przyjeżdżają w jednym celu. Podobno to jakieś szczególne miejsce dla nowożeńców. Nie będziesz miał problemu ze znalezieniem ich apartamentu, bo znajduje się dokładnie pod kopułą. Możesz go wypatrzeć z ulicy, zanim rozejrzysz

się wewnątrz hotelu. A zresztą wiesz, co robić.

Wiesz, co robić.

Miał na myśli rodzaj przebrania, metodę zabójstwa, wybór trucizny w strzykawce, zakradnięcie się do środka i późniejszą ucieczkę.

– Powiem ci, co jeszcze wiem – ciągnął szef. – Gdy ona idzie na zakupy, mężczyzna zostaje w pokoju, a przynajmniej tak było w Vegas. Kobieta opuszcza hotel około dziesiątej rano, po mniej więcej półtoragodzinnej awanturze. Może się wybrać na lunch albo na drinka, ale to nic pewnego.

Powinieneś się dostać do pokoju, gdy tylko z niego wyjdzie. Prawdopodobnie znajdziesz w nim dwa pracujące komputery i tyle samo komórek. Zrób wszystko jak trzeba. Pamiętaj: atak serca. Nic się nie stanie, jeśli sprzęt przestanie działać.

– Mogę skopiować dane z telefonów i komputerów – zaproponowałem.

Zawsze postępowałem w ten sposób albo przynajmniej zabierałem z miejsca zbrodni każde urządzenie zawierające możliwe do odczytania informacje, i byłem z tego dumny. Podczas mojego pierwszego spotkania z Panem Sprawiedliwym dziesięć lat temu uczyniłem z tego – a także z porażającej bezwzględności – swój znak rozpoznawczy. Miałem wtedy zaledwie osiemnaście lat i nie zdawałem sobie sprawy z ogromu własnego okrucieństwa.

Teraz byłem go w pełni świadomy i musiałem z tym żyć.

– Ktoś może się zorientować – powiedział – i będzie wiadomo, że to morderstwo. Nie mogę zezwolić na takie ryzyko. Daj sobie z tym spokój, Lucky. Rób, co ci mówię. Facet jest bankierem. Jeśli nie doprowadzisz sprawy do końca, wsiądzie do samolotu do Zurychu, a my znajdziemy się w poważnych tarapatach.

Nie odezwałem się.

Czasem zostawialiśmy na miejscu zbrodni wiadomość, a kiedy indziej zakradaliśmy się jak lis do kurnika, tak jak tym razem.

Powiniennem się chyba cieszyć, pomyślałem. Nie będzie żadnych plotek o morderstwie w miejscu, w którym znajdowałem ukojenie i pewną namiastkę szczęścia.

Jak zawsze w tym momencie rozmowy Pan Sprawiedliwy roześmiał się.

– Nie chcesz wiedzieć? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem jak zwykle.

Dziwił go mój brak zainteresowania powodami, dla których miałem zabić konkretną osobę. Nie pytałem o żadne szczegóły dotyczące moich ofiar, nawet o ich imiona.

Dla mnie liczyło się tylko to, że on życzył sobie ich śmierci.

Pan Sprawiedliwy zawsze nalegał, bym zadał to pytanie, a ja z równym uporem odmawiałem. Rosjanie, bankierzy, pranie brudnych pieniędzy –

najczęściej, choć nie zawsze, chodziło właśnie o to. Prowadziłem z Panem Sprawiedliwym tę grę od pierwszej nocy, kiedy go spotkałem, zostałem mu sprzedany, czy może raczej zaofiarowany, w zależności od tego jak spojrzeć na ten punkt zwrotny mojego życia.

– Żadnych ochroniarzy ani asystentów – odezwał się ponownie. – Facet jest sam. A gdyby nawet ktoś z nim był i tak sobie poradzisz. Wiesz, co masz robić.

– Już zacząłem obmyślać plan, bez obaw.

Rozłączył się bez pożegnania.

Nie podobało mi się to wszystko. Czułem, że postępuję źle. Nie śmieję się. Nie twierdzę, że popełniając poprzednie zbrodnie, nie miałem wyrzutów sumienia. Mówię tylko, że coś w tym zleceniu zakłócało stan mojej równowagi, stawiając pod znakiem zapytania powodzenie całej akcji.

Co jeśli nigdy nie będę mógł wrócić i zasnąć spokojnie w tamtym pokoju? Przeczynałem, że tak właśnie się stanie. Młody mężczyzna o wyblakłych oczach, który czasem miał z sobą lutnię, nie pojawi się więcej w hotelu z dwudziestodolarowym napiwkem w dłoni i serdecznym uśmiechem na ustach. A wszystko dlatego, że ten sam człowiek, zmieniony nie do poznania, odebrał komuś życie w samym sercu tego magicznego miejsca.

Zachowałem się jak głupiec, ośmielając się być w nim sobą, brzdąkać na lutni w pokoju z kopułowym sufitem, leżeć na łóżku z wzrokiem utkwionym w baldachim i godzinami przyglądać się z zachwytem obrazowi nieba wymalowanemu na suficie. Lutnia była przecież ogniwem łączącym mnie z mieszkającym w Nowym Orleanie chłopcem, który wiele lat temu przepadł jak kamień w wodę i którego być może wciąż szukał jakiś życzliwy kuzyn. Miałem ich wielu i zresztą bardzo wszystkich kochałem. Gra na lutni to rzadkie hobby.

Może nadszedł czas, by samemu pociągnąć za spust, nim zrobi to ktoś inny.

Nie, nie ma mowy o błędzie.

Warto było podjąć ryzyko i zagrać właśnie w tym pokoju, łagodnie pociągając za struny, przypomnieć sobie melodie, które kiedyś kochałem.

Ilu ludzi wie, czym jest lutnia, albo zna wydawany przez nią dźwięk?

Może i widzieli ten instrument na renesansowych obrazach, lecz nie przypuszczają, że ktoś wciąż na nim gra. Nie dbałem o to. Tak bardzo lubiłem grać na lutni w Amistad Suite, że nie obchodziło mnie, czy ktoś z obsługi hotelowej słyszy lub widzi, jak to robię. Podobną przyjemność sprawiała mi gra na fortepianie w apartamencie w Four Seasons w Beverly Hills. We własnym mieszkaniu nigdy chyba nie zagrałem ani jednej nuty, choć sam nie wiem dlaczego. Wolałem przypatrywać się lutni i

wyobrazić sobie grające na niej anioły z bajecznie kolorowych bożonarodzeniowych pocztówek oraz te zwisające z gałęzi świątecznie przystrojonych choinek.

„Aniele Boży, strózu mój...”

Do diabła, pewnego razu, może ze dwa miesiące temu, zatrzymawszy się w Mission Inn, skomponowałem melodię do tej starej modlitwy, bardzo renesansową i mroczną. A teraz to moja duszę spowił gęsty mrok.

Musiałem wymyślić przebranie na tyle dobre, by zwieść ludzi, którzy widzieli mnie wiele razy, a na dodatek miałem niewiele czasu. Dziewczyna mogła zmusić tego mężczyznę, by ją poślubił choćby jutro. Misje miały dość uroku, by dokonać podobnego cudu.

ROZDZIAŁ 3

ŚMIERTELNY GRZECH I TAJEMNICA

W Los Angeles miałem garaż podobny do mojego garażu w Nowym Jorku. Trzymałem w nim cztery samochody dostawcze: pierwszy reklamował

usługi hydrauliczne, drugi kwiaciarnię, trzeci był biały i miał czerwone światło na górze, dzięki czemu przypominał karetkę, a czwarty był zwykłą poobijaną furgonetką z kupą zardzewiałego złomu na tylnym siedzeniu. Każdy z nich przemykał po ulicach niezauważalnie, jak słynny niewidzialny samolot Wonder Woman po niebie. Nawet poobijany sedan przyciągał więcej spojrzeń.

Zawsze jechałem odrobinę za szybko, z otwartym oknem, z którego wystawało moje gołe ramię, i w ten sposób stawałem się niewidzialny. Czasem zapalałem papierosa, by czuć było ode mnie dymem. Tym razem zdecydowałem się na furgonetkę dostawcy kwiatów. W wypadku hotelu, po którym bezustannie kręcą się turyści, niekoniecznie goście, i gdzie nikt nikogo nie pyta o cel wizyty ani nawet o to, czy ma klucz do pokoju, był to strzał w dziesiątkę.

We wszystkich hotelach i szpitalach najlepiej sprawdzała się niezachwiana pewność siebie i właściwy impet. W Mission Inn nie mogło być inaczej. Nikt nie zwrócił uwagi na śniadego rozczochranego faceta z logo kwiaciarni przszytym do kieszeni zielonej koszuli i przewieszoną przez ramię przybrudzoną płócienną torbę, niosącego skromny bukiet lilii w owiniętej celofanem doniczce. Nikt też nie przejął się, gdy przekroczył próg hotelu i skinął głową portierowi, który nawet na niego nie spojrzał. Poza peruką wyobraźcie sobie jeszcze parę okularów w grubych oprawkach, które całkowicie zniekształciły mój zwykły wyraz twarzy. Ruchomemu aparatowi na zębach zawdzięczałem wiarygodnie brzmiące seplenienie. Pod rękawicami ogrodniczymi na moich dłoniach kryła się o wiele ważniejsza para rękawiczek gumowych. Płócienna, zwisająca z ramienia torba cuchnęła mchem torfowym.

Niosłem doniczkę z liliami z przesadną ostrożnością. Szedłem lekko chwiejnym krokiem, utykając na lewą nogę, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że właśnie taki szczegół najłatwiej zapamiętać, gdy nie pamięta się niczego innego. Idąc główną ścieżką, wyrzuciłem niedopałek do jednego z kwietników

– może i na to ktoś zwróci uwagę.

Miałem przy sobie dwie strzykawki, chociaż do wykonania zadania potrzebowiałem tylko jednej. Do kostki pod spodniami przymocowałem niewielki pistolet, choć sama myśl o użyciu go była okropna, a w kłapie wykrochmalonej służbowej koszuli schowałem długie, cienkie plastikowe ostrze, dostatecznie sztywne i ostre, by poderżnąć komuś gardło lub wyłupić oczy. W razie nieprzewidzianych trudności użycie szpikulca wydawało się najprostsze. Na szczęście nigdy nie musiałem tego robić. Przerazała mnie krew i okrucieństwo zadawania śmierci tą metodą. Nienawidziłem zresztą okrucieństwa w każdej formie. Lubiłem, kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik. W policyjnych aktach nazywano mnie Perfekcjonistą, Niewidzialnym Człowiekiem i Dżentelmenem Włamywaczem.

W tym wypadku, skoro zależało mi na upozorowaniu ataku serca, polegałem na niezawodnej metodzie ze strzykawką. Korzystałem ze zwykłej, używanej przez cukrzyków strzykawki – z igłą tak cienką, że niektórzy nawet nie czuli jej ukłucia – którą można było kupić w aptece bez recepty.

Wypełniała ją mieszanina trucizny oraz, dostępnej równie łatwo jak strzykawka, substancji zdolnej w ułamku sekundy zwalić człowieka z nóg, tak że zapadał w stan śpiączki, zanim trucizna dotarła do serca. Ślad obu znikał z krwiobiegu w ciągu godziny. Żadna sekcja zwłok nie była zdolna ich wykryć.

Składniki do niemal każdej chemicznej mieszanki, jaką stosowałem, można było kupić w dowolnej aptece. Zdumiewające, czego można się dowiedzieć na temat trucizn, jeśli chce się kogoś skrzywdzić i nie dba o to, jak bezdusznym potworem można się wtedy stać. Dysponowałem przynajmniej dwudziestoma różnymi truciznami. Kupowałem leki w aptekach na przedmieściach, zawsze w niewielkich ilościach. Od czasu do czasu używałem liści oleandra, bardzo popularnego w Kalifornii. Umiałem też posłużyć się trucizną z rącznika pospolitego.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Przed dziewięcią trzydzieści byłem już na miejscu. Miałem czarne włosy, dobrane pod ich kolor oprawki i woń papierosowego dymu na przybrudzonych rękawicach. Wjechałem skrzypiącą windą na najwyższe piętro z dwojgiem ludzi, którzy nawet na mnie nie spojrzeli, po czym minąłem płataninę korytarzy i wyszedłem na zewnątrz. Minąłem ogród ziołowy, dotarłem do zielonej balustrady nad dziedzińcem i oparłem się o nią, zerkając na zegar.

Wszystko wokół należało do mnie. Po lewej stronie znajdował się osłonięty czerwonym dachem taras i fontanna w kształcie wydłużonego prostopadłościanu, z przypominającymi urny, tryskającymi wodą dyszami. Na jego końcu zobaczyłem pokój i schowane w cieniu zielonego parasola meble z żelaza ustawione idealnie naprzeciwko podwójnych drzwi. Cholernie lubiłem siedzieć właśnie przy tym stole, na słońcu, rozkoszując się powiewem chłodnego kalifornijskiego wiatru. Poczulem ogromną pokusę, by przerwać akcję: usiąść przy stole, zaczekać, aż moje serce przestanie walić jak szalone, a później po prostu odejść, zostawiając doniczkę z kwiatami dla przypadkowego przechodnia.

Zacząłem niemrawo spacerować po tarasie, obszedłem nawet rotundę z jej krętymi schodami, jakbym sprawdzał numery pokoiów na drzwiach albo tylko przyglądał się otoczeniu, niczym ludzie, którzy

przychodzili tu pod wpływem kaprysu, by się trochę powalać. Kto powiedział, że dostarczyciel kwiatów nie ma prawa się rozejrzeć?

Po jakimś czasie z Amistad Suite wyszła kobieta, głośno trzaskając drzwiami. Miała dużą torebkę z czerwonej lakierowanej skóry, szpilki na niebotycznych obcasach ozdobione cekinami, obcisłą złotą spódniczkę, podwinięte rękawy oraz rozwiane na wietrze blond włosy – niewątpliwie była piękna i kosztowna w utrzymaniu.

Oddaliła się szybkim, zdradzającym zdenerwowanie krokiem. Wtedy zbliżyłem się do pokoju. Przez zasłonięte białymi firankami okno sypialni zobaczyłem niewyraźny zarys sylwetki bankiera pochylonego nad monitorem stojącego na biurku komputera. Nie zauważył nawet, że go obserwuję, przyzwyczajony pewnie do wścibskich turystów zaglądających do pokoju przez cały ranek. Rozmawiał przez małą komórkę: w jego uchu tkwiła słuchawka, a palce nerwowo waliły w klawiaturę.

Zbliżyłem się do podwójnych drzwi i zapukałem.

Z początku nie zareagował. Po chwili podszedł niechętnie, otworzył

drzwi na oścież, zmierzył mnie spojrzeniem i zapytał:

– Czego?

– Prezent od hotelu, proszę pana, z pozdrowieniami – powiedziałem swoim zwykłym, zachrypniętym głosem.

Aparat na zębach utrudniał mi mówienie. Wyciągnąłem przed siebie lilie. Były naprawdę piękne.

Minąłem go i skierowałem się prosto do łazienki, mamrocząc coś na temat wody potrzebnej kwiatom. Mężczyzna wzruszył ramionami i wrócił do biurka.

Drzwi do pokoju kąpielowego były otwarte. Był pusty.

Ktoś mógł znajdować się w niewielkiej toalecie, ale wątpiłem w to, nie słysząc dźwięków zdradzających czyjąś obecność. Na wszelki wypadek wszedłem do środka i nalałem trochę wody do doniczki. Upewniłem się, że mężczyzna jest sam.

Drzwi na taras były szeroko otwarte.

Mężczyzna był pogrążony w rozmowie telefonicznej i bębnił palcami w klawiaturę komputera. Na ekranie dostrzegłem długi ciąg liczb. Wydawało mi się, że mężczyzna mówi po niemiecku. Zrozumiałem tylko, że się z kimś kłóci i jest wściekły na cały świat. Bankierzy stanowili czasem najłatwiejszy cel.

Sprawiali wrażenie, jakby myśleli, że chroni ich sam fakt posiadania pieniędzy. Rzadko korzystali z usług ochroniarzy, najwyraźniej bardzo im potrzebnych. Ruszyłem w jego kierunku i postawiłem kwiaty na środku stołu, ignorując nie–uprzątnięte naczynia z resztkami śniadania. Mężczyzna nie

wyglądał na przejętego tym, że znalazłem się za jego plecami.

Na moment przeniosłem wzrok z jego sylwetki na znajomą kopułę.

Spojrzałem na wymalowane u jej podstawy jasnobezowe pnie sosen i gołębnie przedzierające się przez mgliste chmury w stronę błękitnego nieba.

Zamarudziłem chwilę przy kwiatkach. Uwielbiałem ich zapach. Zaciągnąłem się głęboko, co przywołało mgliste wspomnienie jakiegoś cichego, urokliwego miejsca, w którym powietrze wypełniała podobna woń. Gdzie to było? I czy warto się było nad tym zastanawiać?

Drzwi na taras wciąż stały otworem i do pokoju wpadał ożywczy powiew wiatru. Każdy przechodzień widział łóżko oraz kopułę, lecz nie mógł dostrzec ani mężczyzny, ani mnie.

Wykonałem szybki ruch i wtłoczyłem trzydzieści jednostek śmiertelnej mieszanki w szyję bankiera. Nie podnosząc wzroku, sięgnął do miejsca wkłucia, jakby chciał się pozbyć siedzącego tam owada, co było typową reakcją ofiar. W suwając strzykawkę do kieszeni, zapytałem:

– Może szanowny pan mógłby dać napiwek biednemu dostawcy?

Odwrócił się w moją stronę. Stałem nad nim, cuchnąc mchem torfowym i papierosami. Zdażył mnie jeszcze zmierzyć lodowato zimnym, wściekłym spojrzeniem i nagle wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać. Lewa ręka zsunęła się z klawiatury, prawa sięgnęła do tkwiącej w uchu słuchawki, lecz nie zdążyła powstrzymać jej wypadnięcia i również osunęła się bezwładnie.

Telefon spadł z biurka, gdy lewa ręka ześlizgiwała się na udo. Z twarzy mężczyzny uszło całe zacierzenie, była teraz miękka i obwisła. Wciągnął

powietrze i usiłował wstać z krzesła, lecz jego prawa ręka nie zdołała namacać krawędzi biurka. Udało mu się unieść dłoń i wycelować ją w moim kierunku.

Błyskawicznie ściągnąłem rękawice ogrodnicze, czego nawet nie dostrzegł.

Trudno mu było skoncentrować uwagę na czymkolwiek. Raz jeszcze spróbował wstać – bezskutecznie.

– Pomóż mi – wyszeptał.

– Oczywiście, proszę pana – powiedziałem. – Proszę nie wstawać, dopóki atak nie minie.

Zamknąłem komputer ręką w gumowej rękawiczce i obróciłem mężczyznę wraz z krzesłem. Jego ciało bezgłośnie osunęło się na biurko.

– Tak – odezwał się po angielsku. – Tak.

– Nie wygląda pan dobrze, proszę pana – powiedziałem. – Czy życzy pan sobie, żebym wezwał lekarza?

Podniosłem wzrok i spojrzałem na opustoszały taras. Znajdowaliśmy się dokładnie naprzeciwko czarnego żelaznego stołu i po raz pierwszy zauważyłem, że w donicach, z których wylewało się geranium, rosły również wysokie drzewka hibiskusa. Padające na nie słoneczne światło było urzekająco piękne.

Mężczyzna walczył o oddech.

Jak już mówiłem, brzydzę się okrucieństwem. Sięgnąłem po telefon stacjonarny i nie czekając na połączenie z recepcją, powiedziałem do głuchej słuchawki: Potrzebujemy lekarza, natychmiast. Głowa bankiera opadła na bok. Widziałem, że powieki ciąży mu coraz bardziej. Chyba próbował coś powiedzieć, ale nie dał rady.

– Pomoc jest już w drodze, proszę pana – powiedziałem.

Mogłem wyjść, ale powtórzę raz jeszcze: gardzę okrucieństwem w każdej formie.

Minęło dość czasu, by stracił ostrość widzenia. Może nawet całkiem oślepl. Przypomniałem sobie coś, co kiedyś usłyszałem w szpitalu: „Słuch odchodzi jako ostatni”. Powiedziano mi o tym, kiedy moja babcia była umierająca: chciałem oglądać telewizję w jej sali, a matka nie przestawała szlochać.

Wreszcie zamknął oczy. Byłem zdumiony, że mu się to udało. Najpierw jego powieki przymknęły się tylko do połowy, lecz po chwili całkiem opadły.

Jego szyję pokrywała sieć zmarszczek. Nie widziałem, by oddychał, jego klatka piersiowa wydawała się nieruchoma.

Raz jeszcze podniosłem wzrok i przez białe firanki spojrzałem na taras.

Przy czarnym stole, pośród donic z kwiatami, siedział jakiś mężczyzna, który zdawał się nas obserwować. Widziałem, że ze względu na dzielącą nas odległość i firanki nie mógł widzieć niczego poza niewyraźnym zarysem postaci. Nie przejmowałem się tym. Potrzebowałem jeszcze kilku chwil, a później mogłem bezpiecznie opuścić hotel ze świadomością wykonanego zadania.

Nie dotknąłem telefonów ani komputerów, ale dokonałem mentalnej inwentaryzacji sprzętu znajdującego się w pokoju. Na biurku były dwie komórki, zgodnie z przewidywaniami szefa. Jeden telefon leżał na podłodze.

Kolejne znajdowały się w łazience. Zauważyłem też jeszcze jeden wyłączony komputer, być może własność kobiety, obok kominka, na stoliku stojącym między fotelami.

Przyznaję, dość szybko zlustrowałem pokój – nie czekałem nawet, aż moja ofiara wyzionie ducha, ale im dłużej tam przebywałem, tym gorzej się czułem. Nie byłem roztrzęsiony, raczej przygnębiony. Nie przeszkadzała mi obecność nieznanego na tarasie. A niech się gapi, niech zagląda do pokoju.

Poprawiłem lilie, by wyglądały jeszcze lepiej, i wytarłem kilka kropli wody rozlanej na stole. Mężczyzna prawie na pewno nie żył. Poczulem, jak ogarnia mnie dojmująca rozpacz, wrażenie

całkowitej pustki. Nie powinno mnie to chyba dziwić, prawda? Sprawdziłem jego puls. Był niewyczuwalny, lecz wiedziałem, że mężczyzna jeszcze nie umarł. Czuję to, dotykając jego nadgarstka. Skoncentrowałem się, usiłując usłyszeć jego oddech. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu do moich uszu dotarło ciche westchnienie wydane przez kogoś innego.

Przez inną osobę.

Nie mógł nią być siedzący na tarasie człowiek, który wciąż uparcie zaglądał do pokoju. Właśnie minęła go jakaś para.

Pojawił się też samotny mężczyzna, który z zaciekawieniem rozejrzał się wokół i ruszył w kierunku schodów rotundy. To, co usłyszałem, złożyłem na karb nerwów. Westchnienie zabrzmiało tak, jakby ktoś z bardzo bliskiej odległości szeptał mi do ucha. Doszedłem do wniosku, iż zawiniła bolesna świadomość, że splamiłem krwią miejsce, które tak bardzo kochałem. Może to sam pokój wzdychał z żalu nad tą zbrodnią. Chciałbym, żeby tak było.

Rozpaczliwie pragnąłem stamtąd wyjść.

I wtedy dręczące mnie przygnębienie pogłębiło się, co często mi się zdarzało w takich sytuacjach. Tylko że tym razem uczucie było o wiele silniejsze, a w mojej głowie pojawił się głos, którego się nie spodziewałem.

A może byś się do niego przyłączył? Doskonale wiesz, że twoje miejsce jest właśnie tam, gdzie tego bankiera. Powinieneś natychmiast odczepić pistolet z kostki i przyłożyć lufę do podbródka. A potem pociągnąć za spust.

Twój mózg rozprysnie się pewnie na suficie, ale wreszcie będziesz martwy.

Wszystko wokół spowije ciemność, mroczniejsza niż teraz, i na zawsze ode-

tnie cię od nich wszystkich: mamy, Emily, Jacoba, twojego ojca i tych, których bezlitośnie zabiłeś, jednego po drugim. Zrób to. Nie czekaj dłużej. Po prostu to zrób.

Przekonywałem sam siebie, że nie ma niczego niezwykłego w tej druzgoczącej depresji, obezwładniającej chęci, by położyć wszystkiemu kres, w obsesyjnym i paralizującym pragnieniu sięgnięcia po broń i posłuchania głosu. Zastanawiająca była jedynie jego klarowność. Wydawało mi się, że głos dobiega z zewnątrz, a nie jak do tej pory z mojej głowy, kiedy to prowadziłem rodzaj dialogu z samym sobą.

Tymczasem nieznajomy z tarasu podniósł się od stolika. W niemym zdumieniu przyglądałem się, jak wchodzi do pokoju przez szeroko otwarte drzwi, zatrzymuje się pod kopułą i patrzy na mnie, stojącego obok umierającego człowieka. Był wysoki, miał imponującą, szczupłą sylwetkę, burzę miękkich falistych włosów ciemnej barwy i błękitne oczy o wyjątkowo ujmującym wyrazie.

– Ten mężczyzna jest chory, proszę pana – powiedziałem szybko, mocno przyciskając język do umocowanego na zębach aparatu. – Myślę, że potrzebuje lekarza.

– On nie żyje, Lucky – odezwał się nieznajomy. – A ty powinieneś przestać słuchać głosów w swojej głowie.

Jego słowa były tak zaskakujące, że całkowicie wytrąciły mnie z równowagi. Gdy tylko wybrzmiały, głos przemówił ponownie.

Skończ z tym. Daj sobie spokój z pistoletem i bałaganem, którego z pewnością narobi. W kieszeni masz przecież jeszcze jedną strzykawkę. Chyba nie pozwolisz się złapać? Twoje życie już przypomina piekło. Pomyśl, jakie będzie w więzieniu. Strzykawka. Zrób to.

– Nie słuchaj go, Lucky – powiedział nieznajomy, który zdawał się emanować wielkodusznością.

Patrzył na mnie z uwagą tak intensywną, że niemal graniczącą z uwielbieniem, i odniosłem nieodparte wrażenie, że dostrzegłem w jego oczach miłość.

Kolor światła zmienił się. Słońce musiało wyjść zza chmur, ponieważ w pokoju zrobiło się nagle bardzo jasno. Dostrzeganie i zapamiętywanie wyglądu innych zawsze przychodziło mi z łatwością, sylwetka przybysza wydała mi się jednak szczególnie wyrazista. Był podobnego wzrostu co ja, a w jego wzroku wyraźnie widoczna czułość mieszała się z troską.

To nie było możliwe.

Jak postępujecie, kiedy coś wydaje się wam z gruntu niemożliwe? Co, waszym zdaniem, powinienem zrobić?

Wsunąłem rękę do kieszeni i namacałem strzykawkę.

Tak lepiej. Nie marnuj ostatnich cennych minut swojej żalosnej egzystencji na zastanawianie się, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie rozumiesz, że Pan Sprawiedliwy cię zdradził?

– Niezupełnie – odezwał się nieznajomy. Przypatrywał się teraz zamordowanemu mężczyźnie, z wyrazem bezgranicznego smutku na twarzy. –

Pora na nas, Lucky. Nadszedł czas, byś wysłuchał tego, co mam ci do powiedzenia.

Nie byłem w stanie sformułować ani jednej rozsądnej myśli. Serce dudniło mi w uszach. Musnąłem palcem plastikową zatyczkę strzykawki.

Tak, wyrwij się spod ich jarzma, uwolnij z zastawionych pułapek, gąszczu kłamstw, nie pozwól się dłużej wykorzystywać. Pokonaj ich. Nie zwlekaj.

– Nie zwlekaj? – wyszeptałem.

Te słowa nie pasowały do pełnej wściekłości przemowy, którą często podpowiadał mi skołowany umysł. Dlaczego pomyślałem właśnie nie zwlekaj?

– To wcale nie ty pomyślałeś – odezwał się nieznajomy. – Czy nie rozumiesz, że on jest zdolny do wszystkiego, by zwieść nas obu? Zostaw strzykawkę na swoim miejscu.

Kiedy mi się tak przypatrywał, emanował młodością, energią i wrażliwością, choć w jego wyglądzie nie było nic młodzieńczego. Światło słoneczne tylko dodało mu urody, wszystko w nim wydawało się atrakcyjne, i to bez widocznego wysiłku. Dopiero teraz zauważyłem, nieco obsesyjnie, że miał na sobie prosty szary garnitur i bardzo piękny błękitny krawat z jedwabiu. W jego stroju nie było nic szczególnego. To jego twarz i dłonie sprawiały wrażenie wyjątkowych, podobnie jak malujący się na twarzy wyraz zachęty i przebaczenia.

Przebaczenie.

Dlaczego ktoś miałby na mnie tak patrzeć? A jednak odnosiłem wrażenie, że ten człowiek zna mnie o wiele lepiej niż ja sam i wie o mnie wszystko. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że trzykrotnie zwrócił się do mnie po imieniu. Istniało tylko jedno wyjaśnienie: przysłał go Pan Sprawiedliwy. A więc naprawdę zostałem zdradzony. Wykonałem swoje ostatnie zlecenie, a stojący przede mną mężczyzna był pewnie bardziej doświadczonym mordercą, przysłanym, by zlikwidować młodszego kolegę.

Moja tajemniczość musiała się okazać dla kogoś niewygodna.

Przechytrz ich, zrób to.

– To prawda, że cię znam – powiedział nieznajomy. – Od urodzenia. I wcale nie przysłał mnie Pan Sprawiedliwy. – Mówiąc to, lekko się roześmiał. –

A przynajmniej nie ten, darzony przez ciebie tak wielkim szacunkiem, Lucky.

Mogę ci jednak zdradzić, że jestem tu z powodu kogoś, kogo można nazwać sprawiedliwym.

– Czego ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś stąd ze mną wyszedł i zignorował podszepty zatruwające twoją duszę. I tak byłeś im posłuszny zbyt długo.

Zamyśliłem się. Czy istniało coś, czym to wszystko można było wytłumaczyć? Na pewno nie był to stres wywołany przebywaniem w moim pokoju w Mission Inn, to musiało być coś więcej. Pewnie trucizna, która jakimś cudem dostała się do mojego krwiobiegu. Mimo dwóch par rękawiczek, musiałem popełnić jakiś błąd.

– Jesteś na to zbyt sprytny – wtrącił nieznajomy.

Czyżbyś naprawdę wolał poddać się szaleństwu? Teraz, gdy możesz im wszystkim zagrać na nosie?

Spojrzałem dookoła, na łóżko z baldachimem, znajome ciemnobrązowe draperie, ogromny kominek, znajdujący się dokładnie za plecami nieznajomego. Patrzyłem na rzeczy i meble, które tak dobrze znałem. Jak to możliwe, że ogarnięty szaleństwem, widziałem je tak dokładnie? Czy chory umysł

potrafiłby stworzyć tak doskonałą iluzję? Miałem jednak pewność, że w pokoju nie ma nikogo poza mną, z nikim nie rozmawiam, a ciepły, zachęcający wyraz twarzy nieznajomego nie jest niczym innym jak tylko wytworem mojego nieszczęsnego umysłu.

Ponownie usłyszałem łagodny śmiech, lecz i drugi głos nie dawał za wygraną.

Nie pozwól mu odebrać sobie strzykawki. A jeśli nie chcesz umierać w tym przeklętym pokoju, to wyjdź z niego. Znajdź sobie jakiś ciemny kąt, znasz tu przecież każdy zakamarek, i raz na zawsze połów kres życiu.

Przez krótką chwilę byłem pewien, że nieznajomy rozplynie się w powietrzu, jeśli ruszę w jego stronę. Tak też zrobiłem, lecz pozostał równie rzeczywisty i namacalny, jak przed chwilą. Usunął się z drogi, przepuszczając mnie.

Nagle znalazłem się na tarasie, skąpany w słonecznym świetle, a kolory wokół wydały mi się tak zachwycająco czyste i łagodne, że przestałem odczuwać jakikolwiek pośpiech, jakby wskazówki zegarów nagle się zatrzymały. Usłyszałem dźwięk zamykanych za plecami drzwi i spojrzałem na stojącego tuż obok nieznajomego.

– Nie odzywaj się do mnie – powiedziałem gniewnie. – Nie wiem, kim jesteś, czego chcesz ani skąd się tutaj wzięłeś.

– Sam mnie wezwałeś – powiedział spokojnym, miłym głosem. – Już ci się to zdarzało, lecz twoje wezwanie nigdy wcześniej nie było tak rozpaczliwe, jak teraz.

Ponownie poczułem emanującą z niego miłość, nieograniczoną mądrość oraz akceptację tego, kim byłem i czym się stałem.

– Wezwałem cię?

– Modliłeś się, Lucky. Kierowałeś modlitwy do swojego Anioła Stróża, a on przekazał je mnie.

Nie istniała na tym świecie siła zdolna skłonić mnie do uwierzenia w to, co usłyszałem. Uderzyło mnie jednak coś innego: Pan Sprawiedliwy nie mógł

wiedzieć o moich modlitwach, nie potrafił przecież czytać w moich myślach.

– W przeciwieństwie do mnie – odezwał się nieznajomy.

Wyraz jego twarzy pozostał niezmiennie szczerzy i przyjazny. Malowała się na niej taka ufność, jakby nie obawiał się mnie, rozpaczliwych czynów, jakich mogłem się dopuścić, ani broni, którą miałem przy sobie.

– Mylisz się – powiedział łagodnie, przysuwając się jeszcze bliżej. –

Istnieją rozpaczliwe czyny, których wolałbym, żebyś uniknął.

Czyżbyś nie wiedział, że masz do czynienia z diabłem? Czy nie słyszałeś, że jest on ojcem wszelkiego kłamstwa? Może istnieją specjalne demony dla ludzi takich jak ty, Lucky, nie pomyślałeś o tym?

Moja ręka ponownie powędrowała w stronę strzykawki, lecz momentalnie ją cofnąłem.

– Specjalne demony to brzmi całkiem wiarygodnie – zgodził się nieznajomy. – Podobnie jak specjalne anioły. Na pewno pamiętasz, że czytałeś o tym w swoich książkach. Wyjątkowi ludzie otoczeni są wyjątkową opieką, a ja jestem twoim aniołem, Lucky. Przybyłem, by zaproponować ci pewne rozwiązanie, i dlatego pod żadnym pozorem nie możesz sięgnąć po strzykawkę.

Chciałem odpowiedzieć, kiedy spłynęła na mnie fala rozpaczy tak namacalnej, jakby ktoś otulił mnie całunem, choć właściwie nigdy nie miałem okazji go zobaczyć. Po prostu tak właśnie wyobrażałem sobie to uczucie.

Czy pragniesz umrzeć w ten sposób: w niewielkiej celi, ogarnięty szaleństwem, torturowany przez ludzi próbujących wyciągnąć od ciebie informacje? Uciekaj stąd. Uciekaj w miejsce, gdzie będziesz mógł przyłożyć broń do podbródka i pociągnąć za spust. Wiedziałeś, że tak postąpisz, od chwili gdy wszedłeś do tego pokoju. Od samego początku było pewne, że to twoje ostatnie zlecenie. Dlatego zabrałeś z sobą dodatkową strzykawkę.

Nieznajomy wybuchnął śmiechem, jakby nie mógł się opanować.

– Trzeba przyznać, że robi, co może – powiedział cicho. – Nie słuchaj go. Zaczyna tracić nad sobą kontrolę, co pewnie nie miałoby miejsca, gdyby mnie tutaj nie było.

– Nie odzywaj się do mnie! – wyjąkałem.

Na horyzoncie pojawiła się para młodych ludzi zmierzających w naszą stronę. Byłem ciekaw tego, co zobaczyli. Zignorowali nas jednak, bardziej zainteresowani kamiennymi murami, masywnymi wrotami, a przede wszystkim urodą kwiatów.

– Szczególnie geranium – wtrącił nieznajomy, przyglądając się otaczającym nas donicom. – Mają ochotę usiąść przy tym stoliku, może więc przeniesiemy się gdzieś indziej?

– Zamierzam stąd zniknąć – odparłem wściekle – ale nie dlatego, że ty tego chcesz. Nie mam pojęcia, kim jesteś, ale powiem ci jedno: jeśli znalazłeś się tutaj z polecenia Pana Sprawiedliwego, to lepiej przygotuj się do walki, bo nie poddam się łatwo.

Odszedłem w stronę rotundy i zacząłem zbiegać po krętych schodach.

Przemierzając kolejne piętra, starałem się raz na zawsze uciszyć głosy w mojej głowie. Gdy dotarłem na parter, ponownie stanąłem oko w oko z nieznajomym.

– Aniele Boży, strózu mój – wyszeptał.

Opierał się o mur, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, doskonale opanowany, lecz na mój widok

wyprostował się i również zaczął maszerować.

– Bądź ze mną szczery – odezwałem się przyciszonym głosem – i powiedz, kim jesteś.

– Sądzę, że jeszcze nie jesteś gotowy, by mi uwierzyć – odparł ze zwykłą dla siebie delikatnością i gorliwością. – Wolałbym to zrobić w drodze powrotnej do Los Angeles, ale skoro nalegasz...

Poczułem, jak oblewa mnie zimny pot. Wyrwałem z ust aparat na zęby, zdarłem z dłoni gumowe rękawiczki i wcisnąłem je do kieszeni.

– Uważaj. Wystarczy, że odbezpieczysz igłę w strzykawce, bym cię stracił

– powiedział, przysuwając się do mnie bliżej.

Przez cały czas dotrzymywał mi kroku i zbliżaliśmy się już do wyjścia z hotelu.

Potrafisz rozpoznać objawy szaleństwa, nieraz je widziałeś. Po prostu go zignoruj. Jeśli mu uwierzysz, będziesz skończony. Wsiądź do furgonetki i uciekaj stąd, później zjedź na pobocze, a dalej już sam wiesz, co robić.

Rozpacz niemal mnie oślepiła. Zatrzymałem się. Znajdowaliśmy się tuż pod campanario. Nie sposób wymarzyć sobie bardziej urokliwego miejsca: bluszcz oplatał dzwony, a ścieżką w obu kierunkach płynęła fala turystów.

Słyszałem śmiech i radosną paplaninę, dobiegające z pobliskiej meksykańskiej restauracji, oraz śpiew ptaków. Nieznajomy stał tuż obok i przyglądał mi się z uwagą. Chciałbym, żeby tak właśnie patrzył na mnie mój brat. Tylko że ja go nie miałem: mój braciszek umarł wiele lat temu. Przeze mnie. To była pierwsza dokonana przeze mnie zbrodnia. Poczułem, jak uchodzi ze mnie cała energia. Po prostu odpłynęła. Spojrzałem mu prosto w oczy i ponownie ujrzałem miłość, czystą i bezwarunkową, oraz zrozumienie. Z czułością i delikatnością położył dłoń na moim lewym ramieniu.

– W porządku – wyszeptałem, drżąc. – Przyszedłeś mnie zabić z jego polecenia. Uznał, że na nic mu się już nie przydam, i postawił na mnie krzyżyk.

– Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Czy to ja jestem martwy? Czyżby trucizna dostała się przypadkiem do moich żył, a ja tego nie zauważyłem? Czy tak właśnie się stało?

– Po trzykroć nie. Jesteś pełen życia i właśnie dlatego cię wybrałem.

Furgonetka znajduje się jakieś sto metrów stąd. Poprosiłeś o zaparkowanie blisko wejścia. Wyjmij kwit z kieszeni. Musisz się zachować jak zwykły hotelowy gość.

– Pomagasz mi uciec z miejsca zbrodni – w moim głosie pobrzmiwała złość. – Twierdzisz, że jesteś aniołem, a mimo to pomagasz zabójcy.

– Mężczyzna na górze nie żyje, Lucky. Czuwały nad nim inne anioły. Nic więcej nie mogę dla niego zrobić. To po ciebie przyszedłem.

Mówiąc to, emanował nieopisanym pięknem i dobrocią, jakby potrafił

naprawić całe istniejące na tym świecie zło. Biła od niego moc. Wcale nie traciłem zmysłów. Nie wierzyłem, by Pan Sprawiedliwy zdołał kiedyś znaleźć zabójcę podobnego do stojącej przede mną istoty.

Podszedłem na chwiejnych nogach do parkingowego, wręczyłem mu kwit przykryty dwudziestodolarowym banknotem i wdrapałem się do czekającej na mnie furgonetki. Oczywiście nieznajomy natychmiast do mnie dołączył. Sprawiał wrażenie obojętnego na pokrywający siedzenia brud i kurz, mech torfowy, zmięte gazety, dzięki którym samochód wyglądał tak, jakby ktoś faktycznie nim jeździł, a nie tylko używał w charakterze rekwizytu.

Wyjechałem z parkingu, wziąłem ostry zakręt i ruszyłem w stronę autostrady.

– Już wiem, co się stało – odezwałem się na tyle głośno, by przekrzyczeć huk rozgrzanego, wpadającego przez okna powietrza.

– Co takiego?

– Wymyśliłem cię. Jesteś wytworem mojej wyobraźni, co z kolei stanowi przejaw szaleństwa. Jedyne, co muszę zrobić, by to zakończyć, to wjechać furgonetką w jakiś mur. Nie ucierpi na tym nikt, z wyjątkiem mnie samego i ciebie, czyli iluzji, stworzonej przez mój umysł, w momencie gdy sięgnąłem swego rodzaju dna. Wszystko to wina tamtego pokoju, prawda? Tego, że dokonałem w nim zbrodni. Wiem, że tak.

Roześmiał się lekko, nie odrywając oczu od drogi. Po chwili odezwał się:

– Jedziesz z prędkością stu siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Lada moment ktoś cię zatrzyma.

– Nadal twierdzisz, że jesteś aniołem? – zapytałem gniewnie.

– W rzeczy samej, jestem nim – odparł, w dalszym ciągu wpatrzony przed siebie. – Zwolnij.

– Wiesz, czytałem ostatnio książkę o aniołach – powiedziałem. – Lubię tego rodzaju literaturę.

– Tak, masz sporą biblioteczkę na temat rzeczy, w które już nie wierzysz i które przestałeś uważać za święte. I pomyśleć, że w szkolnych czasach byłeś takim dobrym wychowankiem jezuitów.

Po raz kolejny poczułem, jak opadam z sił.

– Och, równie dobrze możesz być płatnym mordercą, skoro znasz takie szczegóły – powiedziałem. – Mam rację?

– Nigdy nie byłem i nie będę płatnym mordercą – wyjaśnił spokojnie.

– Ale zostałeś jego pomocnikiem!

Ponownie łagodnie się roześmiał.

– Przeszkodziłbym w zabójstwie, gdyby na tym polegało moje zadanie –

powiedział. – Pamiętasz chyba ze swoich książek, że anioły są przede wszystkim posłańcami, to właśnie stanowi ukoronowanie ich działań, jeśli można tak powiedzieć. Nie mówię niczego, o czym sam byś nie wiedział, najwyraźniej jednak jesteś zaskoczony tym, że przynoszę wiadomość właśnie tobie.

Coraz większy ruch na drodze sprawił, że musiałem zwolnić. Przez chwilę wlekliśmy się w żółtym tempie, wreszcie całkiem stanęliśmy.

Spojrzałem na niego z uwagą. Poczułem, jak spływa na mnie spokój i dopiero teraz zauważyłem plamy potu na swojej ohydnej zielonej koszuli oraz drżenie nóg, a szczególnie stopy konwulsyjnie przyciskającej hamulec.

– Powiem ci, czego dowiedziałem się na temat aniołów – odparłem. –

Przez trzy czwarte czasu zapobiegają wypadkom samochodowym. Czym się właściwie zajmowaliście, zanim wynaleziono automobil? Skończyłem czytać książkę, nie znalazłszy odpowiedzi na to pytanie.

Roześmiał się.

Za naszymi plecami rozległo się trąbienie. Fala samochodów przesunęła się do przodu, a my razem z nią.

– Twoje pytanie jest całkowicie uzasadnione – powiedział. – Zwłaszcza po lekturze tej właśnie książki. Nieważne, czym zajmowaliście się w przeszłości. Liczy się to, co ty i ja możemy zrobić razem.

– A ty oczywiście nie masz imienia.

Znów docisnąłem pedał gazu, ale nie jechałem szybciej niż samochody na skrajnym lewym pasie.

– Możesz mnie nazywać Malachiaszem – zaproponował uprzejmie – ale zapewniam cię, że żaden serafin w całych niebiosach nie zdradziłby nikomu swojego prawdziwego imienia.

– Serafin? Chcesz powiedzieć, że jesteś serafinem?

– Potrzebuję cię do specjalnego zadania i daję ci szansę wykorzystania każdej twojej umiejętności do pomocy mnie i ludziom, którzy właśnie teraz modlą się o nasze wstawiennictwo.

Oniemiałem ze zdumienia. Czulem ogarniający mnie szok i coraz bardziej przejmujący chłód wiatru, w miarę jak zbliżaliśmy się do Los Angeles i do wybrzeża.

Wymyśliłeś go. Uderz w skarpę. Nie zachowuj się jak głupiec w obliczu kogoś, kto jest wytworem twojego chorego umysłu.

– Wcale mnie nie wymyśliłeś – zaprotestowałem. – Czy naprawdę nie widzisz, co się dzieje?

Ogarnęła mnie rozpacz tak wielka, że ledwie słyszałem własne słowa.

To tylko złudzenie. Zabiłeś człowieka. Zasłużyłeś na śmierć i stan nieświadomości, który cię po niej czeka.

– Nieświadomość? – wymamrotał nieznajomy. Podniósł głos, przekrzykując wiatr. – Myślisz, że właśnie to na ciebie czeka?

Sądysz, że już nigdy nie zobaczysz Emily i Jacoba?

Emily i Jacob!

– Nie waż się o nich mówić! – wykrzyknąłem. – Jak śmiesz wymawiać przy mnie ich imiona!? Nie mam pojęcia, kim lub czym jesteś, ale nie masz prawa o nich ze mną rozmawiać. Jeśli żerujesz na moim chorym umyśle, natychmiast przestań!

Tym razem jego śmiech zabrzmiał niewinnie i nieco zadziornie.

– Dlaczego nie przewidziałem, że tak to właśnie z tobą będzie? – spytał.

Wyciągnął rękę i położył mi ją delikatnie na ramieniu. Jego oczy były pełne smutku i tęsknoty. Wyglądał na pogrążonego we własnych myślach.

Spojrzałem na drogę.

– Poddaję się – powiedziałem.

Wjeżdżaliśmy właśnie do samego serca Los Angeles. Minuty dzieliły nas od zjazdu prowadzącego do garażu, w którym mogłem zostawić furgonetkę.

– Poddajesz się... – powtórzył, jakby rozważając sens tych słów.

Wydawało się, że uważnie obserwuje mijaną okolicę: obmywane wodą, pokryte bluszczem nabrzeże oraz niebotyczne, szklane drapacze chmur.

– O to właśnie chodzi, drogi Lucky, żebyś przestał walczyć i we mnie uwierzył. Co masz do stracenia?

– Jak dowiedziałeś się o moim rodzeństwie? – zapytałem. – Kto ci zdradził ich imiona? Chciałbym

wiedzieć, w jaki sposób udało ci się dotrzeć do pewnych informacji.

– Domyślam się, że nie zadowoli cię oczywiste wytłumaczenie? Po prostu jestem tym, za kogo się podaję – westchnął.

Był to dokładnie ten sam dźwięk, który usłyszałem tuż przy moim uchu w Amistad Suite. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos zabrzmiał

pieszczotliwie.

– Wiem na twój temat wszystko, od chwili gdy znalazłeś się w łonie matki.

Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek usłyszę coś podobnego. Pojąłem też z niezwykłą jasnością, że moja wyobraźnia nie byłaby w stanie go zrodzić.

– Ty naprawdę tu jesteś, prawda?

– Jestem tu, by ci powiedzieć, że twój los wciąż może się odmienić. Nie musisz do śmierci pozostać Luckym Szczwanym Lisem. Jestem tu, by zabrać cię w miejsce, gdzie będziesz mógł rozpocząć życie, które pewnie byś wiódł...

gdyby pewne sprawy potoczyły się inaczej. Jestem tu, by powiedzieć ci... –

urwał w pół zdania.

Dojechaliśmy do garażu. Otworzyłem drzwi pilotem i bezpiecznie zaparkowałem samochód.

– Co takiego? – ponagliłem.

Siedzieliśmy twarzą w twarz, a mój towarzysz zdawał się promieniować niepojętym dla mnie spokojem.

Panującą w garażu ciemność rozpraszało wyłącznie światło wpadające przez niewielki świetlik i otwarte drzwi, przez które wjechaliśmy do środka.

Pomieszczenie było przestronne, mroczne, zagracone żelastwem, szafkami i stertami ubrań, których mogłem użyć podczas kolejnych zleceń.

Nagle to miejsce wydało mi się zupełnie bezużyteczne. Poczułem, że byłbym szczęśliwy, gdybym mógł do niego więcej nie wracać. Ten rodzaj podekscytowania nie był mi obcy. Przypominał uczucie ogarniające człowieka po długiej chorobie, gdy niespodziewanie wraca mu radość i chęć do życia.

Malachiasz siedział obok mnie, zupełnie nieruchomo. Dostrzegłem ogniki płonące w jego oczach.

– Stwórca cię kocha – powiedział łagodnym, niemal rozmarzonym głosem. – Jestem tu, by pokazać ci inną drogę, która, jeśli nią podążysz, zaprowadzi cię do Jego miłości.

Milczałem. Musiałem zamilknąć. Nie dlatego, że strach odebrał mi mowę. Przeciwnie, spłynął na mnie spokój. Oniemiałem, urzeczony pięknem perspektywy, którą przede mną roztoczył. Podobnie reagowałem na urodę geranium, oplecionych bluszczem dzwonnicy czy kołyszących się na wietrze drzew. Wszystkie te obrazy przebiegły mi przez głowę z szybkością błyskawicy, chociaż w dalszym ciągu znajdowałem się w ciemnym, cuchnącym benzyną garażu. Zauważyłem jednak, że wypełniający pomieszczenie mrok ustąpił

miejsca blademu światłu.

Powoli wysiadłem z furgonetki i poszedłem w najbardziej odległy kraniec pomieszczenia. Wyjąłem z kieszeni drugą strzykawkę, po czym odłożyłem ją na stojący w pobliżu stół. Zdjąłem ohydny zielony koszulę oraz spodnie i cisnąłem je do głębokiego pojemnika na odpadki wypełnionego naftą. Opróżniłem strzykawkę wprost na skłębione ubrania nasiąkające łatwopalnym płynem, dorzuciłem rękawiczki, a na koniec zapaliłem zapałkę i wrzuciłem ją do środka. Buchnął silny płomień. Dorzuciłem do ognia jeszcze parę roboczych butów i patrzyłem, jak się topi syntetyczny materiał, z którego zostały wykonane. Następnie pozbyłem się peruki, z ulgą przeczesując własne, krótkie włosy. Zorientowałem się, że w dalszym ciągu mam na nosie okulary.

Zdjąłem je, połamałem i również wrzuciłem w płomień, gorące niczym ogień piekielny. Wszystkie przedmioty były syntetyczne i topiły się, powoli obracając się w nicość. Czulem ich zapach. Wkrótce po większości spalonych rzeczy – a już na pewno po truciznie – nie pozostał nawet ślad.

Swąd nie utrzymał się długo. Gdy tylko płomień zgasł, podlałem resztki kolejną porcją nafty i ponownie podpaliłem. Przez języki ognia spojrzałem na swoje zwykłe, starannie powieszzone na wieszaku ubranie. Powoli włożyłem koszulę, szare spodnie, czarne skarpetki, zwyczajne brązowe buty i wreszcie czerwony krawat. Ogień ponownie zgasł. Włożyłem marynarkę, odwróciłem się i zobaczyłem go, opartego o samochód. Skrzyżował kostki i ramiona, a jego oświetlona łagodnym światłem twarz była równie pociągająca, czuła i przepełniona miłością, jak przedtem.

Ponownie znalazłem się w szponach obrzydliwej, głuchej, bezdennej rozpacz, która niemal zmusiła mnie, bym się odwrócił i poprzysiągł sobie więcej nie spojrzeć na Malachiasza, niezależnie od tego, jak i za czyją sprawą się tutaj znalazł.

– Walczy o ciebie z całych sił – powiedział. – Przez wszystkie te lata sączył ci jad do ucha, by wreszcie przemówić pełnym głosem. Wydaje mu się, że sprzątnął mi ciebie przed nosa. Myśli, że uwierzysz w jego kłamstwa mimo mojej obecności.

– Kim on jest? – zapytałem.

– Znasz odpowiedź na to pytanie. Przemawiał do ciebie przez bardzo długi czas, a ty słuchałeś go z ogromną uwagą. Nie rób tego więcej. Chodź ze mną.

– Twierdzisz, że właśnie toczy się walka o moją duszę?

– Właśnie tak.

Moje ciało znowu zaczęło drżeć. Nie czułem strachu, mimo że tak mogło to wyglądać. Byłem spokojny, lecz nogi miałem jak z waty. Mój umysł okazał

się silniejszy niż ciało, które najwyraźniej nie potrafiło sobie poradzić z ciężarem usłyszonej informacji.

W garażu znajdował się mój samochód, ten sam od wielu lat: niewielki kabriolet marki Bentley. Otworzyłem drzwiczki, wsiadłem i zamknąłem oczy.

Gdy je otworzyłem, Malachiasz siedział obok, tak jak się spodziewałem.

Włączyłem wsteczny bieg i wyjechałem z garażu.

Jeszcze nigdy tak szybko nie wyjechałem z przedmieścia. Wydawało mi się, że ruch uliczny niesie mnie łagodnie wzdłuż rzeki. Po zaledwie kilku minutach znaleźliśmy się w Beverly Hills i w końcu wjechaliśmy w moją ulicę, obsadzoną drzewami różanymi w pełnym rozkwicie. Większość zielonych liści znikła, gałęzie uginały się pod ciężarem błękitnych kwiatów, a ziemia i asfalt były usłane kobiercem z ich płatków.

Starałem się uniknąć wzroku Malachiasza i myślenia o nim. Zamiast tego zastanawiałem się nad własnym życiem, przewyciężając narastające uczucie rozpacz, tak jak chory człowiek stara się odpedzić mdłości. Co się stanie, jeśli mówił prawdę i rzeczywiście był tym, za kogo się podawał? Czy to możliwe, bym otrzymał szansę odkupienia win mimo tego, co zrobiłem?

Nim zdążyłem się odezwać, dojechaliśmy do garażu w budynku, w którym mieszkałem. Tak jak się spodziewałem, wyskoczył z samochodu, wsiadł ze mną do windy i wjechał na piąte piętro.

Drzwi balkonowe w moim mieszkaniu są zawsze otwarte, wyszedłem więc przez nie na betonowy taras i spojrzałem w dół na błękitne drzewa różane. Mój oddech był przyspieszony, ciało z trudem dźwigało ciężar sytuacji, w jakiej się znalazłem, lecz umysł sprawiał wrażenie zadziwiająco lekkiego.

Kiedy się odwróciłem, by spojrzeć na Malachiasza, jego sylwetka wydała mi się równie rzeczywista i namacalna, jak obsypane błękitnym kwieciem drzewa. Stał w drzwiach bez słowa, a na jego twarzy ponownie malowała się obietnica zrozumienia i miłości.

Poczułem silną pokusę, by się rozplakać, okazując słabość i uległość.

– Dlaczego? Dlaczego przyszedłeś właśnie po mnie? Wiem, że już cię o to pytałem, ale musisz mi dokładnie wyjaśnić, dlaczego spośród tylu ludzi wybrałeś właśnie mnie. Nie wiem, czy rzeczywiście istniejesz, choć zaczynam w to wierzyć. Ale czy ktoś taki jak ja może liczyć na zbawienie?

Podszedł do betonowej balustrady i stanął obok mnie. Jego wzrok powędrował w dół, w stronę rozkwitłych drzewek.

– Piękno w swej doskonałości – wyszeptał.

– Właśnie dlatego tu zamieszkałem – odparłem. – Każdego roku, gdy są w pełnym rozkwicie... – Głos mi się załamał.

Odwróciłem się tyłem do drzew, bo gdybym nadal na nie patrzył, nie powstrzymałbym łez. Zajrzałem do salonu i mój wzrok padł na ściany, od sufitu do podłogi pokryte książkami. Widziałem również fragment przedpokoju obwieszony półkami, na których znajdowała się reszta mojej kolekcji.

– O odkupienie win trzeba poprosić – wyszeptał mi wprost do ucha. –

Dobrze o tym wiesz.

– Nie mógłbym o to prosić! – powiedziałem. – Nie mógłbym.

– A to czemu? Czyżby chodziło o twój brak wiary?

– To wystarczający powód – odrzekłem.

– Daj mi szansę, a sprawię, że znów uwierzysz.

– Zaczynaj więc od wyjaśnienia, dlaczego właśnie ja?

– Zostałem przysłany właśnie po ciebie – mówił równym, spokojnym głosem – ze względu na to, kim jesteś, co zrobiłeś i czego możesz dokonać.

Wybór nie był przypadkowy. Znalazłem się tutaj wyłącznie z twojego powodu.

Każda decyzja podejmowana w niebiosach jest właśnie taka: dotyczy j e d n o s t k i. Oto jak potężne jest Niebo. Znasz rozmiary Ziemi, powinieneś też wziąć pod uwagę, że istnieje ona od wieków, przeżyła wszystkie swoje epoki i niezliczone lata. Nie ma na tym świecie ani jednej osoby, która nie byłaby nam droga. Niebo wsłuchuje się w każde ludzkie westchnienie i słowo.

Wysłuchawszy go, zrozumiałem, co chciał mi przekazać. Spojrzałem w dół na spektakl rozgrywający się w koronach drzew. Ciekawe, jak czuje się drzewo odzierane z kwiatów przez wiatr, skoro nie posiada nic więcej?

Dziwaczność tego pytania uderzyła mnie tak bardzo, że moje ciało przeszył

dreszcz. Potrzeba płaczu była niemal obezwładniająca, jednak udało mi się ją zwalczyć. Zmusiłem się, by ponownie spojrzeć na Malachiasza.

– Znam twoje życie na wylot – powiedział. – Jeśli chcesz, pokażę ci je. A właściwie nie mam innego wyboru, skoro zależy mi na twoim pełnym zaufaniu. Tak, zrobię to. Musisz zrozumieć, zanim podejmiesz decyzję.

– Jaką decyzję? O czym ty mówisz?

– O misji. Już ci o niej wspominałem – przerwał na moment, a potem podjął równie serdecznym

głosem: – Wykorzystamy w niej to, kim jesteś, każdą twoją cechę. Ta misja ma na celu obronę życia, a nie jego odbieranie, odpowiada na modlitwy, zamiast je uciszać. Jest okazja, byś zrobił coś bardzo ważnego dla innych i jednocześnie dobrego dla siebie. Na tym właśnie polega czynienie dobra. To jak praca dla Pana Sprawiedliwego, tylko że tym razem będziesz jej oddany całym sercem i duszą, aż stanie się umiłowanym, upragnionym celem twojego życia.

– Chcesz, bym uwierzył, że mam duszę? – zapytałem.

– Oczywiście, że ją masz. Twoja dusza jest nieśmiertelna, o czym doskonale wiesz. Masz dwadzieścia osiem lat, jesteś więc bardzo młody i mimo czarnych, samobójczych myśli, czujesz się nieśmiertelny. Nie pojmujesz tylko, że właśnie nieśmiertelna dusza jest tym, co w tobie prawdziwe, reszta z czasem przeminie.

– Wiem, o czym mówisz – szepnąłem. – Dobrze wiem.

Nie chciałem, by moje słowa zabrzmiały niegrzecznie.

Mówiłem szczerze, ale byłem oszołomiony. Odwróciłem się niepewnie, po czym wszedłem do salonu swojego niewielkiego mieszkania. Raz jeszcze spojrzałem na zastawione książkami ściany oraz biurko, przy którym zwykle czytałem. Zobaczyłem rozłożoną na zielonej podkładce lekturę. Jak na ironię, było to zagmatwane teologiczne dzieło.

– No tak, widzę, że jesteś dobrze przygotowany – powiedział, stojąc tuż obok, tak jakbyśmy byli nierozłączni.

– Mam pewnie uwierzyć, że teraz to ty jesteś Panem Sprawiedliwym? –

zapytałem.

Kątem oka zauważyłem, że zareagował na moje słowa uśmiechem.

– Panem Sprawiedliwym – powtórzył miękko. – Nie, nie jestem nim.

Jak już mówiłem, mam na imię Malachiasz, jestem serafinem i przybyłem tu, by dać ci wybór, w odpowiedzi na twoje własne modlitwy, Lucky. Jeśli jednak nie potrafisz zaakceptować tej wersji, przyjmijmy, że jestem spełnieniem twojego najskrytszego marzenia.

– Jakiego marzenia?

– Przez wszystkie te lata modliłeś się, by Pan Sprawiedliwy okazał się pracownikiem Interpolu lub FBI. Łudziłeś się, że stoi po stronie dobra i wszystko, co dla niego robisz, również takie jest. To zawsze było twoim największym marzeniem.

– Dobrze wiesz, że to bez znaczenia. Odbierałem ludziom życie i uczyniłem z tego sposób na życie.

– Tak, ale jednocześnie marzyłeś o czymś innym. Jeśli ze mną pójdziesz, skończą się twoje wątpliwości, Lucky. Będziesz po stronie aniołów, razem ze mną.

Spojrzelismy na siebie. Nie mogłem opanować drżenia, mój głos również brzmiał niepewnie.

– Gdyby to mogła być prawda – powiedziałem – zrobiłbym wszystko, o co tylko byś mnie poprosił, na twoją i boską chwałę. Zniósłbym każde cierpienie.

Na jego twarzy pojawił się powściągliwy uśmiech, jakby zaglądał mi w duszę, upewniając się, czy mówię szczerze. Próba musiała chyba wypaść pomyślnie. Zdałem sobie sprawę, że moja zgoda była bezwarunkowa.

Zapadłem się w skórzany, stojący obok kanapy fotel. Malachiasz usiadł naprzeciwko mnie.

– Pokażę ci teraz twoje życie – powiedział. – Nie muszę tego robić, lecz uważam, że powinieneś je zobaczyć. Dopiero wtedy naprawdę we mnie uwierzysz.

Skinąłem głową.

– Jeśli rzeczywiście to potrafisz – westchnąłem – cóż, wtedy uwierzę w każde twoje słowo.

– Przygotuj się – powiedział. – Będiesz słyszał mój głos i widział to, co spróbuję ci opisać, być może wyraźniej niż cokolwiek innego w twoim życiu.

Kolejność i organizacja zdarzeń pochodzą ode mnie, dlatego historia może się okazać trudniejsza w odbiorze, niż gdyby była opowiedziana chronologicznie, lecz przecież interesuje nas Toby O’Dare i jego dusza, a nie historia przypadkowego młodego człowieka. Pamiętaj, że niezależnie od tego, co zobaczysz i poczujesz, przez cały czas będę przy tobie. Nigdy cię nie opuszczę.

ROZDZIAŁ 4

MALACHIASZ WYJAWIA MI MOJĄ HISTORIĘ

Kiedy aniołowie wybierają sobie pomocnika i prześwietlają jego życie, nie zawsze zaczynają od początku. Mogą rozpocząć od teraźniejszości, potem cofnąć się i zatrzymać przy najwcześniejszych wspomnieniach, a później w mgnieniu oka przenieść się z powrotem do bieżącej chwili. Wszystko to pokazuje i wzmacnia ich emocjonalne przywiązanie do człowieka. Jeśli ktoś twierdzi, że taka więź nie istnieje, nie wiercie mu.

Nasze emocje są inne, ale i my mamy życie emocjonalne. Nie potrafimy patrzeć chłodnym okiem na życie lub śmierć. Niech was nie zwiedzie nasz pozorny spokój. Chociaż żyjemy w świecie pełnego zaufania względem Stwórcy, jesteśmy świadomi tego, że ludzie najczęściej go w Nim nie pokładają i odczuwamy z tego powodu smutek.

Pierwsza rzecz, jaka rzuciła mi się w oczy, gdy zająłem się badaniem dręczonego niezliczoną ilością problemów chłopca nazywanego Toby O’Dare, było jego zamiłowanie do oglądania późną nocą bardzo brutalnych programów telewizyjnych, które pozwalały mu zapomnieć o okropnej rzeczywistości i świecie walącym mu się na głowę. Odgłosy wystrzałów zawsze wyzwalały w nim

katharsis, o co zresztą chodziło producentom tych programów. Szybko nauczył się czytać. Odrabiał prace domowe w świetlicy, a czas wolny spędzał na lekturze książek z gatunku: kryminał oparty na faktach.

Z łatwością odnajdywał się w świecie doskonale napisanej prozy Thomasa Thompsona – Krwi i pieniędzy czy Serpenty. To właśnie książki na temat zorganizowanej przestępczości, patologicznych morderców, obrzydliwych zbrodniarzy najczęściej wyciągał z koszy ustawionych w księgarni przy Magazine Street w Nowym Orleanie, gdzie mieszkał. Oczywiście ani przez moment nie pomyślał, że pewnego dnia stanie się bohaterem podobnej historii.

Czując odrazę do efektownego, kuszącego obrazu zła w Milczeniu owiec, wyrzucił je do śmieci. Książki oparte na faktach były pisane dopiero wówczas, gdy złapano mordercę, i właśnie tego rodzaju zapewnienia potrzebował Toby.

Gdy budził się nad ranem i nie mógł już zasnąć, śledził losy policjantów i zabójców na małym ekranie, niepomny faktu, że tym, co napędzało oglądalność tych programów, były przestępstwa, a nie święte oburzenie i akcje podejmowane przez patetycznych w swym heroizmie poruczników czy genialnych detektywów.

Dziecięce zamiłowanie do programów kryminalnych jest jednak najmniej istotną rzeczą dotyczącą Tobyego O'Dare, pozwólcie więc, że powrócę do historii, która urzekła mnie od pierwszej chwili, gdy zwróciłem na niego uwagę. Dorastając, Toby nie pragnął być płatnym zabójcą czy złodziejem. Marzył, by zostać muzykiem i ocalić od zagłady wszystkich członków swojej małej rodziny. Tym, co mnie do niego przyciągnęło, nie był

oślepiający, zzerający go od środka – teraz czy w przeszłości – gniew.

Patrzenie na mroczną stronę jego natury przychodzi mi z równym trudem, jak człowiekowi wyjście na mroźny, zimowy wiatr, który wieje w oczy, boleśnie chłoszcze skórę i szczypie w palce. Tym, co przyciągnęło mnie do Toby'ego, była czysta, promieniująca z niego dobroć, której nic nie mogło przyćmić, doskonała umiejętność odróżniania dobra od zła, odporna na kłamstwo, trwająca niezależnie od tego, jak potoczyło się jego życie.

Powiedzmy sobie jasno: to, że wybieram śmiertelnika do swoich celów, wcale nie znaczy, że on zgodzi się do mnie przyłączyć. Znalezienie kogoś takiego jak Toby jest dostatecznie trudne, lecz namówienie go do współpracy jeszcze trudniejsze. Możecie pomyśleć, że złożyłem mu propozycję nie do odrzucenia, ale to nieprawda. Ludzie zaskakująco często bronią się przed Zbawieniem.

Toby O'Dare miał zbyt wiele zalet, bym z niego zrezygnował i zostawił go pod opieką ostatnich aniołów.

Urodził się w Nowym Orleanie. Jego rodzina miała irlandzkie i niemieckie korzenie. W jego żyłach płynęła też domieszka włoskiej krwi, o czym nie wiedział, a jego prababka ze strony ojca była Żydówką, lecz i o tym nie mówiło się w jego domu, pełnym ciężko pracujących ludzi, których nie interesowała własna przeszłość. Miał w sobie również nieco krwi hiszpańskiej, ze strony ojca, z czasów gdy u wybrzeży Irlandii rozbiła się hiszpańska armada. I chociaż od czasu do czasu

rozmawiano na ten temat, jako że niektórzy członkowie rodziny mieli kruczoczarne włosy i niebieskie oczy, Toby nigdy nie poświęcał temu wiele uwagi. W jego rodzinie nie mówiło się o pochodzeniu, lecz o przetrwaniu.

Zainteresowanie genealogią od zawsze stanowiło przywilej ludzi bogatych. Biedni rodzili się i umierali, nie pozostawiając po sobie śladu.

Dopiero teraz, w dobie badań DNA, zwykli ludzie z lubością zagłębiają się w genetyczne szczegóły, nie bardzo wiedząc, co z tą wiedzą później zrobić. Mimo to można mówić o swego rodzaju rewolucji, skoro ludzie wreszcie usiłują zrozumieć, jaka krew płynie w ich żyłach.

Im silniej Toby O'Dare wiązał się z zawodem płatnego zabójcy i im większą niesławą się okrywał, tym mniej interesował się własną tożsamością oraz swoimi korzeniami. Zgromadziwszy środki, które spokojnie pozwoliłyby mu na zbadanie swojej przeszłości, coraz bardziej oddalał się od zainteresowania historią ludzkiego gatunku, do którego wciąż należał.

Całkowicie rozstał się przecież z „tym, co było”, a przynajmniej tak mu się wydawało. Dlaczego więc miałby się przejmować losem ludzi, którzy pomarli na długo przed jego narodzinami i byli dręczeni podobnymi zgrzyotami i troskami?

Toby wychował się w mieszkaniu na przedmieściach, oddalonym zaledwie o kilka przecznic od bardziej eleganckich ulic, a ścian jego domu nie zdobiły portrety przodków.

Szanował swoje babcie, dzielne, kochające i czułe kobiety, z których każda urodziła ośmioro dzieci i miała zniszczone od pracy dłonie. Niestety, obie zmarły, gdy był bardzo mały, jako że jego rodzice byli najmłodszy spośród rodzeństwa. Życie dało tym kobietom porządnie w kość, a ich śmierć w szpitalnych salach była szybka i pozbawiona dramatyzmu. Mimo to, obu urządzono wspaniałe pogrzeby, na który zjechała masa krewnych z naręczami kwiatów. Wszyscy oni wylali morze łez nad kolejnym pokoleniem ich wspaniałych rodzin, które na zawsze opuszczało Amerykę.

Toby nigdy nie zapomniał swoich kuzynów, z których większość odniosła w życiu sukces, nie popełniwszy zbrodni ani grzechu. Zanim jednak skończył dziewiętnaście lat, zupełnie stracił z nimi kontakt. Nie przeszkodziło mu to sekretnie ich śledzić. Wykorzystując swoje komputerowe umiejętności, tropił udane małżeństwa swoich krewnych oraz ich imponujące kariery adwokatów, sędziów i księży. Spędzili z sobą tak wiele czasu w dzieciństwie, że nie potrafił o nich całkowicie zapomnieć, choćby ze względu na pamięć babć, które ich łączyły.

Pamiętał, jak kołysały go w wielkim drewnianym fotelu na biegunach, sprzedanym po ich śmierci handlarzowi starzyzną, i słowa starych piosenek, które śpiewały przed odejściem na tamten świat. Zdarzało mu się nawet nucić pod nosem fragmenty niektórych melodii, na przykład tej O leniwym Jasiu, czy smutną piosenkę „Powiedz ciotce Rhody, powiedz ciotce Rhody, że zdechła gąska, której puch miał utulić ją do snu”. Były też murzyńskie pieśni, tak chętnie przejmowane przez białych. „Czemu, drogie dziecko, łza z twych oczu leci, czyżby to sprawiły słowa białych dzieci? Duszyckę masz tak czystą, jak poranna rosa, z polecenia Pana, co żyje w niebiosach”. Oraz te mówiące o ogrodzie dusz, do którego jego babcie trafiły, nim na dobre rozstały się z ziemskim życiem. Przed osiągnięciem pełnoletności Toby odwrócił się od wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z jego

przeszłością, oczywiście z wyjątkiem piosenek i muzyki.

Dziesięć lat temu, w wieku osiemnastu lat, porzucił tamten świat na zawsze. Po prostu usunął się z życia wszystkich znanych mu osób i choć żaden z jego kolegów czy członków rodziny nie obwinał Tobyego za ucieczkę, to jednak byli nią mocno zaskoczeni. Wyobrażali go sobie, zresztą nie bez podstaw, jako zagubioną duszę, może nawet szaleńca, ulicznego włóczęgę, bełkoczącego, żebrzącego o jedzenie głupka. To, że zabrał z sobą walizkę z ubraniami i bezcenną dla niego lutnię, dawało im nadzieję, lecz nigdy więcej o nim nie usłyszeli ani go nie spotkali.

Próbowali go nawet odnaleźć – raz, a może dwa razy w ciągu tych lat.

Szukali Tobyego O'Dare, chłopca ze świadectwem ukończenia liceum jezuitów, znakomicie grającego na lutni, nie mieli więc najmniejszych szans powodzenia.

Jeden z krewnych Tobyego często słuchał taśmy z nagraniem któregoś z jego ulicznych występów. Toby nie miał – nie mógł mieć – o tym pojęcia, więc ciepłe myśli przesyłane przez jego kuzyna nigdy do niego nie dotarły. Jego dawna nauczycielka z liceum jezuitów sprawdziła nawet wszystkie konserwatoria na terenie Stanów Zjednoczonych, szukając studenta Tobyego O'Dare. On jednak nigdy nie zapisał się do tego rodzaju uczelni. Można powiedzieć, że część rodziny cierpiała po stracie łagodnej, osobliwej muzyki Tobyego O'Dare i chłopca, który tak bardzo kochał swój renesansowy instrument, że był gotów szczegółowo o nim opowiadać każdemu, kogo to interesowało, i tłumaczyć, dlaczego wolał żywot ulicznego grajka niż uwielbienie, jakim otaczano gwiazdy rocka.

Rozumiecie chyba, co chcę powiedzieć: Toby wywodził się z naprawdę porządnej rodziny, tworzonej przez ludzi noszących nazwisko O'Dare, O'Brien, McNamara i McGowen oraz tych, którzy się w nią wżenili. W każdej jednak rodzinie można znaleźć ludzi złych, słabych i takich, którzy marnie sobie radzą w walce z życiem, czy wręcz ponoszą w niej sromotną porażkę. Ich Anioły Stróżę szlochają, a demony, w których szponach tkwią, tańczą z radości. Dopiero Stwórca decyduje, co się z nimi ostatecznie stanie.

Tak właśnie było z rodzicami Tobyego.

Chłopiec zawdzięczał im niezwykle zdolności, z których najbardziej imponującą był talent i miłość do muzyki. Odziedziczył po nich również

bystrość umysłu oraz nietuzinkowe i niepohamowane poczucie humoru.

Wielka wyobraźnia pozwalała mu snuć plany i mieć marzenia. Czasem do głosu dochodziło też jego zacięcie mistyczne. Silne pragnienie zostania dominikaninem, które poczuł w wieku lat dwunastu, długo w nim płonęło, odporne na ziemskie ambicje, tak ważne dla jego rówieśników. Toby nawet w burzliwym okresie dojrzewania nie przestał chodzić do kościoła. Jeśli kusiła go wizja opuszczenia niedzielnej mszy, to i tak tego nie robił przez wzgląd na swoje młodsze rodzeństwo, któremu zawsze dawał dobry przykład.

Gdyby tylko mógł się cofnąć o jakieś pięć pokoleń i zobaczyć swoich przodków, dniem i nocą studiujących Torę w synagogach gdzieś w Europie Środkowej, być może nie zdecydowałby się

zostać płatnym zabójcą. Gdyby dane mu było cofnąć się jeszcze bardziej i zobaczyć swych włoskich przodków malujących obrazy w Sienie, pewnie śmieiej przystąpiłby do realizacji najskrytszych pragnień. Nie miał jednak pojęcia ich istnieniu. Nie wiedział też o tym, że w rodzinie jego matki, wiele pokoleń wstecz, byli angielscy księża, którzy za panowania Henryka VIII oddali swoje życie za wiarę, ani że jego pradziadek – tym razem ze strony ojca – pragnął zostać duchownym, tak jak Toby, lecz nie zdołał uzyskać wystarczająco dobrych stopni, by dostać się do seminarium.

Trudno znaleźć śmiertelnika znającego swój rodowód przed tak zwanymi wiekami ciemnymi. Tylko członkowie najznakomitszych rodów są w stanie zbadać własną przeszłość na tyle dokładnie, by wyłuskać z niej przykłady, które mogą natchnąć ich samych.

Słowo „natchnienie” jest tu jak najbardziej na miejscu, Toby bowiem był

natchnionym mordercą, podobnie jak wcześniej był natchnionym muzykiem.

Jego sukces w roli zabójcy opierał się w dużej mierze na słusznej, wdzięcznej posturze połączonej z urodą, które sprawiały, że nie wyróżniał się z tłumu.

Jeszcze przed dwunastymi urodzinami jego twarz stała się rozumna i za każdym razem, gdy dręczył go niepokój, malował się na niej rodzaj chłodu i wrodzonej nieufności, które jednak szybko znikły. Nie były to cechy, jakie chciał w sobie pielęgnować lub okazywać. Spokój zdawał się znacznie bliższy jego naturze. Ludzie zawsze odbierali go jako osobę atrakcyjną i nietuzinkową.

Nim skończył szkołę średnią, mierzył ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów, jego blond włosy zmieniły kolor na popielaty, a szare, spokojne oczy były zawsze uważne i lekko ciekawskie, nigdy zaczepne. Na jego twarzy rzadko malowała się troska. Kiedy wychodził na samotny spacer, postronny obserwator mógłby uznać, że Toby na coś wyczekuje, przypominał bowiem osobę niecierpliwie czekającą na przyłot samolotu lub rozpoczęcie ważnego spotkania. Zmieszany, natychmiast okrywał się rumieńcem, wyrażającym urazę i nieufność, lecz bardzo szybko powściągał te uczucia. Nie chciał być nieszczęśliwym, zgorzkniałym człowiekiem i choć przez te wszystkie lata miał

wiele powodów, by się nim stać, walczył z tym ze wszystkich sił.

Nigdy w życiu nie wziął do ust alkoholu. Nienawidził go.

Już w dzieciństwie pięknie się ubierał, głównie dlatego że dzieci ze szkoły podstawowej w jego dzielnicy prezentowały taki styl, a on chciał

wyglądać jak one. Nie wstydził się donaszać kosztownych ubrań po swoich kuzynach: błękitnych blezerów, spodni koloru khaki, pastelowych koszulek polo. Stanowiły one ważną część wizerunku chłopców z dobrych dzielnic Nowego Orleanu, a Toby chciał uchodzić za jednego z nich. Starał się mówić tak jak oni i z czasem udało mu się wyeliminować językowe naleciałości, które zdradzały jego skromne pochodzenie i były stale obecne w kąśliwych uwagach, wrzaskliwych narzekaniach i wstrętnych groźbach jego ojca. Jeśli chodzi o sposób mówienia matki, to zawsze był on pozbawiony akcentu i przyjemny dla ucha. Toby starał się zwracać do innych w podobny sposób i wzorować się

pod tym względem bardziej na matce niż jakimś innym członku rodziny.

Traktował Poradnik dla młodych szpanerów nie jak satyrę, lecz prawdziwy podręcznik, dzięki któremu wiedział, jak znaleźć właściwy rodzaj skórzanej torby na książki w sklepie ze starzyzną.

Będąc uczniem szkoły parafialnej przy kościele Najświętszego Imienia Jezus, często przechadzał się kipiącymi zielenią uliczkami odchodzącymi od głównej ulicy Świętego Karola. Nowe, pięknie pomalowane domy, które mijał, napełniały go niejasną tęsknotą. Znajdująca się na obrzeżach miasta Palmer Avenue była jego ulubioną ulicą. Miał wrażenie, że gdyby zamieszkał kiedyś w jednym ze stojących przy niej białych piętrowych domów, osiągnąłby stan absolutnego szczęścia.

Jego pierwszy kontakt z muzyką nastąpił dość wcześnie, za sprawą Konserwatorium imienia Loyoli. To właśnie dźwięk lutni, usłyszany podczas koncertu muzyki renesansowej, stłumił w nim żarliwe pragnienie wstąpienia do stanu duchownego. Z chwilą spotkania życzliwej nauczycielki muzyki, która zgodziła się dawać mu lekcje za darmo, Toby z ministranta zmienił się w pilnego ucznia. Nauczycielkę urzekł krystalicznie czysty dźwięk, jaki chłopiec potrafił wydobyć z lutni, szybka praca palców i niezwykła ekspresja, z jaką grał. Zdziwiła ją to, jak wspaniale radził sobie z powtarzaniem melodii ze słuchu, również tych, wspomnianych przez mnie wcześniej, które tak wryły mu się w pamięć. Toby słyszał śpiew swoich babć, gdy grał, i czasami to im dedykował wychodzące spod jego palców melodie. Po mistrzowsku wygrywał

popularne piosenki, nadając im całkowicie nowe, ulepszone brzmienie.

Pewnego razu jeden z nauczycieli podsunął Toby'emu płytę popularnego piosenkarza Roya Orbisona i wkrótce chłopiec przekonał się, że potrafi zagrać wolniejsze utwory tego wybitnego muzyka i oddać dźwiękami lutni czułość jego głosu. W krótkim czasie Toby nauczył się wszystkich ballad nagranych przez Orbisona.

Nie tylko przerabiał utwory muzyki popularnej, nadając im własny styl, ale też nauczył się grać każdy z nich w wersji klasycznej, dzięki czemu swobodnie poruszał się między stylami, w jednej chwili prezentując gwałtowne, zaraźliwe piękno muzyki Vivaldiego, by w drugiej czule pochylić się nad urzekająco smutnymi dźwiękami Orbisona.

Wysokie wymagania stawiane uczniom liceum jezuitów oraz zajęcia pozalekcyjne sprawiały, że Toby był bardzo zapracowanym chłopcem, dzięki czemu bez trudu trzymał się z dala od bogatych koleżanek i kolegów.

Niektórych z nich darzył co prawda szczerą sympatią, lecz nigdy w życiu nie pozwoliłby im przekroczyć progu zaniedbanego mieszkania, dzielonego z wiecznie pijanymi rodzicami, którzy mogli go śmiertelnie upokorzyć.

Już w dzieciństwie Tobyego cechowała skrupulatność, takim też był

zabójcą. Prawdę mówiąc, przez całe życie towarzyszył mu strach przed ujawnieniem sekretów, których pilnie strzegł, oraz ciągła obawa przed nędzą i przemocą.

Później, gdy już został pełnoetatowym płatnym zabójcą, niebezpieczeństwo dodawało mu skrzydeł. Czasami ze zdumieniem przypominał sobie programy telewizyjne, które kiedyś uwielbiał, i myślał, że jego życie jest o wiele bardziej mroczne i zachwycające, niż to, co pokazywano na ekranie. Choć nigdy się do tego nie przyznał, nawet sam przed sobą, czuł

dumę z powodu tkwiącego w nim zła. Mógł wylewać potoki łez po każdym morderstwie, lecz w głębi duszy rozsadzała go pycha.

Poza instynktem łowcy miał jeszcze jedną, szczególnie istotną cechę, która odróżniała go od zabójców mniejszego kalibru: było mu obojętne, czy przeżyje, czy zginie. Nie wierzył w istnienie piekła, bo nie wierzył w istnienie nieba. Nie wierzył w istnienie diabła, bo nie wierzył w Boga. I choć pamiętał

zarliwą, a nieraz hipnotyzującą wiarę młodzieńczych lat i szanował ją bardziej, niż ktoś mógłby przypuszczać, nie udało się jej skruszyć lodu, który skuwał

jego duszę.

Jak już mówiłem, Toby od dziecka chciał zostać księdzem i nic nie było w stanie wybić mu z głowy tego pragnienia. Nawet gdy grał na lutni, bezustannie się modlił, by wydobyć z niej piękną muzykę, często też układał

melodie do słów ukochanych modlitw. To, że w pewnej chwili zapragnął

również zostać świętym, nie jest w tym momencie istotne. Pomimo młodego wieku postanowił zrozumieć całą historię swojego Kościoła. Szczególną przyjemność sprawiała mu lektura książek na temat Tomasza z Akwinu, którego imię bezustannie przewijało się na lekcjach. Pewnego razu szkołę podstawową Tobyego odwiedził jezuita z pobliskiego uniwersytetu, by wygłosić wykład. Podczas tego wykładu opowiedział uczniom historię, która na zawsze utkwiała chłopcu w pamięci. Mówiła ona o wizji, której wybitny teolog Tomasz doznał u schyłku życia i która sprawiła, że całkowicie potępił

swoje wcześniejsze prace, w szczególności wielką Sumę teologiczną. „Rzecz niewarta uwagi” – takimi słowami odpowiadał święty tym, którzy bezskutecznie usiłowali go nakłonić do kontynuowania dzieła.

Toby rozmyślał nad tą historią aż do dnia, w którym padł na niego mój nieugięty wzrok. Nie był jednak pewien, z czym ma do czynienia: z faktem czy z piękną, ale zmyśloną opowieścią. Wiele rzeczy, które mówiono na temat świętych, okazywało się nieprawdą, bo przecież w tych opowieściach chodziło nie tylko o prawdę historyczną.

W późniejszych latach, już jako bezwzględny zabójca, gdy zmęczyła go gra na lutni, zapisywał swoje przemyślenia na temat zapamiętanych z dzieciństwa faktów, które kiedyś tak wiele dla niego znaczyły. Miał pomysł na książkę, która zszokowałaby cały świat: Dziennik płatnego zabójcy. Ba, oczywiście że słyszał o podobnych pamiętnikach, lecz żaden z autorów nie był

Tobym O'Dare, który czytywał książki teologiczne w przerwach pomiędzy zabójstwami kolejnych bankierów w Genewie czy Zurychu i nie rozstając się z różańcem, popisał się znajomością Moskwy i Londynu tak doskonałą, że udało mu się popełnić cztery strategicznie ważne morderstwa w ciągu zaledwie sześćdziesięciu dwóch godzin. Żaden z autorów pamiętników nie był Tobym O'Dare, swego czasu marzącym o odprawieniu mszy.

Powiedziałem wcześniej, że Toby nie dbał o to, czy zginie, czy przeżyje.

Pozwólcie, że wyjaśnię: nigdy nie podjąłby się misji samobójczej, ponieważ za bardzo lubił życie, choć nigdy się do tego nie przyznał. Poza tym ci, dla których pracował, nie chcieli, by jego ciało zostało znalezione na którymś miejscu zbrodni. Niezaprzeczalnie jednak nie dbał o to, kiedy umrze. Był

również przekonany, że świat, który jego zdaniem nie wykraczał poza materialny, obserwowalny przez człowieka wymiar, byłby bez niego nieco lepszym miejscem. Czasami naprawdę pragnął śmierci, jednak taki stan nie zdarzał się często, a muzyka zawsze pozwalała mu go przewyciężyć. W trudnych chwilach Toby kładł się w swoim luksusowym mieszkaniu i słuchał

starych ballad Roya Orbisona, któregoś z wielu nagrań śpiewaków operowych lub utworów na lutnię, szczególnie z okresu renesansu, kiedy ten instrument znajdował się u szczytu popularności.

Co sprawiło, że stał się namiastką człowieka, ludzkim wrakiem, gromadzącym pieniądze, których wcale nie potrzebował, mordującym ludzi, których nazwisk nie znał, forsującym najbardziej wymyślne zabezpieczenia, jakimi mogły się otoczyć jego ofiary, posłańcem śmierci w przebraniu kelnera, w lekarskim kitlu, za kierownicą wynajętego samochodu, a nawet udającym ulicznego włóczęgę skradającego się chwiejnym krokiem, by wymierzyć komuś śmiertelny cios igłą? Tkwiące w nim zło przyprawiało mnie o dreszcze

– o ile anioł może drzeć – podczas gdy jaśniejące w jego duszy dobro nie przestawało mnie zachwycać.

Wróćmy do wczesnych lat, kiedy wciąż był Tobym O'Dare, starszym bratem Emily i Jacoba, do czasów walki o ukończenie najbardziej rygorystycznej szkoły średniej w Nowym Orleanie, do której mógł uczęszczać wyłącznie dzięki pełnemu stypendium. Pracował wtedy nawet sześćdziesiąt godzin tygodniowo, grając na ulicy, żeby wyżywić i ubrać matkę i rodzeństwo oraz utrzymać mieszkanie, do którego nie miał wstępu nikt poza ich rodziną.

Toby płacił rachunki, zaopatrywał lodówkę, tłumaczył się przed właścicielem domu, po tym jak wycie matki zbudziło któregoś z sąsiadów, sprzątał

wymiociny i gasił ogień, gdy rozgrzany tłuszcz wylał się z patelni prosto na płomień gazu, a matka odskoczyła w tył z dzikim krzykiem i płonącymi włosami.

Być może u boku innego mężczyzny byłaby czułą, kochającą kobietą, lecz gdy chodziła w ciąży z najmłodszym dzieckiem, jej mąż trafił do więzienia, a ona nigdy się z tego nie otrząsnęła. Ojciec

Tobyego, gliniarz wykorzystujący prostytutki w dzielnicy francuskiej, trafił do więzienia Angola, gdzie został

zadźgany na śmierć. Kiedy to się stało, Toby miał zaledwie dziesięć lat.

Przez wiele lat jego matka piła na umór i leżąc na gołej podłodze, mamrotała imię męża: „Dan, Dan, Dan”. Toby nie potrafił ukoić jej bólu, choć kupował jej piękne sukienki i znosił do domu kosze pełne owoców i słodczy.

Przez kilka lat, nim dwójka młodszych dzieci poszła do przedszkola, matka częściowo kontrolowała swój nałóg. Udawało jej się nawet co tydzień doszorować siebie i dzieci na tyle dokładnie, by móc je zabrać na niedzielną mszę. W tamtych czasach Toby kładł się z matką na jej łóżku i razem oglądali telewizję, dzielili bowiem miłość do policji, która wyważała drzwi i łapała nawet najbardziej zdeprawowanych zbrodniarzy.

Gdy tylko pozbyła się młodszych dzieci z domu, spędzała dni na picciu, a noce na odsypianiu i w ten sposób Toby stał się głową rodziny. To on każdego ranka ubierał Jacoba i Emily, po czym zawoził ich do szkoły na tyle wcześnie, by nie spóźnić się na własne zajęcia u jezuitów. Jadąc autobusem, miał tylko kilka chwil na przejrzenie pracy domowej.

W dniu piętnastych urodzin miał już za sobą dwa lata popołudniowej nauki gry na lutni i komponowania utworów. Jacob i Emily odrabiali swoją pracę domową w pokoju sąsiadującym z salą prób, czekając na Tobyego, a nauczyciele w dalszym ciągu kształcili go za darmo.

– Masz wielki talent – powiedział jeden z nich, usilnie namawiając go, by uczył się gry również na innych instrumentach, co być może pozwoli mu w przyszłości utrzymywać się z muzyki.

Toby’emu brakowało czasu na dodatkowe zajęcia. Po nauczeniu Emily i Jacoba opieki nad pijaną matką zaczął spędzać soboty i niedziele we francuskiej dzielnicy, grając na lutni z otwartym futerałem u stóp. Wiedział, że każdy zarobiony przez niego cent będzie ważnym uzupełnieniem skromnej renty po ojcu. Tak naprawdę nie było żadnej renty, lecz Toby trzymał to w sekrecie. Po cichu przyjmował wsparcie od rodziny oraz czeka regularnie wręczane mu przez innych policjantów, którzy nie byli ani lepsi, ani gorsi od jego ojca.

Toby musiał jednak zarobić na każdy dodatkowy wydatek, kupno czegoś ładnego, mundurków, których potrzebowało jego rodzeństwo, i przynajmniej kilku zabawek, które miały im wynagrodzić mieszkanie w zniechęconym przez niego obskurnym lokum. Chociaż więc bezustannie martwił się o stan pozostawionej w domu matki i o to, czy Jacob będzie umiał sobie z nią poradzić, jeśli ona wpadnie w szal, Toby pęczniał z dumy, grając i patrząc na zatrzymujących się przechodniów, którzy nigdy nie zapominali o wrzuceniu do jego futerału banknotu o wysokim nominale.

Mimo że Toby nie miał wiele czasu na naukę muzyki, nadal marzyły mu się studia w konserwatorium, gdy już osiągnie odpowiedni wiek, a w przyszłości granie w restauracji, które gwarantowało stały dochód. Żaden z jego planów nie wydawał się nierealny, więc ufnie patrzył w przyszłość i jednocześnie z całych sił walczył o przetrwanie kolejnego dnia. W chwili gdy gra na lutni pozwoliła mu zarobić dość pieniędzy na czynsz i jedzenie, poznał

smak i znaczenie namacalnego, pięknego sukcesu.

Nigdy też nie przestawał pocieszać matki i dodawać jej otuchy.

Zapewniał ją, że wszystko się wkrótce ułoży, ból zniknie, a pewnego dnia ich rodzina zamieszka w prawdziwym domu na przedmieściach, z podwórkiem dla Emily i Jacoba, trawnikiem oraz pozostałymi atrybutami normalnego życia.

W głębi duszy marzył o tym, że gdy jego rodzeństwo dorośnie i założy własne rodziny, a on dzięki zarobionym pieniądзом wyleczy matkę z alkoholizmu, znowu będzie mógł pomyśleć o seminarium. Nie potrafił

zapomnieć, ile znaczyło dla niego słuzenie do mszy ani uczucia w chwili, gdy wznoszona przez kapłana do góry hostia ze słowami: „To jest bowiem ciało moje” przemienia się w ciało Jezusa Chrystusa. W niedzielne wieczory często grał muzykę liturgiczną, która podobała się falującemu tłumowi tak samo jak znane melodie z repertuaru Johnny’ego Casha i Franka Sinatry. Stworzył

wyrazisty wizerunek ulicznego muzyka, z gołą głową, porządnie ubranego w niebieską wełnianą kurtkę i ciemne wełniane spodnie. Nawet te drobne szczegóły sprawiały, że czuł nad innymi swego rodzaju przewagę.

Im bardziej szlifował swój talent, im więcej muzycznych życzeń potrafił

spełnić, wykorzystując bogatą gamę możliwości instrumentu i nie zważając na własne zmęczenie, tym większą zaskarbiał sobie sympatię turystów oraz mieszkańców dzielnicy. Szybko zyskał grupę wiernych słuchaczy, którzy regularnie przychodzili na występy Tobyego i nigdy nie zapominali sownie go za nie nagrodzić.

Jeden z hymnów, które miał w swoim repertuarze: „Ja jestem chlebem życia. Kto do mnie przychodzi, nie będzie głodny”, cieszył się szczególnym uznaniem. Była to porywająca pieśń. Grając ją, zapominał o bożym świecie i wznosił się na wyżyny swego talentu. Następnie patrzył w dół i oszołomiony znajdował w futerale dość pieniędzy, by kupić za nie spokój ducha na najbliższy tydzień lub dłużej. Wówczas miał ochotę się rozplakać.

Grał i śpiewał również własne kompozycje, wariacje na tematy muzyczne z płyt podarowanych mu przez nauczycieli. Łączył fragmenty utworów Bacha, Mozarta, a nawet Beethovena i innych artystów, których nazwisk nie potrafił spamiętać. Niektóre ze swoich kompozycji nawet zapisał, pod baczным okiem nauczycielki dbającej o to, by jej uczeń nie popełnił błędu.

Zapis muzyki lutniowej różnił się bowiem od innych partytur wykorzystaniem tabulatury, którą Toby darzył szczególnym upodobaniem. Nauka prawdziwej teorii muzyki i zapisu nutowego przychodziła mu jednak z trudem. Wyobrażał

sobie, że gdyby przyswoił sobie dość wiedzy, by sam mógł uczyć, choćby małe dzieci, jego życie stałoby się całkiem znośne.

Emily i Jacob szybko nauczyli się sami ubierać i patrzyli na świat śmiertelnie poważnym spojrzeniem

dzieci, które musiały zbyt szybko wydorosnąć, podobnym do wyrazu oczu ich brata. Samodzielnie jeździli do szkoły tramwajem i na wyraźne polecenie Tobyego nigdy nie zapraszali nikogo do domu. Nauczyli się robić pranie, prasować szkolne ubrania, chować przed matką pieniądze i przywoływać ją do porządku, gdy wpadała w szał i zaczynała demolować mieszkanie.

– Jeśli nic innego nie poskutkuje, wiejcie jej to do gardła – poradził im Toby.

Czasami tylko alkohol mógł sprawić, że matka przestawała się awantuować.

Patrzyłem na to wszystko. Przewracałem kartki w księdze jego życia i podkreślałem światło, by przeczytać to, co napisano drobnym drukiem.

Kochałem go.

Widziałem leżącą na jego biurku książeczkę do nabożeństwa i jeszcze jedną książkę, którą co jakiś czas czytał dla czystej przyjemności. Zdarzało mu się też odczytywać jej fragmenty Emily i Jacobowi. Książka nosiła tytuł Anioły i została napisana przez ojca Pascala Parente. Toby znalazł ją w tym samym sklepie przy Magazine Street, w którym zaopatrywał się w krwawe kryminały, i kupił ją razem z żywotem świętego Tomasza z Akwinu autorstwa G.K.

Chestertona. Od czasu do czasu zmuszał się do przeczytania jego fragmentu, choć to trudna książka. Można powiedzieć, że lektury były w życiu Toby'ego równie ważne, jak grane na lutni utwory, a obie te rzeczy dorównywały znaczeniem jego matce, Emily i Jacobowi.

Jego Anioł Stróż, nieustający w próbach poprowadzenia Toby'ego właściwą ścieżką nawet w czasach największej życiowej zawieruchy, wydawał

się zdumiony różnorodnością pasji, jakie zawładnęły duszą chłopca. Moim zadaniem była jednak obserwacja Tobyego, a nie anioła, który tak ciężko pracował, by podtrzymać płomień w dziecięcym sercu, i liczył na to, że jakimś cudem zdoła ocalić całą jego rodzinę.

Pewnego letniego dnia Toby czytał w swoim łóżku. Odwrócił się na brzuch, zdjął skuwkę z długopisu i podkreślił następujące słowa: „W swej wierze winniśmy przyjąć, że aniołowie nie zostali obdarzeni zdolnością kardiognozy (poznawania tajemnic ludzkiego serca) ani też wiedzą dotyczącą przyszłych aktów wolnej woli, przynioty te bowiem stanowią boski przywilej”.

Uwielbiał to zdanie i uczucie tajemniczości, jakie udzielało mu się podczas lektury całej książki.

Prawdę powiedziawszy, nie chciał wierzyć w to, że anioły są pozbawione serca. Pamiętał pewien stary obraz przedstawiający scenę ukrzyżowania, na którym były szlochające anioły, lubił też myśleć, że Anioł Stróż jego matki płakał, widząc ją pijaną i przybitą. Jeśli nawet aniołowie nie mieli serc ani umiejętności czytania w nich, wołał o tym nie wiedzieć. Mimo to sama idea wydawała mu się urzekająca, podobnie jak aniołowie, i zwracał się do swojego niebiańskiego opiekuna tak często, jak tylko mógł.

Nauczył Emily i Jacoba, by co wieczór klękali i odmawiali starą modlitwę:

Aniele Boży, stróžu mój,

Ty zawsze przy mnie stój,

Rano, wieczór, we dnie, w nocy.

Bądź mi zawsze ku pomocy.

Kupił im nawet obrazek z Aniołem Stróżem. Było to bardzo popularne przedstawienie, którego reprodukcję zobaczył po raz pierwszy w jednej z sal lekcyjnych w szkole podstawowej. Pojechał do centrum handlowego, kupił

ramkę i samodzielnie oprawił obrazek, a następnie powiesił na ścianie w pokoju dzielonym przez ich trójkę. Jacob i Toby spali na piętrowym łóżku, a Emily na ustawionej przy przeciwległej ścianie połówce, którą rano można było złożyć.

Do oprawienia obrazka wybrał strojną złotą ramkę. Podobały mu się zdobiące ją paciorki, motyw liści w narożnikach i to, że tworzyła wyraźną granicę pomiędzy światem obrazka a wyblakłą tapetą na ścianie ciasnego pokoju.

Anioł Stróż przybrał imponującą kobiecą postać z kaskadą złocistych włosów oraz parą ogromnych białych skrzydeł z błękitnymi końcówkami, ubraną w zwiewną, przykrytą płaszczem białą tunikę. Czuwał nad parą małych dzieci, chcących przejść przez chybocliwy, dziurawy mostek. Ile milionów dzieci widziało ten obrazek?

– Pamiętajcie, że zawsze możecie zwrócić się do swojego Anioła Stróża –

powtarzał Emily i Jacobowi Toby, kiedy klękali do wieczornej modlitwy.

Opowiedział im, jak rozmawiał ze swoim aniołem, zwłaszcza w te wieczory, kiedy datki od przechodniów były szczególnie skromne.

– Prosiłem go: Sprowadź mi więcej ludzi, i to właśnie robił.

Toby upierał się, że mówi szczerą prawdę, choć Emily i Jacob przyjmowali jego słowa ze śmiechem.

Emily zapytała pewnego razu, czy mogą się pomodlić również do Anioła Stróża ich matki, żeby przestała być ciągle pijana. Toby zdziwił się, gdyż w ich obecności ani razu nie użył słowa „pijany”. Nie używał go w rozmowie z nikim, nawet ze swoim spowiednikiem. Był zdumiony, że ledwie siedmioletnia Emily wiedziała o wszystkim. Na sam dźwięk tego słowa przeszył go dreszcz.

Powiedział braciszkowi i siostrzyczce, że ich życie nie zawsze będzie tak wyglądało, a on sam zadba o to, by było im coraz lepiej. Zamierzał dotrzymać danego słowa.

W liceum jezuitów szybko stał się jednym z najlepszych uczniów w klasie. W soboty i niedziele grał na ulicy po piętnaście godzin, by nie musiał

tego robić po szkole i mógł pogłębiać swoją muzyczną edukację.

Gdy miał szesnaście lat, pewna restauracja zaproponowała mu występy w weekendowe wieczory. Zarabiał co prawda nieco mniej niż na ulicy, lecz miał zapewniony stały dochód. W razie potrzeby

obsługiwał także gości i dostawał przyzwoite napiwki, oczekiwano jednak od niego przede wszystkim uduchowionej, niespotykanej muzyki, co bardzo go cieszyło. Wszystkie zarobione pieniądze chował przez lata w różnych skrytkach w mieszkaniu: w leżących w szufladach rękawiczkach, pod luźną klepką, pod materacem Emily, za piecykiem, a nawet w folii aluminiowej w zamrażalniku.

W wyjątkowo dobry weekend zarabiał kilkaset dolarów, a kiedy skończył

siedemnaście lat, konserwatorium ufundowało mu pełne stypendium, by mógł

kontynuować naukę muzyki. Osiągnął zamierzony cel. Był to najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Już od progu podzielił się z matką wspaniałą nowiną:

– Mamo, udało się, wreszcie mi się udało! Mówię ci, teraz już wszystko się ułoży.

Kiedy odmówił jej pieniędzy na alkohol, chwyciła jego lutnię i rozbiła ją o kant kuchennego stołu. Zabrakło mu tchu. Bał się, że może umrzeć.

Zastanawiał się, czy można się zabić, po prostu przestając oddychać. Zrobiło mu się niedobrze, usiadł więc na krześle, zwiesił smutno głowę, opuścił

beładnie ręce i słuchał, jak jego matka miota się po mieszkaniu, szlochając i szpetnie złorzecząc pod nosem wszystkim, których winiła za swój obecny stan, kłócąc się z jego zmarłą babcią i bełkocząc bez końca: „Dan, Dan, Dan”.

– Wiesz, czym zaraził mnie twój ojciec? – wrzasnęła nagle. – Wiesz, co przywłókł od tych kobiet z francuskiej dzielnicy? Zdajesz sobie sprawę, z czym mnie zostawił?

Te słowa przeraziły Toby'ego.

Mieszkanie cuchnęło wódką. Toby miał ochotę umrzeć. Wiedział jednak, że Emily i Jacob lada chwila wysiądą z tramwaju, zaledwie kilka przecznic od domu. Poszedł do sklepu na rogu, kupił butelkę burbona, mimo że był

nioletni, wrócił do mieszkania i siłą wlał matce alkohol do gardła, łyk za łykiem, aż kompletnie pijana zwała się na materac.

Po tym zdarzeniu stała się jeszcze bardziej nieznośna. Widząc jak jej dzieci szykują się do szkoły, wyzywała je od najgorszych, zupełnie jakby zamieszkał w niej demon. To jednak nie był demon. Toby doskonale wiedział, że to alkohol trawił mózg ich matki.

Jego ostatnia nauczycielka podarowała mu nową lutnię, o wiele droższą niż poprzednia. Pilnował jej jak oka w głowie.

– Kocham panią za to – powiedział, całując upudrowany policzek nauczycielki, która odpowiedziała, że pewnego dnia ta lutnia i nagrana przez Tobyego muzyka okryją sławą jego imię.

Kłęcząc w długiej, mrocznej nawie kościoła Najświętszego Imienia Jezus, z wzrokiem utkwionym w ołtarzu, modlił się słowami:

– Boże, przebacz mi. Pragnę, choć nie powinienem, by moja matka umarła.

Jak w każdy weekend troje dzieci wysprzątało całe mieszkanie, a ich matka leżała pijana – niczym królewna śpiąca pod wpływem zaklęcia – z rozchylonymi ustami i gładką młodzieńczą twarzą. Woń jej oddechu była niemal słodka, jak sherry. Jacob zamruczał pod nosem:

– Biedna, pijana mamusia.

Toby był zszokowany, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszał

podobne słowa z ust Emily.

W połowie klasy maturalnej Toby zakochał się w Żydówce z Newman School, koedukacyjnej szkoły w Nowym Orleanie, o renomie równie dobrej jak jezuicka. Dziewczyna miała na imię Liona i pojawiła się w męskim liceum, do którego uczęszczał, by zagrać główną rolę w musicalu. Toby wygospodarował

trochę czasu, by go obejrzeć, a kiedy zaprosił ją na bal, Liona natychmiast się zgodziła. Nie posiadał się z radości i całkowicie stracił głowę dla ciemnowłosej piękności obdarzonej zachwycającym sopranem.

Po balu siedzieli na tyłach pięknego domu Liony przy Nashville Avenue.

W ciepłym, pachnącym ogrodzie wyznał jej prawdę o swojej matce.

Zareagowała ze współczuciem i zrozumieniem. O świcie zakradli się do domku dla gości i spędzili w nim upojne chwile. Toby nie chciał, by wiedziała, że to jego pierwszy raz. Powiedział jej o tym dopiero wtedy, gdy sama przyznała się, że właśnie straciła dziewictwo. Na jego miłosne wyznanie Liona zareagowała łzami. Zapewniła go, że nigdy nie poznała nikogo takiego jak on. Długie czarne włosy, ciemne oczy, miękkie, kojący głos i to, że rozumiała go bez słów, czyniły z niej ucieleśnienie marzeń Tobyego. Podziwiał siłę i przenikliwą inteligencję Liony. Prześladował go strach przed jej utratą.

Odwiedziła go, kiedy grał na Bourbon Street w wiosennej spiekocie.

Przyniosła mu zimną coca-colę z pobliskiego sklepu i stała zaledwie kilka kroków od Tobyego, przysłuchując się muzyce. Gdyby nie konieczność nauki, spędzałaby z nim każdą wolną chwilę. Była bystra i miała ogromne poczucie humoru. Kochała dźwięk lutni i w pełni rozumiała jego zamiłowanie do wyjątkowego brzmienia oraz pięknego kształtu tego instrumentu. Toby z kolei ubóstwiał głos Liony (o wiele lepszy niż jego własny) i wkrótce spróbowali zaśpiewać razem. Wykonywała głównie piosenki broadwayowskie, dzięki czemu repertuar Tobyego znacznie się wzbogacił. Gdy tylko pozwalał im na to czas, występowali w duecie.

Pewnego popołudnia – po tym jak przez krótki czas jego matka czuła się lepiej – przyprowadził

Lionę do domu. Mimo starań nie udało jej się ukryć szoku na widok ciasnego, przeludnionego mieszkania i pijackiego niechlujstwa matki Tobyego, siedzącej przy kuchennym stole z papierosem w rękę i układającej pasjansa. Toby widział wstyd malujący się na twarzach rodzeństwa. Jacob zapytał go później:

– Dlaczego ją tutaj przyprowadziłeś, wiedząc, w jakim mama jest stanie?

Jak mogłeś to zrobić?

Jacob i Emily patrzyli na niego jak na zdrajcę.

Tamtego wieczoru, kiedy Toby skończył grać na Royal Street, Liona spotkała się z nim. Raz jeszcze spędzili wiele godzin na rozmowie, a potem wślizgnęli się do gościnnego domku jej rodziców.

Na myśl o tym, że zdradził komuś swoje największe sekrety, Toby czuł

rosnący wstyd. W głębi duszy był też przekonany, że nie zasługuje na Lionę.

Jej czułość i serdeczność wprawiały go w zakłopotanie. Poza tym wierzył, że popełnia grzech, kochając się z nią, choć nie było szans, by mogli w przyszłości wziąć ślub. Miał na głowie tyle zmartwień, że kontynuowanie związku podczas nauki w college'u wydawało mu się niemożliwe. Dręczyła go obawa, że Liona się nad nim lituje.

Zbliżał się czas egzaminów końcowych i żadne z nich nie miało czasu na spotkania.

W dniu rozdania świadectw jego matka zaczęła pić już o czwartej i ostatecznie kazał jej zostać w domu. Nie mógł znieść myśli, że pojawi się w centrum miasta niechlujnie ubrana, z rozmazaną szminką, nadmiarem rózu na policzkach i szopą włosów na głowie. Próbował je uczesać, ale policzkowała go raz po raz, dopóki nie chwycił jej mocno za nadgarstki i nie wrzasnął przez zaciśnięte zęby:

– Przestań, mammo!

Wtedy zaczęła gwałtownie szlochać, zupełnie jak dziecko. Emily i Jacob byli przerażeni.

Ich matka płakała, oparłszy głowę na ramionach, kiedy Toby zdejmował

odświętne ubranie. Nie wybierał się do miasta na uroczystość rozdania świadectw – uznał, że szkoła i tak mu je prześle. Był jednak wściekły jak nigdy dotąd. Pierwszy raz w życiu nazwał matkę pijaczką i dziwką. Drżał na całym ciele, a z oczu ciekły mu łzy. Emily i Jacob szlochali w drugim pokoju.

Matka zaczęła się awanturować. Powiedziała, że chce się zabić. Przez chwilę walczyła z Tobym, usiłując mu zabrać kuchenny nóż.

– Przestań, uspokój się – mówił przez zaciśnięte zęby. – W porządku, przyniosę twoją cholerną gorzałkę – powiedział w końcu i poszedł kupić sześciopak piwa, butelkę wina oraz burbona.

Uznał, że ta ilość alkoholu powinna wystarczyć matce na cały wieczór.

Pochłonawszy pierwsze piwo, zaczęła błagać Tobyego, by położył się na jej łóżku. Piła wino duszkiem. Z płaczem poprosiła o odmówienie z nią różańca.

– Mam to pragnienie we krwi – powiedziała.

Nie zareagował. Wiele razy zabierał ją na spotkania Anonimowych Alkoholików. Na żadnym nie wytrzymała dłużej niż kwadrans.

Wreszcie położył się obok niej i zmówili razem różaniec. Przyciszonym głosem, bez cienia skargi i dramatyzmu, opowiedziała mu o tym, jak jej ojciec, którego Toby nigdy nie poznał, zapił się na śmierć, dzieląc los swojego ojca.

Mówiła też o wszystkich przedwcześnie zmarłych wujkach, również alkoholikach.

– Mam to pragnienie we krwi – powtórzyła. – Ono płynie w moich żyłach. Musisz ze mną zostać, Toby, i ponownie zmówić ze mną różaniec.

Dobry Boże, pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi.

– Posłuchaj, mam – odparł. – Będę zarabiał na muzykowaniu coraz więcej. Latem mam załatwioną pracę w restauracji. Przez całe lato, siedem wieczorów w tygodniu, będę grał i dostawał za to pieniądze. Rozumiesz, co to oznacza? Jeszcze nigdy nie zarabiałem aż tyle.

Mówił dalej, widząc, że jej oczy stają się coraz bardziej szkliste i powoli zapada w stan alkoholowego upojenia.

– Mamo, zamierzam skończyć konserwatorium. Będę mógł uczyć muzyki, może nawet nagram kiedyś płytę, kto wie. W każdym razie dyplom zdobędę na pewno. Mamo, będę mógł uczyć. Musisz wytrzymać i we mnie uwierzyć.

Patrzyła na niego oczami jak ze szkła.

– Posłuchaj, za niecałe dwa tygodnie będę miał dość pieniędzy, by wynająć kogoś, kto zajmie się praniem i pomoże dzieciom w odrabianiu prac domowych. Będę pracował cały czas. Będę grał, zanim jeszcze otworzą restaurację. – Gdy położył ręce na ramionach matki, jej usta wykrzywił

upiorny uśmiech. – Jestem już mężczyzną, mam. Uda mi się!

Powoli osunęła się w sen. Było już po dwudziestej pierwszej.

Czy anioły rzeczywiście nie znają ludzkich serc? Szlochałem, słuchając Tobyego i obserwując tę scenę.

Mimo że jego matka zasnęła, nie przestawał opowiadać o ich wyprowadzce z nędznego, ciasnego mieszkania. Emily i Jacob nie przestaną chodzić do szkoły przy kościele Najświętszego Imienia

Jezus. Toby będzie ich odwoził samochodem, który zamierzał kupić. Miał już nawet coś na oku.

– Mamo, chciałbym, żebyś przyszła na mój pierwszy występ w konserwatorium. Chcę was widzieć w łoży: ciebie, Emily i Jacoba. To już niedługo. Moja nauczycielka pomaga mi w przygotowaniach. Załatwię dla wszystkich bilety. Mamo, wszystko będzie dobrze, moja w tym głowa, rozumiesz? Załatwię ci lekarza, mam, takiego, który będzie umiał ci pomóc.

Pogrążona w pijackim śnie, wymamrotała:

– Tak, kochanie, dobrze, kochanie, dobrze.

Około dwudziestej trzeciej dał matce kolejne piwo, po którym zasnęła kamiennym snem, a w zasięgu jej ręki postawił butelkę z winem. Upewnił się, że Emily i Jacob przebrali się w piżamy i leżą w łóżkach, po czym włożył

smoking oraz sztywną elegancką koszulę, kupioną specjalnie na uroczystość wręczenia świadectw. Był to oczywiście najlepszy strój, jaki posiadał. Kupił go za gotówkę. Wiedział, że będzie mógł go wkładać dla lepszego efektu podczas występów na ulicach, a może nawet w elegantszych restauracjach.

Pojechał do centrum, by zarobić swoją grą trochę pieniędzy.

W całym mieście urządzano tej nocy przyjęcia na cześć świeżo upieczonych absolwentów liceum jezuitów. Nikt nie świętował ukończenia szkoły przez Tobyego.

Zatrzymał się tuż obok najbardziej popularnych barów przy Bourbon Street, otworzył futerał i zaczął grać. Włożył serce i duszę w wykonanie najsmutniejszej ballady, jaka wyszła spod pióra Roya Orbisona.

Dwudziestodolarówki posypały się niemal natychmiast. Wysoki, elegancko ubrany mężczyzna stanowił niezwykły widok na tle obdartych, stojących tu i ówdzie ulicznych grajków, zaczepiających przechodniów żebraków i bardzo utalentowanych, lecz wzbudzających litość stepujących tancerzy.

Na życzenie jednej z par ze sześć razy wykonał piosenkę Danny Boy, za co nagrodzili go banknotem studolarowym, który szybko schował do portfela.

Zagrał wszystkie ukochane przez publiczność szlagiery, jakie znał. Obserwując entuzjazm, z jakim przyjęła muzykę bluegrass, zabawił się przez chwilę w wiejskiego grajka z lutnią zamiast skrzypiec, a słuchacze zaczęli tańczyć wokół

niego. Wyrzucił z umysłu wszystko z wyjątkiem muzyki.

Z nastaniem świtu udał się do katedry St. Louis, by pomodlić się słowami jednego z ulubionych psalmów z katolickiej Biblii jego babci: Wybaw mnie, Boże,

bo woda mi sięga po szyję.

Ugrzązłem w mule topieli

i nie mam nigdzie oparcia,

trafiłem na wodną głębinę

i nurt wody mnie porywa.

Zmęczyłem się krzykiem

i ochrypło mi gardło,

osłabły moje oczy,

gdy czekam na Boga mojego.

Na koniec wyszeptał:

– Dobry Boże, czemu jeszcze nie ukoileś tego cierpienia?

Miał teraz ponad sześćset dolarów na zapłacenie rachunków, więcej, niż potrzebował. Jakie to jednak miało znaczenie, skoro nie potrafił ocalić matki?

– Dobry Boże – modlił się. – Nie pragnę jej śmierci. Przepraszam, że się o to modliłem. Dobry Panie, weź ją w swoją opiekę.

Kiedy wyszedł z kościoła, podeszła do niego żebraczka. Była nędznie ubrana i mamrotała pod nosem coś o lekarstwach dla umierającego dziecka.

Toby wiedział, że kobieta kłamie. Widział ją niejednym razem, zawsze opowiadała tę samą historię. Przez dłuższą chwilę przyglądał się żebraczce, wreszcie uciszył ją machnięciem ręki i dwudziestodolarowym banknotem.

Mimo zmęczenia postanowił zaoszczędzić kilka dolarów i zamiast jechać taksówką, wrócił do domu tramwajem, patrząc przez okno obojętnym wzrokiem.

Koniecznienie musiał się spotkać z Lioną. Wiedział, że ubiegłego wieczoru razem ze swoimi rodzicami poszła zobaczyć, jak Toby odbiera świadectwo, i chciał jej wytłumaczyć, dlaczego nie było go na uroczystości. Pamiętał, że mieli na tamten wieczór jakieś wspólne plany, lecz wydały mu się one bardzo odległe, a on sam był zbyt zmęczony, by zastanowić się, co powie, kiedy się wreszcie spotkają. Myślał tylko o jej wielkich, kochających oczach, żywej inteligencji, ciętym dowcipie, którego nigdy nie ukrywała, oraz perlistym śmiechu. Myślał o wszystkich zachwycających cechach Liony i o tym, że z pewnością ją straci, gdy oboje pójdą na studia. Dostała co prawda stypendium w tej samej szkole muzycznej co on, lecz czy mógł konkurować z wszystkimi młodymi mężczyznami, których dziewczyna niechybnie spotka na swojej drodze?

Natura obdarzyła ją doskonałym głosem i – o czym mógł się przekonać, oglądając ją w

przedstawieniu w liceum jezuitów – wrodzoną swobodą bycia na scenie, przyjmowania oklasków, kwiatów i komplementów z wytwornością, ale też pewnością siebie. Była urodzoną gwiazdą. Nie rozumiał, dlaczego w ogóle zwracała sobie nim głowę. Czuł, że powinien się wycofać, pozwolić jej odejść, i jednocześnie ledwie powstrzymywał łzy na samą myśl o tym.

Zgrzytający, szczękający tramwaj coraz bardziej oddalał się od centrum.

Toby objął ramionami swoją lutnię i nawet na chwilę zasnął. Obudził się na swoim przystanku, wysiadł i ruszył w dalszą drogę, powłócząc nogami. Gdy tylko wszedł do mieszkania, poczuł, że coś jest nie w porządku.

W wannie leżały zwłoki utopionych Emily i Jacoba. Ich matka leżała martwa na łóżku, z podciętymi żyłami, a narzuta i połowa poduszki były przesiąknięte krwią.

Przez długi czas wpatrywał się w ciała siostry i brata. Część wody wyciekła z wanny, ale ich piżamy w dalszym ciągu były pomarszczone od wilgoci. Na ciele Jacoba widniały liczne siniaki. Przed śmiercią musiał stoczyć straszną walkę. Twarz Emily po przeciwnej stronie wanny była gładka i bez skazy, a oczy dziewczynki zamknięte. Być może była pogrążona we śnie, kiedy matka ją topiła. Woda wymieszała się z krwią, widoczną również na baterii wanny, o którą Jacob musiał roztrzaskać sobie głowę, kiedy matka wpychała mu ją pod wodę. Obok jej ciała leżał kuchenny nóż. Prawie obcięła sobie lewą dłoń, tak głęboka była rana poniżej, lecz wykrwawiła się na śmierć z obu nadgarstków.

Wiedział, że wszystko to musiało się wydarzyć wiele godzin wcześniej.

Krew była zaschnięta, tylko gdzieniegdzie jeszcze trochę lepka. Mimo to wyciągnął brata z wanny i usiłował przywrócić go do życia. Jego ciało było lodowato zimne, przynajmniej takie się wydawało, i przelewało się Toby'emu przez ręce.

Nie potrafił się zmusić, by dotknąć matki lub siostry. Powieki matki były do połowy zamknięte, a usta rozchylone. Jej ciało wyglądało jak wyschnięte, przypominało skorupę. „Właśnie tak – pomyślał Toby – skorupę”. Jego wzrok padł na różaniec, cały we krwi, która pokrywała również pomalowaną, drewnianą podłogę.

W powietrzu unosił się zapach wina i piwnego słodu. Po ulicy jeździły samochody. Słysząc było zgrzyt tramwaju, który przemknął po szynach ledwie kilka przecznic dalej.

Toby wszedł do salonu i przez długi czas siedział w nim, z lutnią na kolanach.

Dlaczego nie przewidział, że zdarzy się coś takiego? Jak mógł zostawić Emily i Jacoba samych z matką? Dobry Boże, czemu się nie domyślił, że pewnego dnia dojdzie do tragedii? Jacob miał tylko dziesięć lat. Na rany Chrystusa, jak mógł dopuścić do ich śmierci!?

Toby nie miał wątpliwości: wina leżała wyłącznie po jego stronie. Myślał

o tym, że matka może sobie zrobić krzywdę, a nawet – Boże, przebacz –

modlił się o to w katedrze. Lecz coś takiego? Jego brat i siostra nie żyją?

Zabrakło mu tchu. Przez chwilę wydawało mu się, że nigdy już nie zdoła zaczerpnąć powietrza. Dopiero gdy wstał, z jego płuc wyrwał się oddech, który zamienił się w suchy, urywany szloch.

Obojętnie przyglądał się nędznemu mieszkaniu, ohydny, niedopasowanym meblom: staremu dębowemu biurku, tanim krzesłom obitym materiałem w kwiatki, i nagle cały świat wydał mu się plugawy, szary.

Poczuł, jak wzbiera w nim strach, zamieniający się w śmiertelne przerażenie.

Serce waliło mu jak oszalałe. Przyglądał się brzydkim rysunkom kwiatów, które kupił w centrum handlowym – nie pojmował, co nim wtedy kierowało –

rozwieszonym na wytapetowanych ścianach. Patrzył na nędzne firanki, również jego wybór, zasłaniające tanie białe okienne rolety. Wolał nie zaglądać do sypialni, by uniknąć widoku obrazka przedstawiającego Anioła Stróża. Czuł, że gdyby stanął z nim oko w oko, zerwałby go ze ściany i porwał

na strzępy. Nigdy więcej nie zaufa komuś takiemu.

Po bólu pojawił się smutek. Gdy cierpienie stało się zbyt trudne do zniesienia, zastąpiło je przygnębienie. Mrok spowił wszystko, co drogie jego sercu, idee życzliwości i miłości wydały mu się nieprawdziwe i nieosiągalne.

Usiadł, przekonany, że świat wokół niego pogrąża się w brzydocie i ruinie.

Podczas tych długich spędzonych w mieszkaniu godzin kilkakrotnie słyszał dźwięk automatycznej sekretarki. Dzwoniła Liona. Wiedział, że nie może podnieść słuchawki, spotkać się z nią, porozmawiać ani wytłumaczyć, co się stało.

Nie modlił się. Ani przez moment nie przyszło mu do głowy, by porozmawiać z aniołem stojącym u jego boku czy z Bogiem, do którego zwracał się zaledwie półtorej godziny wcześniej. Nigdy więcej nie zobaczy swojego brata i siostry żywych, podobnie jak matki, ojca oraz wszystkich, których znał. O tym właśnie myślał. Byli martwi, nieodwracalnie martwi. Nie istniało nic, w czym pokładałby wiarę. Gdyby w tamtej chwili ktoś do niego przyszedł, tak jak usiłował to zrobić jego Anioł Stróż, i powiedział: „Jeszcze ich wszystkich zobaczysz”, niewykluczone, że w przypiływie furii oplułby taką osobę.

Toby spędził w mieszkaniu cały dzień, otoczony zmarłymi członkami swojej rodziny. Drzwi od łazienki i sypialni zostawił otwarte, bo nie chciał

opuszczać leżących tam ciał. Wydawało mu się, że okazuje im w ten sposób należny szacunek.

Liona dzwoniła jeszcze dwukrotnie, choć za drugim razem na wpół

drzemał i nie był pewien, czy naprawdę słyszał jej głos. Po jakimś czasie zapadł w głęboki sen, a gdy otworzył oczy, nie pamiętał, co się stało. Przez chwilę wydawało mu się, że jego rodzina żyje i wszystko wróciło do normy.

Szybko jednak dotarła do niego prawda, bolesna jak cios obuchem.

Przebrał się w sweter i spodnie khaki, po czym zapakował swoje najlepsze ubrania do walizki, którą jego matka zabierała do szpitala, gdy rodziła dzieci. Zabrał też całą gotówkę ukrytą w schowkach.

Ucałował braciszka, podciągnął rękaw, zanurzył rękę w nieruchomej wodzie i czule dotknął palcami policzka siostry. Następnie złożył pocałunek na ramieniu matki. Raz jeszcze spojrzął na różaniec. Nie znawiała go, gdy uciekało z niej życie. Po prostu tam leżał, splątany i porzucony. Podniósł

różaniec z łóżka, wrócił do łazienki, wypłukał go do czysta, osuszył ręcznikiem i schował do kieszeni.

Śmierć odcisnęła swoje piętno na zwłokach, upodabniając je do pustych łupin. Trupi odór jeszcze się nie pojawił, ale nie było w nich śladu życia.

Uwagę Tobyego przykuła sztywność twarzy jego matki. Leżące na podłodze ciało Jacoba było suche i pomarszczone.

Miał już wychodzić, gdy postanowił wrócić do biurka i zabrać z sobą dwie książki: książeczkę do nabożeństwa oraz Anioły ojca Pascala Parente.

Nie umknęło to mojej uwagi. Obserwowałem go z żywym zainteresowaniem. Patrzyłem, z jakim pietyzmem chował swoje ukochane lektury do wypchanej walizki. Myślał o zabraniu pozostałych religijnych książek, które tak uwielbiał czytać, na przykład Żywotów świętych, lecz nie miał na nie miejsca.

Pojechał tramwajem w stronę centrum i przy pierwszym mijanym hotelu złapał taksówkę, która zawiozła go na lotnisko. Tylko raz przemknęło mu przez myśl, żeby zadzwonić na policję i opowiedzieć, co się stało. Ogarnął

go jednak tak silny gniew, że ostatecznie porzucił ten pomysł. Postanowił

polecieć do Nowego Jorku. Uznał, że tam nikomu nie uda się go odnaleźć.

Przez całą podróż ścisnął kurczowo lutnię, jakby ktoś chciał mu ją zabrać. Wyglądał przez okno w samolocie, pogrążony w żalu tak głębokim, że nie wierzył, by kiedykolwiek poczuł choć cień radości. Nie pomogło mu nawet mrużenie pod nosem melodii, które najbardziej lubił grać. W jego głowie huczało tak, jakby horda piekielnych potworów usiłowała doprowadzić go swoją koszmarną muzyką do szaleństwa. Zaczął mówić do siebie przyciszonym głosem, w nadziei, że uda mu się je uciszyć. Wsunął ręce do kieszeni, odnalazł różaniec i zaczął się modlić, nie zwracając większej uwagi na odmawiane tajemnice.

– Zdrowaś Maryjo – szeptał – ... teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

„To tylko słowa”, pomyślał. Nie potrafił wyobrazić sobie wieczności.

Kiedy stewardesa zapytała go, czy ma ochotę na coś do picia, odparł:

– Ktoś ich pochowa.

Podawała mu colę z lodem. Nie zmrużył oka. Podróż do Nowego Jorku trwała zaledwie dwie i pół godziny, ale samolot dość długo krążył, nim wreszcie dotknął ziemi.

Myślał o matce. Co więcej mógł zrobić? Gdzie powinien był ją umieścić?

Szukał ośrodków, lekarzy, dobrego sposobu, obojętnie jakiego sposobu, by zyskać na czasie, nim zdoła ich wszystkich uratować. Może nie działał

dostatecznie szybko, nie był wystarczająco sprytny? Może powinien poprosić o pomoc swoich nauczycieli? To już nie ma najmniejszego znaczenia, powtarzał

sobie.

Nastał wieczór. Gigantyczne ciemne budynki we wschodniej części miasta miały w sobie coś diabelskiego. Poczul się oszołomiony, słysząc miejski zgiełk, który zdawał się go osaczać w mknącej ulicami taksówce i tłamsić za każdym razem, gdy zatrzymywali się na światłach. Siedzący za grubą plastikową szybą kierowca sprawiał wrażenie widma. Toby zastukał w oddzielający ich plastik i powiedział, że potrzebuje taniego hotelu. Bał się reakcji taksówkarza: co zrobi, jeśli ten weźmie go za dziecko i zawiezie na najbliższy posterunek? Nie zdawał sobie sprawy z tego, że przy metrze dziewięćdziesięciu trzech centymetrach wzrostu i z posępnym wyrazem twarzy w niczym nie przypominał dziecka. Hotel okazał się lepszy, niż przypuszczał.

Przemierzając ulice w poszukiwaniu pracy, rozmyślał wyłącznie o złych rzeczach. Ani na chwilę nie rozstawał się z lutnią. Przypominał sobie popołudnia, kiedy jako mały chłopiec wracał do domu i znajdował oboje rodziców pijanych. Ojciec Tobyego był marnym policjantem, o czym wszyscy wiedzieli. Nie znosił go żaden z krewnych jego matki, która nie ustawała w tłumaczeniach syna i jednoczesnych prośbach, by zaczął lepiej traktować swoją żonę i dzieci.

Już jako mały chłopiec Toby wiedział, że jego ojciec znęca się nad kobietami lekkich obyczajów w dzielnicy francuskiej, wymuszając od nich różne usługi, zanim „puszczał je wolno”. Słyszał, jak chwali się tym przed kilkoma policjantami, którzy wpadali do ich domu na partyjkę pokera i piwo.

Prześcigali się wówczas w takich opowieściach. Kiedy koledzy powtarzali ojcu Tobyego, że powinien być dumny z takiego syna, odpowiadał: „Mówicie o tej Ślicznej Buźce? Mojej małej dziewczynce?”. Czasami, kiedy zdarzało mu się za dużo wypić, drażnił się z nim, popychał i chciał sprawdzić, co jego syn ma między nogami. Toby wyjmował wtedy z lodówki puszkę piwa lub dwie, żeby pomóc ojcu jak najszybciej odpłynąć w sen przy kuchennym stole, z głową opartą na skrzyżowanych ramionach.

Wieść o wyroku przyjął z ulgą. Jego ojciec miał zimny, szorstki charakter i bezkształtną czerwoną twarz. Był złośliwy i brzydki. Przystojny młody chłopak ze starych fotografii zmienił się w tłustego pijaka o rumianej twarzy, ze zwisającym podgardlem i zachrypniętym głosem. Toby ucieszył się, gdy jego ojca zadźgano w więzieniu. Nie pamiętał, by urządzono jakiś pogrzeb.

Jego matka zawsze była ładna, a w tamtych czasach po prostu słodka.

Najczęściej zwracała się do syna słowami: „Mój kochany chłopczyku”. Toby przypominał ją z twarzy i zachowania, z czego zawsze był dumny, niezależnie od wszystkiego. Chętnie się również coraz bardziej imponującym wzrostem i stylem ubierania się, które pozwalały mu wyciągać pieniądze od turystów.

Przemierzał ulice Nowego Jorku, ignorując donośne odgłosy miasta, bombardujące go na każdym kroku. Lawirował między mieszkańcami, starając się uniknąć poszturchiwania i bez końca powtarzał w myślach: „Nigdy nie byłem dla niej dość dobry. Nigdy. Nic, co zrobiłem, nie było dość dobre.

Nic”. Nigdy nie zrobił niczego, co byłoby dość dobre dla innych, może z wyjątkiem jego nauczycielki muzyki. Zaczął o niej myśleć, żałując, że nie może zadzwonić i powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Nigdy się na to nie zdobędzie.

Długi, ponury nowojorski dzień gwałtownie zmienił się w wieczór.

Wszędzie rozbłysły wesołe światła i rozjarzyły się sklepowe markizy. Ulice zaroily się od par idących na film lub przedstawienie. Nietrudno było zgadnąć, że trafił do dzielnicy teatralnej. Uwielbiał zaglądać w okna restauracji, ale nie czuł głodu, raczej obrzydzenie na samą myśl o jedzeniu. Kiedy z okolicznych teatrów wylała się fala ludzi, Toby wyjął lutnię, położył przed sobą wyściełany zielonym aksamitem futerał i zaczął grać. Przymknął oczy i bezwiednie rozchylił usta. Wybrał najmroczniejszy, najbardziej zawiły utwór Bacha, jaki znał, i od czasu do czasu spoglądał przez uchylone powieki na piętrzące się w futerale banknoty. Słyszał aplauz przechodniów, przystających, by go posłuchać. Miał teraz jeszcze więcej pieniędzy.

Po powrocie do pokoju hotelowego uznał, że nawet mu się podoba. Nie dbał o to, że okna wychodzą na dachy sąsiednich domów i błyszczą od wilgoci ulicę. Podobało mu się proste łóżko, niewielki stolik oraz duży telewizor, nieskończenie lepszy od tego, który mieli w swoim mieszkaniu. W

łazience czekały na niego czyste białe ręczniki.

Następnego wieczoru, idąc za radą taksówkarza, pojechał do Little Italy.

Na ulicy między dwiema tętniącymi życiem restauracjami grał tym razem wszystkie melodie operowe, jakie znał. Przejmująco wykonał arie Madame Butterfly i innych bohaterów Pucciniego, urzekające solówki oraz wiązanek utworów Verdiego. Z jednej restauracji wyszedł kelner i kazał mu się wynosić, jednak ktoś stanął w obronie Toby'ego. Był to potężny, zwalisty mężczyzna przepasany białym fartuchem.

– Zagraj to jeszcze raz – poprosił.

Miał grube czarne włosy, przyprószone siwizną tylko po bokach, nad uszami. Kołysał się w przód i w tył, słuchając, jak Toby wraca do najbardziej chwytających za serce operowych arii i wykonuje muzykę z Cyganerii.

Po chwili chłopak zmienił nastrój i zagrał kilka radosnych, skocznych fragmentów Carmen.

Mężczyzna zaklaskał, wytarł dłonie o fartuch i znowu zaczął wystukiwać nimi rytm.

Toby zagrał wszystkie tkliwe melodie, jakie znał.

Tłum zafalował, wrzucił datki i ponownie się wycofał. Korpulentny mężczyzna nie odszedł jednak. Co jakiś czas przypominał mu o opróżnieniu futerału i schowaniu pieniędzy. Banknotów wciąż przybywało. W pewnym momencie Toby był zbyt zmęczony, by dalej grać. Zaczął się zbierać do odejścia, lecz mężczyzna zatrzymał go słowami:

– Zaczekaj chwilę, chłopcze.

I poprosił go o zagranie neapolitańskich melodii, których Toby nie miał

co prawda w repertuarze, lecz wielokrotnie je słyszał i z łatwością powtórzył ze słuchu.

– Co tutaj robisz, synu? – zapytał starszy pan, gdy Toby skończył.

– Szukam pracy. Obojętnie jakiej, może być zmywanie, obsługa gości, cokolwiek. Byle można było dobrze zarobić.

Spojrzał na stojącego przed nim człowieka ubranego w parę porządnych spodni i białą koszulę rozpiętą pod szyją, z rękawami zrolowanymi tuż poniżej łokci. Mężczyzna miał łagodną, pulchną twarz, z której biła życzliwość.

– Dam ci pracę – powiedział. – Wejdz do środka. Przygotuję ci coś do jedzenia. Grałeś przecież całą noc.

Pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w Nowym Jorku Toby wynajmował już niewielkie mieszkanie na drugim piętrze hotelu w centrum miasta i posiadał komplet fałszywych dokumentów, z których wynikało, że miał dwadzieścia jeden lat (dzięki czemu mógł podawać gościom wino) i nazywał się Vincenzo Valenti, które to imię zasugerował mu jego szef, miły starszy Włoch. Wraz z nazwiskiem Toby dostał nowe świadectwo urodzenia.

Mężczyzna miał na imię Alonso i był właścicielem pięknej, rzęsiście oświetlonej restauracji z ogromnymi oknami wychodzącymi na ulicę.

Pracujący w niej kelnerki i kelnerzy – sami studenci – obsługiwali gości, śpiewając operowe arie. Toby akompaniował pianiście na lutni. Wszystko układało się po myśli Tobyego, który pragnął jak najszybciej zapomnieć o tym, kim był w przeszłości. Nigdy wcześniej nie słyszał tak doskonałych głosów.

Wieczorami, kiedy lokal wypełniali bawiący się ludzie oraz dźwięki słodkiej operowej muzyki, a on sam mógł porywająco grać na lutni, czuł się niemal dobrze i nie chciał zamknąć drzwi za ostatnim gościem ani wracać do hotelowego pokoju.

Alonso miał złote serce, uśmiechniętą twarz i szczególną słabość do Tobyego, swojego Vincenzo.

– Ileż bym dał – miał zwyczaj mawiać – żeby tylko zobaczyć któregoś z moich wnuków.

Alonso podarował Toby’emu niewielki pistolet z perłową rękojeścią i nauczył go strzelać. Broń charakteryzowała się miękkim spustem i miała służyć wyłącznie do obrony. Pokazał mu również przechowywane w kuchni pistolety. Toby był nimi zafascynowany, więc kiedy szef zabrał go na tyły restauracji i pozwolił z nich postrzelać, chłopakowi spodobał się zarówno ich chłodny dotyk, jak też ogłuszający dźwięk, który odbił się echem od ścian ślepego zaułka.

Alonso zatrudniał Tobyego przy weselach i przyjęciach zaręczynowych, dobrze mu płacił, kupował eleganckie włoskie garnitury do pracy, a czasem posyłał go do obsługi prywatnych przyjęć w posiadłości, znajdującej się w bliskim sąsiedztwie restauracji. Nie znał osoby, która nie uważałaby lutni za wytworny instrument.

Dom, w którym grywał Toby, robił przyjemne wrażenie, a jednak było w nim coś niepokojącego. Zamieszkiwały go głównie starsze, sympatyczne panie, ale też kilka młodych dziewczyn, regularnie odwiedzanych przez mężczyzn. Właścicielka przybytku miała na imię Violet, mówiła głębokim, zdradzającym pociąg do whisky głosem, miała mocny makijaż i traktowała pozostałe kobiety jak swoje młodsze siostry lub córki. Alonso uwielbiał tam przesiadywać, gawędząc z Violet. Mówili głównie po włosku, rzadziej po angielsku i oboje z rozrzewnieniem wspominali dawne czasy. Ze strzępków ich rozmów wynikało, że byli kiedyś kochankami.

Lubiano tam grywać w karty, a czasem urządzano niewielkie przyjęcia urodzinowe, głównie dla starszych mężczyzn i kobiet, podczas których młodsze dziewczęta posyłały Toby’emu tęskne, zalotne spojrzenia.

Pewnego razu, schowany za malowanym parawanem, grał na lutni parze uprawiającej seks. Mężczyzna sprawiał partnerce ból. Gdy w końcu go uderzyła, spoliczkował ją. Alonso zbyt opowieść Toby’ego machnięciem ręki.

– Ona bez przerwy się tak zachowuje – wyjaśnił, jakby zachowanie mężczyzny nie wymagało komentarza.

Nazywał tę dziewczynę Elsbeth.

– Cóż to za imię? – zdziwił się Toby.

Alonso wzruszył ramionami.

– Rosyjskie? Bośniackie? Skąd mam wiedzieć? – uśmiechnął się. –

Kobiety mają blond włosy. Mężczyźni je kochają. A ona jest rosyjską uciekinierką, tyle mogę ci powiedzieć. Będę miał szczęście, jeśli żaden bydlak nie zacznie jej szukać.

Toby polubił Elsbeth. Mówiła z akcentem, być może rosyjskim, i pewnego razu zdradziła mu, że jej imię jest zmyślane. Toby, który sam używał

falszywej tożsamości i nazywał siebie Vincenzem, doskonale wiedział, co czuła. I tak nawiązała się

między nimi nic zrozumienia. Elsbeth była bardzo młoda. Nie miał pewności, czy ukończyła szesnaście lat. Makijaż dodawał jej lat i odbierał młodzieńczą świeżość. W niedzielne poranki, gdy miała wyłącznie odrobinę szminki na ustach, wyglądała pięknie. Kiedy rozmawiali z sobą obok wyjścia przeciwpożarowego, paliła czarne papierosy.

Czasami Alonso zapraszał Toby'ego na spaghetti do Brooklynu, do domu swojej matki. W jego restauracji serwowano dania kuchni północnowłoskiej, bo tego oczekiwali klienci, lecz jak na człowieka starej daty przystało, lubił

mielone mięso i sos pomidorowy. Jego synowie mieszkali w Kalifornii, córka zmarła na skutek przedawkowania narkotyków w wieku czternastu lat.

Wspominał o niej tylko raz, pokazując Toby'emu jej zdjęcie. Najdrobniejsza wzmianka dotycząca jego synów wywoływała na twarzy Alonsa szyderczy uśmiech i pogardliwe machnięcie ręką.

Jego matka nie mówiła po angielsku i nigdy nie siadała z nimi przy stole. Nalewała wino, sprzątała brudne naczynia, stała przy piecu, krzyżując ramiona na piersiach, i przyglądała się jedzącym mężczyznom. Przypominała Toby'emu jego babcię. Wszystkie trzy należały do tego samego gatunku kobiet, które nigdy nie siadały, gdy mężczyźni jedli. Odległe wspomnienie.

Alonso i Toby kilkakrotnie odwiedzili Metropolitan Opera. Toby nigdy nie dał po sobie poznać, jak wielkim wydarzeniem było dla niego słuchanie najznakomitszych orkiestr świata, na dodatek z miejsca blisko sceny i w towarzystwie człowieka, który wiedział wszystko na temat przedstawień oraz muzyki operowej. Przebywając tam, Toby odczuwał doskonałą imitację szczęścia. Mieszkając w Nowym Orleanie, chodził na opery ze swoją nauczycielką z konserwatorium. Słyszał, jak uczniowie ze szkoły Loyoli śpiewają arie i te wykonania również chwytaly go za serce, lecz Metropolitan Opera zrobiła na nim nieporównywalnie większe wrażenie. Razem z Alonsem pojechali również do Carnegie Hall i filharmonii.

Shczęście Toby'ego było niezwykle ulotne, przypominało nitki babiego lata osnuwające wspomnienia, które wciąż tkwiły w jego głowie. Rozglądając się po wspaniałych salach i wsłuchując w oszałamiająco piękne dźwięki, pragnął okazać swoją radość, lecz nie miał dość śmiałości – bał się, że czar pryśnie.

Pewnego razu powiedział swemu pracodawcy, że chciałby wysłać pewnej kobiecie piękny naszyjnik.

Alonso roześmiał się, kręcąc głową.

– Chodzi o moją nauczycielkę muzyki – wyjaśnił Toby. – Uczyła mnie za darmo. Mam dwa tysiące dolarów oszczędności.

– Zostaw to mnie – odparł Alonso.

Naszyjnik był oszałamiająco pięknym dziełem sztuki. Alonso zapłacił za niego z własnej kieszeni. Nie przyjął od Toby'ego ani centa. Chłopak wysłał go swojej dawnej nauczycielce do konserwatorium, gdyż nie znał jej adresu domowego. Dane nadawcy nie znalazły się na paczce.

Pewnego popołudnia poszedł do katedry Świętego Patryka i przez godzinę siedział w ławce, wpatrując się w główny ołtarz. W nic nie wierzył, niczego nie czuł, nawet słowa psalmów, które kiedyś tak bardzo kochał, wywietrzały mu z pamięci. Chociaż miał już wychodzić, zwlekał z opuszczeniem kościelnego przedsionka. Raz po raz odwracał się, jakby chłonał

obraz świata, którego częścią nie mógł się stać. Na jego oczach grubiański policjant wyrzucił parę młodych turystów za to, że obściskiwali się w kościele.

Kiedy zauważył, że Toby mu się przygląda, gestem dłoni kazał mu wyjść.

Chłopak wyciągnął z kieszeni różaniec, na co funkcjonariusz skinął głową i zostawił go w spokoju.

W głębi serca uważał się za przegranego. Jego nowojorski świat nie był

prawdziwy. Zawiódł swojego braciszka, siostrę, matkę, a nawet ojca. Śliczna Buźka. Od czasu do czasu w Tobym wzbierał gniew, nieskierowany przeciw żadnej konkretnej osobie.

Anioły mają wielki kłopot ze zrozumieniem tego rodzaju emocji, ponieważ zdanie podkreślone kiedyś przez Toby'ego w książce ojca Pascala Parente jest prawdziwe. Nam, aniołom, rzeczywiście brakuje umiejętności kardiognozy. Wiedza podpowiadała mi jednak, co czuł Toby. Potrafiłem wyczytać jego emocje z mimiki i gestykulacji, a nawet sposobu, w jaki zaczął

grać na lutni: bardziej mrocznego i tylko pozornie wesołkowatego. W

dźwiękach instrumentu, pomimo surowości wydobywanych z niego tonów, pobrzmiwała nutka melancholii. Muzyka odzwierciedlała radość i smutek Toby'ego, lecz nie potrafił w nią przelać swojego cierpienia.

Pewnego wieczoru Alonso, pracodawca Toby'ego, odwiedził go w wynajętym mieszkanku. Miał z sobą duży skórzany plecak. Alonso podnajmował mu to, znajdujące się na skraju Little Italy, mieszkanie.

Zdaniem Toby'ego, lokal był bardzo przyjemny i porządnie – a nawet elegancko – umeblowany, choć okna wychodziły na ściany sąsiedniego budynku. Był zaskoczony, widząc w drzwiach Alonsa. Szef nigdy go nie odwiedzał. Czasami wsadzał Toby'ego do taksówki po wspólnej wizycie w operze, ale z nim tutaj nie przyjeżdżał.

Alonso usiadł i poprosił o kieliszek wina. Toby musiał po nie wyjść do sklepu. Nigdy nie trzymał alkoholu w swoim mieszkaniu. Mężczyzna zaczął

pić. W pewnym momencie wyciągnął z kieszeni płaszcza duży pistolet i położył go na kuchennym stole. Powiedział Toby'emu, że wszedł w drogę ludziom, którzy nigdy wcześniej mu nie grozili. Rosyjska mafia zabrała już Alonsowi dom, a teraz chciała położyć łapę również na restauracji oraz firmie cateringowej, których był właścicielem.

– Zażądaliby także tego hotelu – dodał – lecz nie wiedzą, że należy do mnie.

Bandyci wtargnęli do domu, w którym Toby czasami akompaniował

karcianym grom i schadzkom. Zastrzelili wszystkich mężczyzn oraz cztery spośród zatrudnionych tam kobiet. Resztę przepędzili na cztery wiatry, a w domu umieścili własne dziewczyny.

– Nigdy nie widziałem takiego okrucieństwa – powiedział Alonso. – Nie mogę liczyć na pomoc przyjaciół. Czy w ogóle ich mam? Podejrzewam, że sami tkwią w tym bagnie po uszy i to właśnie oni mnie sprzedali. W przeciwnym razie nie pozwoliliby mnie skrzywdzić. Nie wiem, co robić. Przyjaciele i tak o wszystko obwiniają mnie.

Toby wpatrywał się w broń. Alonso wyjął z niej magazynek i po chwili wsunął go z powrotem.

– Czy wiesz, co to jest? Z tego cacka można wystrzelać więcej naboju, niż potrafiłbyś zliczyć.

– Czy ci ludzie zabili Elsbeth? – zapytał Toby.

– Strzelili jej w głowę – odparł Alonso. – Prosto w głowę!

Mężczyzna zaczął mówić podniesionym głosem. Mafiosi wtargnęli do domu właśnie z powodu Elsbeth. Przyjaciele Alonsa powiedzieli mu, że on i Violet popełnili straszne głupstwo, dając tej dziewczynie dach nad głową.

– Zabili także ją? – zapytał Toby.

Z gardła Alonsa wyrwał się szloch.

– Tak, zastrzelili Violet. – Nie potrafił opanować łkania. – Zabili ją jako pierwszą, mimo podeszłego wieku. Dlaczego to zrobili?

Toby nie odpowiedział, zastanawiając się nad czymś. Nie myślał o obejrzanych w telewizji programach kryminalnych ani przeczytanych powieściach detektywistycznych. Zamyślił się nad postawą ludzi chwytających byka za rogi oraz tych, którzy tego nie robią – ludzie silni i zaradni kontra słabeusze.

Zauważył, że Alonso jest coraz bardziej pijany. Nienawidził tego widoku.

Po dłuższej chwili zastanowienia, odezwał się:

– Musisz pokonać tych ludzi ich własną bronią.

Alonso spojrzał na niego i wybuchnął śmiechem.

– Jestem stary – powiedział. – A ci ludzie zamierzają mnie zabić. Nie dam im wszystkim rady! Nigdy w życiu nie strzelałem z broni takiej jak ta.

Nie przestawał mówić, popijając wino, które coraz bardziej uderzało mu do głowy. Tłumaczył, że przez całe życie zależało mu na podstawowych rzeczach: dobrej restauracji oraz jednym lub dwóch

domach publicznych, w których mógłby odpocząć, zagrać w karty, pogawędzić w miłym towarzystwie.

– Wszystko przez te nieruchomości – westchnął Alonso. – Powiem ci, że na tym właśnie im zależy. Powiniennem był prysnąć z Manhattanu, gdy jeszcze nie było za późno. A teraz jestem skończony.

Toby słuchał go bardzo uważnie. Rosyjscy gangsterzy z miejsca wprowadzili się do domu i przynieśli do restauracji akt przeniesienia jego własności. Mieli też podobny dokument dotyczący lokalu Alonsa. Mężczyzna mógł odmówić podpisania ich wyłącznie dlatego, że restauracja była pełna gości i mafiosi nie mogli mu nic zrobić w obecności tak wielu świadków.

Przechwalali się, że ich sprawami zajmują się najlepsi adwokaci i bankierzy. Liczyli na to, że Alonso nie odważy się im sprzeciwić i przepisze na nich swój majątek. W zamian obiecali nie robić mu krzywdy i odstąpić część nieruchomości.

– Chcą mi dać kawałek mojego własnego domu? – zalił się Włoch. –

Zresztą dom im nie wystarczy. Tak naprawdę zależy im na restauracji, którą założył mój dziadek. Gdy tylko dowiedzą się o tym hotelu, również zechcą mi go odebrać. Powiedzieli, że jeśli nie podpiszę papierów, wszystkim zajmą się ich prawnicy i nikt nigdy nie znajdzie mojego ciała. Zagrozili, że zrobią w restauracji to samo, co w domu, i dopilnują, by wyglądało to jak napad. Tak właśnie mi powiedzieli: „Jeśli nie podpiszesz dokumentów, wydasz wyrok na swoich ludzi”. Ci Rosjanie to potwory.

Toby zaczął się zastanawiać, co by się stało, gdyby pewnego wieczoru gangsterzy wtargnęli do lokalu, opuścili rolety i wymordowali wszystkich pracowników. Poczul dreszcz na samą myśl o tym, że być może ociera się o śmierć. Natychmiast wyobraził sobie ciała Emily i Jacoba. Jego siostra leżała pod wodą i miała zamknięte oczy.

Alonso wypił kolejny kieliszek wina. „Dzięki Bogu – pomyślał Toby – że kupiłem półtora litra najlepszego cabernet”.

– Co się stanie – odezwał się mężczyzna – jeśli odszukają moją matkę, gdy ja już będę martwy?

Zapadła grobowa cisza.

Widziałem Anioła Stróża siedzącego obok Alonsa. Był spokojny, lecz z całych sił starał się go pocieszyć. W pokoju przebywały też inne anioły, także takie, które nie emanowały światłem.

Alonso wydawał się głęboko zafrasowany, podobnie zresztą jak Toby.

– Gdy tylko podpiszę akt przeniesienia własności – odezwał się Włoch –

a oni staną się prawnymi właścicielami restauracji, zabiją mnie.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej kolejny, równie masywny pistolet. Wyjaśnił, że to broń automatyczna, jeszcze bardziej skuteczna niż tamta.

– Przysięgam, że pociągnę ich za sobą.

Toby nie zapytał nawet, czemu Alonso nie poszedł z tym na komisariat.

Znał odpowiedź. Nikt w Nowym Orleanie nie wierzył w skuteczność policji, szczególnie w tego rodzaju sprawach. Ojciec Toby'ego, pomimo munduru, był

zdeprawowanym alkoholikiem, trudno się więc dziwić, że także chłopak nie ufał policji.

– Pracujące dla nich dziewczyny to jeszcze dzieci, niewolnice, po prostu dzieci – ciągnął Alonso. – Nikt mi nie pomoże. Moja matka zostanie na tym świecie sama jak palec. Nikt nie może mi pomóc.

Sprawdził magazynek w drugim pistolecie. Powiedział, że zabiłby ich wszystkich, gdyby tylko mógł, lecz chyba nie będzie w stanie. Był już bardzo pijany.

– Nie, nie mogę tego zrobić. Muszę się z tego wyplatać, ale z tej sytuacji nie ma wyjścia. Oni żądają dokumentów, chcą to uregulować prawnie. Mają swoich ludzi w bankach, a może nawet w biurach koncesyjnych.

Sięgnął do plecaka, wyjął z niego dokumenty i rozłożył je na stole.

Wśród nich znajdowały się dwie wizytówki, które zostawili mu gangsterzy. To właśnie te papiery miał podpisać Alonso, jednocześnie skazując się na śmierć.

Mężczyzna wstał, chwiejnym krokiem udał się do jedynej w mieszkaniu sypialni i zasnął kamiennym snem. Natychmiast zaczął chrapać.

Toby przyglądał się leżącym przed nim przedmiotom. Znał każdy zakamarek domu Alonsa, tylne drzwi oraz wyjścia przeciwpożarowe. Znał

adres prawnika, którego nazwisko znajdowało się na wizytówce, czy raczej wiedział, gdzie go szukać, znał też lokalizację banku, choć nazwiska obu tych mężczyzn nic mu nie mówiły.

Cudowna wizja roztoczyła się przed Tobym, a może raczej Vincenzem, lub jeszcze lepiej: Luckym. Zawsze miał niezwykle bujną wyobraźnię i teraz właśnie zaplanował coś, co na zawsze miało odmienić jego życie. Sęk w tym, że ta nowa droga prowadziła prosto do piekła.

Wszedł do sypialni i potrząsnął ramieniem Alonsa.

– Czy naprawdę zabili Elsbeth?

– Tak, zamordowali ją – odparł mężczyzna z westchnieniem. –

Pozostałe dziewczyny schowały się pod łóżka. Dwóm udało się uciec. Widziały, jak tamci strzelają do Elsbeth. – Ułożył dłoń w kształt pistoletu i wydał z siebie dźwięk wystrzału. – Już jestem trupem.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Ja to wiem. Chciałbym, żebyś zaopiekował się moją matką. Jeśli pojawią się moi synowie, nie rozmawiaj z nimi. Przekazałem matce wszystkie swoje pieniądze. Pamiętaj, nie rozmawiaj z moimi synami.

– Zrobię to – powiedział Toby.

Nie była to jednak odpowiedź na prośbę Alonsa, lecz jego własne przyrzeczenie.

Toby wrócił do kuchni, zabrał oba pistolety i wyszedł z budynku tylnymi drzwiami. Uliczka była wąska i z obu stron otoczona wysokim na pięć pięter murem. Wszystkie okna były ciemne. Chłopak uważnie przyjrzał się broni, po czym wypróbował ją. Kule śmignęły z szybkością tak wielką, że poczuł

gwałtowny wstrząs i przez chwilę nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia. Jedno z okien otworzyło się i jakiś człowiek kazał mu się natychmiast uciszyć. Toby wszedł z powrotem do mieszkania i zapakował broń do plecaka.

Alonso właśnie przygotowywał śniadanie. Postawił przed Tobym talerz z jajecznicą, po czym usiadł i zanurzył tost w jajku.

– Mogę to zrobić – odezwał się chłopak. – Mogę ich zabić.

Alonso spojrzał na niego martwym wzrokiem, przypominającym Toby'emu wyraz oczu jego matki. Wypił pół szklanki wina i powlókł się z powrotem do sypialni. Toby podążył za nim i przyjrzał się leżącemu mężczyźnie. Unosząca się wokół niego woń przypominała mu zmarłych rodziców. Szkliste spojrzenie starego człowieka, utkwione w twarzy chłopaka, przywołało obraz matki.

– Jestem tu bezpieczny – powiedział Alonso. – Nikt nie zna tego adresu i nie figuruje on w żadnych papierach.

– To dobrze – odparł Toby.

Wcześniej bał się o to zapytać i dlatego przyjął jego słowa z ulgą.

Wczesnym rankiem w niewielkiej kuchni, w której czas odmierzał

stojący na kredensie zegar, Toby przestudiował wszystkie dokumenty i obie wizytówki, które następnie wsunął do kieszeni. Ponownie zbudził Alonsa i zażądał od niego opisu bandytów, którzy odwiedzili go w lokalu. Jego pracodawca bardzo się starał, Toby zorientował się jednak, że jest zbyt pijany, by mu pomóc. Alonso wypił jeszcze trochę wina, zjadł wyschniętą grzankę, poprosił o więcej chleba, masła i alkoholu, a Toby spełnił jego prośbę.

– Zostań tu i nie rób niczego przed moim powrotem – powiedział

chłopak.

– Jesteś jeszcze dzieckiem – odparł Alonso. – Nic nie możesz poradzić w tej sprawie. Proszę cię

tylko o jedno: skontaktuj się z moją matką. Powiedz, żeby nie dzwoniła do moich synów na wybrzeżu. Powiedz jej, że nie są warci funta kłaków.

– Zostań tu i rób, co mówię – powtórzył Toby.

Był wyraźnie podekscytowany tym, że znowu miał jakiś cel, mógł snuć plany i marzenia. Czuł się dość silny, by przegonić ciemne chmury, jakie zebrały się nad nim i Alonsem.

Był też wściekły. Kipiał gniewem na myśl o tym, że pracodawca uważał

go za chłopca, bezradne w tej trudnej sytuacji dziecko. Dręczyły go również wspomnienia Elsbeth i Violet z nieodłącznym papierosem zwisającym z kącika ust, rozdającej karty przy stole pokerowym, oraz pozostałych dziewcząt, siedzących na sofie i szepeczących między sobą. Nie potrafił wymazać z pamięci obrazu Elsbeth.

Wzrok Alonsa utkwiony był w twarzy Toby'ego.

– Jestem za stary, by dać się pokonać w taki sposób – powiedział.

– To tak jak ja – odparł Toby.

– Masz tylko osiemnaście lat.

– Nie – Toby pokręcił przecząco głową. – To nieprawda.

Anioł Stróż Alonsa stał obok i patrzył na niego oczami pełnymi smutku.

Widać było, że wyczerpał większość swoich możliwości. Na twarzy anioła Toby'ego malował się szok. Żaden z nich nie mógł nic zrobić, lecz nie zaprzestali starań. Podpowiadali Toby'emu i Alonsowi, by wzięli nogi za pas, zabrali matkę z Brooklynu, złapali najbliższy samolot do Miami i zostawili przestępcom to, na czym im zależało.

– Masz rację – przyznał Toby. – Zabiją cię, gdy tylko podpiszesz papiery.

– Nie mam dokąd pójść. Jak miałbym o tym powiedzieć matce?

Powinienem ją zastrzelić, żeby nie cierpiała. Jeśli najpierw zabiję ją, a potem siebie, będzie po kłopotach.

– Nie! – sprzeciwił się Toby. – Zostań tu, jak prosiłem.

Włączył nagranie Toski. Alonso zaczął śpiewać, lecz szybko zmorzył go sen.

Toby pokonał wiele przeciwników, nim wszedł do sklepu i nabył czarną płukanę do włosów oraz parę niepasujących do niego, lecz modnych okularów z przyciemnionymi szklami. Od ulicznych sprzedawców przy Pięćdziesiątej Szóstej Zachodniej kupił sprawiającą wrażenie kosztownej teczkę i podróbkę roleksa.

W kolejnym sklepie zaopatrzył się w zestaw drobnych przedmiotów, na które nikt nie zwraca uwagi, takich jak plastikowe wkładki na zęby, miękka guma czy tworzywo sztuczne do wyściełania butów. Kupił też parę nożyczek, bezbarwny lakier do paznokci oraz pilnik, by zrobić sobie manikiur. Raz jeszcze zatrzymał się obok stoiska przy Pięćdziesiątej Szóstej Zachodniej i nabył kilka par cienkich skórzanych rękawiczek, całkiem porządnie wykonanych, oraz żółty kaszmirowy szal. Dzień był chłodny i wolał czymś osłonić szyję. Kiedy szedł ulicą, przepełniała go moc. Czuł się niezwykły.

Po powrocie do mieszkania ujrzał Alonsa, który siedział jak na szpilkach. W tle słychać było głos Marii Callas, śpiewającej Carmen.

– Wiesz – odezwał się Włoch – boję się stąd wyjść.

– I słusznie – odparł Toby, zabierając się do piłowania i malowania paznokci.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – zapytał Alonso.

– Jeszcze nie wiem – przyznał chłopak – ale zauważyłem, że kiedy w restauracji pojawiają się mężczyźni z pomalowanymi paznokciami, ludzie, a w szczególności kobiety, poświęcają im więcej uwagi.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

Toby wyszedł z domu po jedzenie i kilka butelek wyśmienitego wina, żeby przetrwać kolejny dzień.

– Niewykluczone, że właśnie teraz w restauracji mordowani są ludzie –

powiedział Alonso. – Powiniennem być wszystkich uprzedzić, żeby trzymali się od niej z daleka. – Westchnął i ujął w dłonie ciężką od problemów głowę. –

Nie zamknąłem lokalu. A co jeśli tam wtargną i wszystkich wystrzelają?

Toby nieznacznie skinął głową.

Wstał, wyszedł z domu, przeszedł kilka przecznic i zadzwonił do restauracji. Nikt nie podniósł słuchawki, co uznał za bardzo niepokojący znak.

Lokal powinien być o tej porze pełen jedzących obiad gości, a odbieranie telefonów i zapisywanie wieczornych rezerwacji należało do zadań obsługi.

Toby pochwalił się w myślach za przezorność: trzymał swój adres w tajemnicy, przyjaźnił się wyłącznie z Alonsem i nie ufał nikomu, tak jak przez całe swoje dzieciństwo.

Nastał wczesny ranek. Toby wziął prysznic i przyciemnił włosy płukanką. Upewnił się, że Alonso śpi. Włożył elegancki włoski garnitur, prezent od szefa, i resztę rekwizytów, dzięki którym stał się zupełnie do siebie niepodobny. Plastikowa wkładka zmieniła kształt jego warg, grube oprawki przyciemnionych okularów nadały twarzy obcy wyraz. Na dłonie wsunął

piękne rękawiczki gołębiego koloru, szyję owinał żółtym szalikiem, a na koniec włożył czarny kaszmirowy płaszcz – jedyny, jaki miał. Napchał do butów wystarczająco dużo tworzywa, by sprawiać wrażenie nieco wyższego. Do teczki włożył dwie sztuki broni automatycznej, a do kieszeni niewielki pistolet.

Spojrzał na plecak swojego szefa, wykonany z czarnej skóry i bardzo szykowny. Po chwili namysłu przewiesił go przez ramię.

Dotarł do domu Alonsa, nim wzeszło słońce. Drzwi otworzyła mu kobieta, której nigdy wcześniej nie widział. Z uśmiechem zaprosiła go do środka. W polu widzenia nie było nikogo innego.

Wyjął pistolet automatyczny i zastrzelił najpierw ją, a później mężczyznę, który pojawił się w końcu korytarza i zaczął biec w jego stronę.

Zabił też ludzi zbiegających po schodach wprost na linię strzału, jakby nie wierzyli, że to wszystko dzieje się naprawdę. Na górze rozległy się krzyki, wszedł więc tam, mijając kolejne ciała, i strzelał przez drzwi, wybijając w nich wielkie dziury dopóty, dopóki wszystko nie ucichło. Stał w samym końcu korytarza i czekał. Z pokoju wyszedł ostrożnie jakiś mężczyzna z wyciągniętą przed siebie bronią. Toby natychmiast go zastrzelił. Minęło dwadzieścia minut, a może więcej. W domu panowała niczym niezmacona cisza. Nie spiesząc się, zajrzał do każdego pomieszczenia. Nie znalazł ani jednej żywej osoby.

Zebrał wszystkie telefony, jakie udało mu się znaleźć, i schował je do skózanego plecaka. Kiedy natrafił na laptop, również go spakował, mimo że okazał się dość ciężki. Przeciął przewody odchodzące od telefonu stacjonarnego oraz stojących na biurku urządzeń.

Wychodząc, usłyszał odgłos płaczu i czyjś niski, przejęty głos. Otworzył

drzwi kopniakiem i zobaczył bardzo młodą dziewczynę, blondynkę z ustami pomalowanymi czerwoną szminką, klęczącą na podłodze, z telefonem komórkowym przy uchu. Na widok Toby'ego z przerażenia upuściła telefon.

Zaczęła potrząsać głową i błagać o litość w jakimś niezrozumiałym języku.

Zastrzelił ją. Momentalnie osunęła się na ziemię, upodabniając się do jego matki leżącej na zakrwawionym materacu. Też była martwa.

Podniósł komórkę z podłogi i usłyszał szorstki głos dopytujący się, co się stało.

– Nic takiego – szepnął Toby. – Miała nierówno pod sufitem.

Zatrzasnął klapkę telefonu. W jego żyłach buzowała gorąca krew. Czuł, że ma nad wszystkim władzę. Tym razem przeszedł przez wszystkie pokoje jak burza. Znalazł rannego, jęczącego mężczyznę i zastrzelił go, podobnie jak kobietę, która właśnie wykrwawiała się na śmierć. Znalazł jeszcze kilka telefonów. Plecak był już pełen.

Opuścił dom, przeszedł kilka przecznic i złapał taksówkę. Pojechał do położonej na przedmieściach

kancelarii adwokata, który zajmował się przekazywaniem praw do nieruchomości.

Toby wszedł do biura, kuśtykając i sapiąc tak, jakby teczka ważyła tonę, a plecak na ramieniu nieznośnie mu ciążył. Recepcjonistka, która dopiero co otworzyła kancelarię, wyjaśniła Toby'emu, że szef jeszcze nie przyjechał, ale powinien się pojawić lada chwila. Skomplementowała również jego żółty szalik.

Toby opadł ciężko na kanapę i ostrożnie zdejmując jedną rękawiczkę, teatralnym gestem musnął czoło, jakby doskwierał mu straszny ból.

Dziewczyna posłała mu współczujące spojrzenie.

– Piękne dłonie – zauważyła. – Jak u muzyka.

Roześmiał się pod nosem i powiedział cicho:

– Jedyne, czego pragnę, to powrót do Szwajcarii.

Toby był bardzo podekscytowany. Wiedział, że sepleni, bo ma w ustach kawałek plastiku. Roześmiał się w duchu. W całym swoim życiu nie czuł

podobnego podniecenia. Przyszło mu nawet do głowy, że wreszcie zrozumiał

znaczenie słów: „Zło rzuca silniejszy czar niż dobro”.

Recepcjonistka zaproponowała mu filiżankę kawy. Włożył z powrotem rękawiczkę i odparł:

– Lepiej nie, bo nie będę mógł zasnąć w samolocie. Chciałbym przespać drogę nad Atlantykiem.

– Nie potrafię rozpoznać pańskiego akcentu. Skąd pan pochodzi?

– Ze Szwajcarii – szepnął, nie przestając seplenić. – Nie mogę się już doczekać powrotu do domu. Nie cierpię tego miasta.

Nagły hałas dobiegający z ulicy rozproszył go. Był to dźwięk kafara do wbijania pali, rozpoczynającego pracę na sąsiedniej budowie. Powtarzał się raz po raz i wprawiał biurowiec w silne drżenie. Chłopak skrzywił się z bólu, na co recepcjonistka wyraziła żal, że jej gość musi to znosić.

W tym momencie w biurze pojawił się prawnik.

Toby wstał z kanapy, wyprostował się, prezentując swój imponujący wzrost, i powiedział tym samym sepleniącym szeptem:

– Przyszedłem w pewnej bardzo ważnej sprawie.

Mężczyzna w jednej chwili zbladł i bez słowa zaprosił Toby'ego do biura.

– Posłuchaj, zwijam się jak w ukropie, ale ten stary włoski dureń wszystko opóźnia. Jest uparty jak osioł. Twój szef oczekuje ode mnie cudów. –

Zaczął szperać w leżących na biurku dokumentach. – Udało mi się znaleźć to.

Okazuje się, że ten facet jest też właścicielem rudery położonej zaledwie parę przecznic od restauracji, a ta lokalizacja jest warta miliony.

Toby znów był bliski śmiechu, ale się powstrzymał. Zabrał mężczyźnie papiery, spoglądając na adres budynku, który okazał się jego hotelem, i schował je do teczki.

To zaskoczyło prawnika. Z ulicy dobiegał huk maszyn i odgłos przypominający zwalanie na ziemię ciężkich materiałów budowlanych. Toby zobaczył przez okno wielki biały dźwig.

– Zadzwoń do banku – szepnął Toby, walcząc z seplenieniem. – A dowiesz się, co mnie tu sprowadza.

Po raz kolejny omal nie parsknął śmiechem. Zamiast tego na jego twarzy pojawił się uprzejmy grymas, przeznaczony dla stojącego przed nim mężczyzny, który natychmiast zaczął wybierać numer na klawiaturze swojego telefonu, przeklinając pod nosem.

– Wydaje wam się, że jestem jakimś cholernym Einsteinem.

Wyraz jego twarzy zmienił się, gdy usłyszał głos bankiera w słuchawce.

Toby zabrał mu telefon, przyłożył do ucha i powiedział:

– Chcę się z tobą spotkać przed bankiem. Masz tam na mnie czekać.

Jego rozmówca zgodził się natychmiast. Numer na wyświetlaczu telefonu był taki sam jak na jednej z wizytówek w kieszeni Toby'ego.

Rozłączywszy się, wsunął komórkę do teczki.

– Co ty wyprawiasz? – zdziwił się prawnik.

Toby czuł, że ma nad nim władzę absolutną. Nikt nie mógł mu stanąć na drodze. Jakiś zabłąkany, ckliwy głosik w jego duszy szepnął mu:

– Jesteś kłamcą i złodziejem.

Wyjął z kieszeni niewielki pistolet i zabił adwokata. Dźwięk wystrzału został stłumiony przez hałas dobiegający z ulicy.

Wzrok Toby'ego powędrował w stronę stojącego na biurku laptopa, którego nie mógł zostawić, upchnął go więc do plecaka z resztą sprzętu. Ciężar był naprawdę przygniatający, ale dzięki wrodzonej sile i szerokim ramionom jakoś sobie poradził.

Patrząc na martwego mężczyznę, nie potrafił opanować śmiechu. Czuł

się wspaniale, po prostu fantastycznie, tak jak wtedy, gdy wyobrażał sobie, że gra na deskach najlepszej na świecie opery. Tylko że obecne uczucie było o niebo lepsze. Rozkosznie kręciło mu się w głowie. Znał to wrażenie, towarzyszyło mu bowiem przez cały czas planowania akcji, zbierania pomysłów, które podpatrzył w telewizyjnych programach, rzadziej w książkach. Zmusił się do zachowania powagi – nie miał czasu do stracenia.

Zabrał wszystkie pieniądze, jakie mężczyzna miał w portfelu, czyli około półtora tysiąca dolarów. Wychodząc z biura, posłał młodej kobiecie czarujący uśmiech.

– Posłuchaj – powiedział, pochylając się nad jej biurkiem. – Szef życzy sobie, żebyś natychmiast stąd wyszła. Spodziewa się wizyty pewnych ważnych ludzi.

– Ach tak, rozumiem – odparła, starając się sprawiać wrażenie rozsądnej i opanowanej. – Na jak długo powinnam opuścić biuro?

– Na kilka godzin. Najlepiej będzie, jeśli weźmiesz sobie wolny dzień –

powiedział Toby. – Uwierz mi, że tego właśnie by chciał. – Wręczył jej kilka dwudziestodolarówek zabranych z portfela mężczyzny. – Weź taksówkę i jedź

do domu. Rozerwij się trochę. A jutro rano zadzwoń do kancelarii. Nie przychodź, dopóki nie zadzwonisz.

Całkowicie ją zauroczył. Recepcjonistka podążyła za nim do windy, zachwycona tym, że towarzyszy jej wysoki młody mężczyzna, roztaczający wokół siebie aurę tajemniczości i na dodatek niezwykle przystojny. Toby zdawał sobie sprawę z jej zachwyty. Ponownie zauważyła, że jego złoty szalik jest przepiękny. To, że kulał, nie uszło jej uwagi, lecz nie dała niczego po sobie poznać.

Zanim drzwi windy się zamknęły, rzucił dziewczynie spojrzenie zza przyciemnionych szkieł, odwzajemnił jej promienny uśmiech i powiedział:

– Myśl o mnie jak o lordzie Byronie.

Pokonał pieszo kilka dzielących go od banku ulic, lecz zatrzymał się parę metrów od wejścia. Gęstniejący tłum niemal go stratował. Przeniósł się bliżej ściany i wybrał numer bankiera na klawiaturze telefonu, który ukradł

prawnikowi.

– Wyjdź przed budynek – powiedział wystudiowanym, świszczącym szeptem, przeczesując wzrokiem zebrany przed bankiem tłum.

– Już to zrobiłem – odparł szorstki, zniecierpliwiony głos. – A ty gdzie jesteś, do diabła?

Toby bez trudu namierzył mężczyznę, chowającego do kieszeni komórkę.

Z zachwytem przyglądał się, z jaką szybkością przemieszczali się ludzie w obydwu kierunkach. Huk uliczny był ogłuszający. Rowery śmigały pomiędzy wolno przesuającym się sznurem samochodów ciężarowych i taksówek.

Zgiełk zdawał się płynąć w górę, do samego nieba. Powietrze wypełniały dźwięki klaksonów oraz szare spaliny. Spojrzał w górę, na błękitne niebo, niedające żadnego światła temu wycinkowi gigantycznego miasta, i pomyślał, że jeszcze nigdy nie czuł się równie ożywiony. Nawet w ramionach Liony nie miał w sobie tyle energii.

Ponownie wybrał numer, tym razem czekając na dźwięk dzwonka i na to, by zagubiony pośród falującego tłumy mężczyzna odebrał telefon. Tak, namierzył go: siwowłosego, postawnego bankiera z czerwoną od gniewu twarzą. Ofiara podeszła do krawężnika.

– Jak długo mam tu jeszcze stać? – warknął mężczyzna do słuchawki.

Odwrócił się i podszedł z powrotem do granitowej ściany banku. Stał

teraz na lewo od drzwi obrotowych i rozglądał się lodowatym wzrokiem.

Wlepiał spojrzenie we wszystkich mijających go ludzi, z wyjątkiem szczupłego, zgarbionego chłopaka, który lekko kulał, jakby pod ciężarem wyładowanego po brzegi plecaka i teczki. Jemu nie poświęcił nawet cienia uwagi.

Kiedy Toby znalazł się za plecami bankiera, strzelił mu w tył głowy.

Szybkim ruchem schował pistolet z powrotem do kieszeni płaszcza i przytrzymując ciało mężczyzny prawą ręką, pomógł mu zsunąć się po ścianie, wprost na chodnik, na który opadł z szeroko rozłożonymi nogami. Toby przyklęknął koło niego w geście troski.

Wyjął z kieszeni bankiera lnianą chusteczkę i otarł mu twarz. Było jasne, że mężczyzna nie żyje. Następnie, nie zważając na i tak niczego nieświadomy tłum, wyjął telefon, portfel oraz niewielki notes z kieszeni na piersi bankiera.

Nie zatrzymała się żadna z mijających ich osób, nawet te, które musiały przekraczać wyciągnięte nogi martwego mężczyzny.

W nagłym przebłysku pamięci Toby ujrzał wilgotne, martwe ciała swojego rodzeństwa, zanurzone w wannie. Odsunął ten obraz, wmawiając sobie, że nie ma on w tej chwili znaczenia. Złożył lnianą chusteczkę na tyle porządnie, na ile mógł to zrobić jedną okrytą rękawiczką dłonią i ułożył ją na wilgotnym czole mężczyzny.

Przeszedł trzy przecznice, nim złapał taksówkę, i wysiadł z niej w odległości trzech przecznic od swojego mieszkania.

Wszedł schodami na górę, przytrzymując trzęsącymi się palcami schowany w kieszeni pistolet. Kiedy zapukał do drzwi, odpowiedział mu głos Alonsa:

– Vincenzo?

– Jesteś sam? – zapytał Toby.

Alonso otworzył drzwi i wciągnął go do środka.

– Gdzieś ty był!? Co ci się stało!?

Ze zgrozą przyglądał się przyciemnionym włosom i szkłom okularów.

Toby szybko spenetrował mieszkanie. Następnie odwrócił się w stronę Alonsa i powiedział:

– Ludzie, przez których miałeś kłopoty, nie żyją, wszyscy co do jednego.

Ale to jeszcze nie koniec. Nie miałem czasu, by pojechać do restauracji, i nie mam pojęcia, co tam się teraz dzieje.

– Ja wiem – odparł Alonso. – Wystrzelali wszystkich moich ludzi i zamknęli lokal. Co ty chcesz mi powiedzieć, do diabła?

– No cóż – westchnął Toby. – Mogło być gorzej.

– Co masz na myśli, mówiąc, że wszyscy nie żyją? – spytał Alonso.

Toby opowiedział mu, co się wydarzyło, a potem dodał:

– Musisz mnie skontaktować z ludźmi, którzy wiedzą, jak doprowadzić całą tę sprawę do końca, z przyjaciółmi, którzy wcześniej odmówili ci pomocy.

Teraz już nie popełnią podobnego błędu. Będzie im zależało na komputerach, telefonach komórkowych i notesie. Są w nich dane, setki danych na temat tych przestępców, ich planów i działań.

Alonso przez dłuższą chwilę przyglądał mu się bez słowa, po czym opadł

na jedyny w pokoju fotel i przeczesał palcami włosy.

Toby wszedł do łazienki i zamknął drzwi na zasuwkę. Nadal miał przy sobie broń. Zastawił drzwi ciężką porcelanową spłuczką i wziął prysznic przy odsuniętej zasłonie. Mył się tak długo, aż z jego włosów zniknęła cała czarna farba, po czym połamał okulary i zawinął je w ręcznik razem z rękawiczkami i szalikiem.

Kiedy wyszedł z łazienki, Alonso rozmawiał przez telefon. Mówił po włosku, chyba z akcentem sycylijskim, lecz tego Toby nie był pewien. Pracując w restauracji, poznał kilka podstawowych zwrotów, ale potok słów był zbyt szybki, by mógł go zrozumieć. Odłożywszy słuchawkę, Alonso powiedział:

– Załatwiłeś ich na amen. Dopadłeś wszystkich.

– Przecież ci mówiłem – odparł Toby. – Ale pojawią się następni. To tylko początek grubszej afery. Informacje z komputera tego prawnika mogą się okazać bezcenne.

Alonso przypatrywał mu się oszołomiony. Jego Anioł Stróż stał obok z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i przyglądał się temu ze smutkiem w oczach – przynajmniej tak mogę opisać jego postawę ludzkimi słowami. Anioł

Toby’ego szlochał.

– Znasz ludzi, którzy mogliby mi pomóc odczytać dane? – zapytał

chłopak. – W domu i biurze widziałem komputery stacjonarne. Nie potrafiłem wydobyć z nich twardych dysków. Następnym razem chcę wiedzieć, jak to zrobić. Wszystkie te komputery muszą być wyładowane informacjami, są w nich pewnie setki numerów telefonicznych.

Alonso kiwnął głową, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– Mamy kwadrans – powiedział.

– A co potem? – zdziwił się Toby.

– Przyjdą tu i z największą przyjemnością nauczą cię wszystkiego, co sami potrafią.

– Jesteś pewien? – zapytał. – Skoro wcześniej nie chcieli ci pomóc, dlaczego teraz nie mieliby zabić nas obu?

– Vincenzo – odparł Włoch – oni bardzo potrzebują kogoś takiego jak ty. Jesteś rozwiązaniem ich problemów. – Do oczu napłynęły mu łzy. – Synu, czy naprawdę myślisz, że mógłbym cię zdradzić? – spytał. – Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem. Gdzieś na pewno są kopie wszystkich tych dokumentów, ale ty zabiłeś ludzi, którzy chcieli na tym zrobić interes.

Zeszli na dół. Długa, czarna limuzyna już na nich czekała. Zanim do niej wsiedli, Toby wyrzucił zawiniątko z okularami, szalikiem i rękawiczkami do kosza na śmieci, wpychając je głęboko w stertę papierowych kubeczków i plastikowych toreb. Jego lewa dłoń przesiąkała ohydny zapachem odpadków.

Miał przy sobie walizkę, lutnię, teczkę oraz skórzany plecak wypełniony komputerami i telefonami komórkowymi.

Nie podobał mu się wygląd tego samochodu i nie miał ochoty do niego wsiąść, chociaż wielokrotnie widział podobne limuzyny sunące wieczorami Piątą Aleją, mijające wejścia do Carnegie Hall i Metropolitan Opera. Za przykładem Alonsa wsiadł jednak do środka i znalazł się oko w oko z dwoma młodymi mężczyznami, usadowionymi na skórzanych siedzeniach. Obaj wyglądali niezwykle osobliwie: byli bladzi, mieli blond włosy i prawie na pewno pochodzili z Rosji.

Toby'emu zapało dech w piersiach, tak jak wtedy, gdy matka roztrzaskała mu lutnię. Trzymał dłoń na rękojeści schowanego w kieszeni płaszcza pistoletu. Żaden z mężczyzn nie starał się ukryć rąk. Wszystkie one były doskonale widoczne, poza dłonią Toby'ego.

Odwrócił się w stronę Alonsa i posłał mu spojrzenie mówiące:

„Zdradziłeś mnie”.

– Nie, nie – zaprzeczył starszy z siedzących naprzeciwko niego mężczyzn.

Na twarzy Alonsa zakwitł uśmiech, jakby właśnie usłyszał doskonale wykonanie operowej arii. Nieznajomy mówił z akcentem amerykańskim, nie rosyjskim.

– Jak ty to zrobiłeś? – zapytał młodszy blondyn, również Amerykanin, zerkając na zegarek. – Nie ma jeszcze jedenastej.

– Jestem głodny – odparł Toby, nie wypuszczając pistoletu z tkwiącej w kieszeni dłoni. – Zawsze miałem ochotę zjeść w Rosyjskiej Herbaciarni.

Niezależnie od tego, czy miał zginąć, czy nie, ta odpowiedź wydała się Toby'emu niezwykle sprytna i na dodatek prawdziwa. Skoro miał spożyć ostatni posiłek, niech się to stanie w Rosyjskiej Herbaciarni.

Starszy z mężczyzn roześmiał się.

– Tylko nie zastrzel któregoś z nas – powiedział, wskazując na kieszeń chłopaka. – Postąpiłbyś głupio, bo zamierzamy dać ci tyle pieniędzy, ile nie widziałeś w całym swoim życiu. – Ponownie wybuchnął śmiechem. – Ba!

Zamierzamy ci zapłacić tyle, ile sami nie zarobiliśmy nigdy. Oczywiście zabierzemy cię do Rosyjskiej Herbaciarni.

Samochód zatrzymał się i Alonso wysiadł.

– Dlaczego nas opuszczasz? – zapytał Toby.

Znowu ogarnęła go fala obezwładniającego strachu. Instynktownie zacisnął dłoń na niewielkim pistolecie, który niemal wypalił mu dziurę w kieszeni.

Alonso pochylił się, chwycił głowę Toby'ego, złożył pocałunek na jego powiekach i wargach, a następnie ją puścił.

– Nie zależy im na mnie – wyjaśnił – tylko na tobie. Sprzedałem cię, ale to dla twojego dobra. Rozumiesz? Nie mam takich zdolności jak ty. Nie możemy się tym zajmować razem. Sprzedałem cię im dla twojego własnego bezpieczeństwa. Jesteś i zawsze będziesz moim chłopcem. A teraz jedź z nimi.

Oni chcą ciebie, nie mnie. Ja zabieram swoją matkę do Miami.

– Przecież już nie musisz tego robić – zaprotestował Toby. – Odzyskałeś dom i restaurację, zająłem się wszystkim.

Alonso potrząsnął głową i Toby w jednej sekundzie poczuł się jak głupiec.

– Synu, oni zapłacili mi tyle, że z radością się stąd wyniosę – powiedział.

– Moja matka zobaczy Miami i będzie tam szczęśliwa. – Raz jeszcze ujął w dłonie twarz Tobyego i ucałował go. – Przyniosłeś mi szczęście. Myśl o mnie za każdym razem, gdy będziesz grał stare neapolitańskie piosenki.

Samochód ruszył.

Jedli lunch w Rosyjskiej Herbaciarni. Toby z apetytem pałaszował

kurczę po kijowsku, kiedy starszy z jego towarzyszy odezwał się:

– Widzisz mężczyzn przy tamtym stoliku? To nowojorscy policjanci, a siedzący z nimi człowiek jest z FBI.

Toby nawet nie spojrzał w tamtą stronę, cały czas patrzył w oczy swojemu rozmówcy. Broń nadal znajdowała się w jego zasięgu, choć zdawała się mu coraz bardziej ciężać. Wiedział, że jeśli tylko zechce, może zastrzelić siedzących obok mężczyzn i pewnie jednego z tych przy sąsiednim stoliku, zanim dosięgnie go kula któregoś z policjantów, lecz nie zamierzał tego robić.

Postanowił zaczekać na lepszą okazję.

– Pracują dla nas – ciągnął mężczyzna. – Jadą za nami, odkąd ruszyliśmy spod twojego mieszkania, i będą to robić, kiedy wyjedziemy z miasta. Jak widzisz, nie masz powodów do obaw. Zapewniam cię, że jesteśmy bardzo dobrze chronieni.

Tak właśnie Toby stał się płatnym zabójcą, Luckym Szczwanym Lisem.

Do jego pełnej przemiany brakuje nam jednak jeszcze jednego szczegółu.

Tamtego wieczoru, leżąc w sypialni dużej wiejskiej posiadłości położonej wiele kilometrów od miasta, rozmyślał o dziewczynie, która na kolanach błagała go o życie, słowami niewymagającymi tłumaczenia. Pamiętał jej zalaną łzami twarz oraz sposób, w jaki potrząsała głową, zgięta wpół, i wyciągała ręce w proszącym geście. Myślał o niej, leżącej na podłodze bez życia, po tym jak do niej strzelił, podobnej do jego utopionego w wannie rodzeństwa.

Wstał, ubrał się, włożył płaszcz, w którego kieszeni wciąż tkwiła broń, i zszedł na dół. W salonie siedziało dwóch mężczyzn i grało w karty.

Pomieszczenie to wyglądało jak ogromna jaskinia wypełniona połączanymi sprzętami oraz meblami z

czarnej skóry. Przypominało wnętrze jednego z tych starych, eleganckich prywatnych klubów, jakie widuje się w czarno-białych filmach. Brakowało tylko dżentelmenów usadowionych w wygodnych fotelach i rzucających ciekawskie spojrzenia nowym gościom. Byli za to dwaj mężczyźni grający w karty w świetle lampy. Trzeba jednak przyznać, że płonący w kominku ogień nadawał mrocznemu wnętrzu nastrojowy charakter.

Jeden z graczy podniósł się i zapytał:

– Masz na coś ochotę, może na drinka?

– Muszę się przejść – odparł Toby.

Nikt nie próbował go zatrzymać. Toby wyszedł z domu i zaczął

spacerować.

Obserwował sposób, w jaki światło padało na liście drzew znajdujących się najbliżej latarni i nagie gałęzie pokryte błyszczącą szadzią. Przyjrzał się wysokim, stromym dachom pokrytym łupkiem oraz światłu migoczącemu w oknach domu, zbudowanego tak, by przetrwał nawet najcięższą, najbardziej śnieżną zimę. Takie domy Toby znał wyłącznie z obrazków, choć nie pamiętał, by kiedykolwiek zwracał na nie uwagę.

Wysłuchując się w chrzęst zamrożonej trawy pod stopami, podszedł do fontanny, czynnej mimo mrozu, i przez chwilę przypatrywał się wodzie, która wystrzeliwała z dyszy i spadała białym, lekkim jak mgiełka deszczem do czaszy migoczącej w mdłym świetle padającym między innymi z lampy umieszczonej nad zadaszonym wjazdem, gdzie pyszniła się czarna, lśniąca limuzyna. Światło padało też z lamp wiszących nad licznymi drzwiami domu oraz z instalacji biegnącej wzdłuż wysypanych grubym żwirem ogrodowych ścieżek. Powietrze przesycone zapachem sosnowych igieł i płonącego drewna było o wiele czystsze niż to, którym oddychał w mieście. Całe to miejsce emanowało wystudiowanym pięknem. Przywodziło mu ono na myśl lato spędzone z dwoma bardziej zamożnymi niż on kolegami z liceum jezuitów w domu nad jeziorem Pontchartrain. Chłopcy byli bliźniakami, bardzo miłymi i darzącymi Toby'ego wyraźną sympatią. Lubili grę w szachy i muzykę klasyczną, mieli też talent aktorski, który prezentowali podczas szkolnych przedstawień, tak dobrych, że wszyscy w mieście przychodzili je obejrzeć. Toby na pewno by się z nimi zaprzyjaźnił, gdyby nie musiał utrzymywać w sekrecie tego, co działo się za drzwiami jego domu. Pozostali więc tylko na stopie koleżeńskej, a w klasie maturalnej prawie nie odzywali się do siebie. Nigdy jednak nie zapomniał ich pięknego domu w pobliżu Mandeville, eleganckich mebli oraz nieskazitelnej angielszczyzny matki chłopców. Ich ojciec miał nagrania znakomitych lutnistów i pozwalał Toby'emu słuchać ich w pokoju, który nazywał swoim gabinetem. Ta wiejska posiadłość bardzo przypominała dom w Mandeville.

Obserwowałem go. Śledząc wyraz twarzy i oczu Toby'ego, ujrzałem te obrazy w jego pamięci i sercu. To prawda, że anioły nie potrafią zrozumieć ludzkich serc. Szlochamy na widok grzechu, cierpienia, ale nie mamy serc podobnych ludzkim. Teologowie, którzy robią tego rodzaju spostrzeżenia, zdają się zapominać o najważniejszym: o naszej niezwykłej inteligencji.

Umiemy powiązać z sobą nieograniczoną liczbę gestów, grymasów, przyspieszonych oddechów i ruchów, wyciągając z nich niezwykle przenikliwe wnioski. Potrafimy rozpoznać smutek.

Skupiłem się na odczuciach Toby'ego i usłyszałem muzykę, która dźwięczała w jego uszach wiele lat temu, podczas wizyty w Mandeville. Było to stare nagranie żydowskiego lutnisty wykonującego utwory Paganiniego.

Patrzyłem na Toby'ego, który stał pod sosnami tak długo, aż przemarzył na kość.

Niespiesznie ruszył w kierunku domu. Wiedział, że i tak nie zaśnie. Noc nie potrafiła utulić go do snu.

Kiedy był już blisko porośniętych winoroślą murów, wydarzyło się coś dziwnego i całkowicie niespodziewanego. Z domu dobiegły go przytłumione dźwięki muzyki. Toby stanął jak urzeczony pod otwartym oknem, z którego płynęły łagodne, przesycone subtelnym pięknem tony. Nie był pewien, czy słyszy fagot czy klarnet. Uniósł głowę i zobaczył wysokie okno witrażowe, otwarte mimo mrozu, źródło narastających, przejmujących dźwięków, które po chwili zamieniły się w spokojniejszą melodię. Podszedł bliżej.

To, co słyszał, przypominało pobudkę, lecz później do odgłosu samotnego rogu dołączyły inne instrumenty w sposób tak nieujarzmiony, jakby orkiestra dopiero stroiła instrumenty, a jednocześnie zajadle zdyscyplinowany. Następnie melodię ponownie zdominował dźwięk rogu, by po chwili na powrót ogarnęło ją szaleństwo: dołączające instrumenty grały coraz głośniejsze, odgłos rogu stawał się wyższy i bardziej przenikliwy.

Toby stał pod oknem jak urzeczony.

Muzyka brzmiała tak, jakby całkowicie wymknęła się spod kontroli.

Sentymentalny ton skrzypiec oraz dudnienie bębnow splotły się z sobą, upodabniając dźwięki do lokomotywy pędzącej przez utkaną z dźwięków noc.

Przeżycie było tak intensywne, że Toby z trudem powstrzymał się od zasłonięcia uszu. Instrumenty skamlały i zawodziły, potęgując wrażenie muzycznego opętania. Słysząc było lament trąbek, upajający szum strun, dudnienie kotłów. Nie potrafił już zidentyfikować bombardujących go dźwięków. Wreszcie burza ustała, a jej miejsce zajęły łagodniejsze tony, mówiące o samotności i przebudzeniu.

Stał teraz tuż przy oknie, ze spuszczoną głową, obejmując palcami skronie, jakby w obronie przed każdym, kto próbowałby stanąć pomiędzy nim a muzyką.

Słyszał, jak łagodne, bezładne melodie, w których pobrzmiewał dziwny niepokój, splatają się z sobą. Muzyka po raz kolejny przyspieszyła. Dźwięk instrumentów dętych niezdolnie świdrował Toby'emu w uszach, wywołując wrażenie zagrożenia. Nagle cała kompozycja wydała mu się podszyta lękiem, jakby stanowiła preludium i jednocześnie ilustrację życia Toby'ego. Ponownie pogubił się w tym, co słyszał. Wiedział, że nie powinien ulegać czułym i przyciszonym tonom, po chwili bowiem

wybuchwały dudnieniem werbli i skrzeczeniem skrzypiec. Wygasanie muzyki i następujące po niej erupcje muzycznej agresji, tak nieujarzmionej i mrocznej, że niemal go paraliżowały, zdawały się trwać bez końca.

Nagle nastąpiło coś bardzo dziwnego. Muzyka przestała ranić jego uszy, stała się zapisem jego życia, cierpienia, poczucia winy i przerażenia. Czuł się tak, jakby ktoś złowił w sieć proces jego przemiany i niszczenia wszystkiego, co kiedyś stanowiło dla niego świętość. Przycisnął czoło do lodowato zimnej framugi otwartego okna. Pozorna kakofonia dźwięków stała się nieznośna i kiedy już miał wrażenie, że nie znieśie jej ani chwili dłużej, nagle wszystko ucichło.

Otworzył oczy i zajrzał przez okno. W pokoju, którego mrok rozpraszało tylko światło kominka, w skórzanym fotelu siedział mężczyzna i przyglądał

się Toby'emu. Blask ognia od bił się w kanciastych srebrnych oprawkach jego okularów, krótkich siwych włosach oraz rozciągniętych w uśmiechu wargach. Leniwym gestem prawej dłoni nakazał Toby'emu podejść do frontowych drzwi, a lewą zaprosił go do środka.

Stojący przy głównym wejściu człowiek powiedział:

– Szef chce się z tobą teraz zobaczyć, chłopcze.

Toby przeszedł przez szereg pokoi kipiących od złota, aksamitu i ciężkich draperii przewiązanych złotym sznurem ozdobionym chwostami.

Zauważył dwa buzujące ognie kominki: pierwszy w pokoju przypominającym rozległą bibliotekę, drugi w sąsiednim pomieszczeniu wyłożonym mlecznym szkłem, gdzie znajdował się niewielki basen pełen parującej, przejrzystej błękitnej wody.

W pokoju, który, sądząc po imponującej liczbie znajdujących się w nim książek, musiał być biblioteką, w krwistym czerwonym fotelu z wysokim oparciem siedział szef.

Wszystkie znajdujące się tam sprzęty – zarówno czarne, bogato zdobione biurko, jak stojąca na lewo od fotela szafa na książki, której oba skrzydła drzwi pokrywały płaskorzeźby – zachwyciły swoją urodą. Uwagę Toby'ego przyciągnęły szczególnie płaskorzeźby. Wystrój pomieszczenia nasuwał skojarzenie z niemieckim renesansem. Cała podłoga przykryta była dywanem i tonęła w morzu zdobiących go ciemnych kwiatów. Wzdłuż ścian oraz wysokich polerowanych listew przypodłogowych kobierzec był

wykończony pasem złotego materiału. Toby nigdy nie widział dywanu szytego na miarę, przyciętego do kształtu stojących po obu stronach podwójnych drzwi półkolumn oraz wystających krawędzi zbudowanego pod oknem siedziska.

– Usiądź i porozmawiaj ze mną, synu – odezwał się mężczyzna.

Toby zajął miejsce w stojącym naprzeciwko skórzanym fotelu, lecz nie odezwał się ani słowem. Nie potrafił zebrać myśli. W jego uszach wciąż dźwięczała muzyka.

– Powiem ci teraz, czego od ciebie oczekuję – rzekł szef i zaczął

opisywać sposób, w jaki Toby miał wykonywać zlecenia.

Chłopiec uznał go za wyszukany i stanowiący swego rodzaju wyzwanie, lecz możliwy do zastosowania.

– Broń palna? Zbyt prymitywna – ciągnął mężczyzna. – Ten sposób jest zdecydowanie prostszy, lecz będziesz miał tylko jedną szansę – westchnął. –

Wbijasz igłę w kark lub dłoń i ani na chwilę się nie zatrzymujesz. Wiesz, jak to zrobić. Musisz być w ciągłym ruchu, z oczami wlepionymi przed siebie, jakbyś nawet nie musnął ofiary. Ci ludzie będą spokojnie jedli i pili, pewni, że ich ochroniarze nie dopuszczą do nich uzbrojonego człowieka. Myślą, że właśnie takich osób powinni się bać. Wystarczy jednak chwila wahania i szansa przejdzie ci koło nosa, a jeśli złapią cię z igłą...

– Nie złapią – przerwał mu Toby. – Nie wyglądam na kogoś groźnego.

– To prawda! – przyznał tamten, rozkładając ręce w geście zaskoczenia.

– Przystojny z ciebie chłopak. Nie potrafię zlokalizować twojego akcentu.

Czyżby Boston? Nie, chyba jednak Nowy Jork. Skąd właściwie pochodzisz?

Toby nie był zaskoczony tym pytaniem. Większość mieszkańców Nowego Orleanu pochodzenia irlandzkiego lub niemieckiego miała trudny do rozpoznania akcent. On na dodatek naśladował sposób mówienia zasłyszany u wyższych sfer, co czyniło rozszyfrowanie go jeszcze trudniejszym.

– Mógłbyś być Anglikiem, Niemcem, Szwajcarem, Amerykaninem –

powiedział mężczyzna. – Jesteś wysoki, młody i masz najbardziej lodowate spojrzenie, jakie w życiu widziałem.

– Czyli wyglądam jak pan – powiedział Toby.

Jego rozmówca zmieszał się, ale po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Być może. Tylko że ja mam sześćdziesiąt siedem lat, a ty nie skończyłeś jeszcze dwudziestu jeden.

Toby przytaknął.

– Może przestaniesz wreszcie ścisnąć broń i porozmawiasz ze mną?

– Zrobię wszystko, o co pan poprosi – zapewnił Toby. – Nie mogę się już tego doczekać.

– Rozumiesz, co to znaczy, mieć tylko jedną szansę?

Ponownie skinął głową.

– Jeśli zrobisz to dobrze, ofiara niczego nie zauważy. Będzie żyć jeszcze przez dwadzieścia minut. Przez ten czas zdążysz opuścić restaurację. Będziesz szedł spokojnym krokiem, bez zatrzymywania się, a my przyjedziemy po ciebie.

Toby'ego ogarnęło przyjemne podekscytowanie, lecz nie dał tego po sobie poznać. Muzyka w jego głowie nie przestawała grać. Słyszał melodię utkaną z dźwięków strun i kotłów.

Obserwując go, czułem, jak bardzo jest podniecony. Poznałem to po przyspieszonym oddechu i błyszczących oczach, które pewnie umknęły uwagi mężczyzny. Przez chwilę Toby wyglądał tak niewinnie jak dawniej, kiedy snuł

swoje plany.

– Czego ode mnie oczekujesz za swoją pracę, oczywiście poza pieniędzmi? – zapytał szef.

Tym razem to Toby był zaskoczony. Wyraz jego twarzy całkowicie się zmienił. Mężczyzna to zauważył – widział jego zarumienione policzki i błysk w oku.

– Więcej zleceń – odrzekł Toby. – Ile tylko się da. I najlepszą lutnię, jaką uda się panu kupić.

Mężczyzna przyglądał mu się uważnie.

– Co sprawiło, że się tu znalazłeś? – zapytał, powtarzając wyrażający zdumienie gest, a następnie wzruszył ramionami. – Jak udało ci się dokonać tego wszystkiego?

Znałem odpowiedź na to pytanie. Znałem odpowiedzi na wszystkie pytania. Wiedziałem, dlaczego Toby czuł się pod ekscytowany: nie ufał

siedzącemu przed nim człowiekowi, lecz jednocześnie uwielbiał wyzwania, pragnął stawić czoło nowemu zadaniu i nie dać się zabić, gdy już je wykona.

Dlaczego właściwie mężczyzna miałby go zostawić przy życiu po skończonej pracy?

Umysłem Toby'ego zawładnęła dziwna myśl. Nie pierwszy raz zresztą marzyła mu się śmierć. Czy gdyby ten człowiek naprawdę go zabił, byłoby to takie złe? Przynajmniej zaoszczędziłby mu cierpienia, załatwił to szybko i bezboleśnie, a Toby O'Dare stałby się wówczas wspomnieniem. Spróbował

sobie wyobrazić, podobnie jak wielu ludzi przed nim, jak to jest przestać istnieć. Ogarnęła go rozpacz przejmująca równie mocno, jak najgłębszy, wibrujący bez końca dźwięk lutni. Podekscytowanie związane z czekającym go zadaniem stłumiło rozpacz. Wibrujący w uszach ton dodawał mu odwagi.

Mężczyzna wydawał się szczerzy, lecz prawdę powiedziawszy, Toby nie ufał nikomu. Mimo wszystko warto było podjąć to ryzyko. Szef był

człowiekiem wykształconym, pewnym siebie, dystyngowanym i miał w sobie coś czarującego. Urzekął spokojem. Alonso nigdy nie był oazą spokoju, a Toby tylko udawał, że umie zachować zimną krew, choć tak naprawdę nie rozumiał, co to znaczy osiągnąć wewnętrzny spokój.

– Jeśli obieca pan, że nigdy mnie nie zdradzi, zrobię dla pana wszystko, absolutnie wszystko, nawet to, czego inni nie potrafią – oświadczył Toby.

Przypomniawszy sobie szlochającą, błagającą o życie dziewczynę: jej drżące ramiona i wyciągnięte w obronnym geście dłonie.

– Nie istnieje na tym świecie rzecz, której bym nie zrobił. Przyjdzie jednak czas, kiedy przestanę być panu potrzebny.

– Nieprawda – zaprzeczył szef. – Przeżyjesz mnie na pewno.

Priorytetem jest to, byś mi zaufał. Czy wiesz, co oznacza słowo „priorytet”?

Toby skinął głową.

– Rozumiem doskonale – powiedział. – W tej chwili i tak nie mam wielkiego wyboru, a więc tak, ufam panu.

Mężczyzna zamyślił się głęboko.

– Mógłbyś pojechać do Nowego Jorku, wykonać zlecenie, a później kolejne – zaproponował.

– W jaki sposób otrzymam zapłatę? – zapytał Toby.

– Mógłbym zapłacić ci połowę z góry i więcej nie zobaczyć cię na oczy.

– Czy tego właśnie pan chce?

– Nie – odparł mężczyzna, zasepiony. – Mógłbym cię pokochać –

szepnął po chwili. – Mówię poważnie. Nie żebym chciał zrobić z ciebie swojego utrzymanka, nie to miałem na myśli, chociaż w moim wieku nie robi mi różnicy, czy mam w łóżku chłopaka czy dziewczynę. Najważniejsze, by był

to ktoś młody, świeży, czuły i urodziwy. Nie o to mi jednak chodzi. Ja naprawdę mógłbym cię pokochać, bo jest w tobie pewien rodzaj piękna: w twoim wyglądzie, sposobie mówienia i poruszania się.

No właśnie! Myślałem tak samo i wiedziałem już, na czym polega porozumienie dwóch ludzkich serc, o którym podobno anioły nie mają pojęcia.

Myślałem o ojcu Toby'ego, który miał zwyczaj kpić ze swojego syna i nazywać go Śliczną Bużką, o jego strachu przed miłością oraz o całkowitej porażce emocjonalnej, jaką poniósł. Myślałem o tym,

że ziemskie piękno potrafi przetrwać mimo trudów i okropieństw usiłujących je zdusić. Moje myśli stanowiły tylko tło dla tego, co działo się na pierwszym planie.

– Chcę dać Rosjanom popalić – powiedział mężczyzna, odwracając wzrok i zatapiając się w myślach. – Nigdy nie sądziłem, że doczekam czegoś podobnego. Nikt się tego nie spodziewał. Nie myślałem, że Rosjanie kiedykolwiek będą działać na tak wielu różnych płaszczyznach. Nie wyobrażasz sobie, jakich dopuszczają się szwindli, do czego są zdolni, by wymusić haracz. Wykorzystują nas w każdy możliwy sposób, powtarzając to, co robili w Związku Radzieckim. Taki już mają sposób na życie, nie czują nawet, że robią coś złego. Aż wreszcie do akcji wkraczają te bezwstydne gnojki, czyjaś dziesiąta woda po kisielu, domagając się od Alonsa jego domu i restauracji – powiedział, nie kryjąc zdegustowania, i pokręcił głową. – Czysty absurd.

Z westchnieniem spojrział w prawo, w kierunku stojącego na niewielkim stoliku laptopa, którego Toby wcześniej nie zauważył. Był to komputer, który zabrał z gabinetu prawnika.

– Pomóż mi pokazać Rosjanom, gdzie jest ich miejsce – ciągnął – a pokocham cię jeszcze bardziej. Nie musisz się obawiać mojej nielojalności. Za kilka dni zrozumiesz, że nie zdradzam ludzi ot tak, i dlatego właśnie jestem...

tym, kim jestem.

Toby skinął głową.

– Chyba już rozumiem – powiedział. – A co z lutnią?

Mężczyzna też pokiwał głową.

– Oczywiście znam odpowiednich ludzi. Sprawdzę rynek i zdobędę ją dla ciebie, lecz to nie może być instrument z najwyższej półki. Taki zakup byłby zbyt ostentacyjny, czyli za bardzo rzucałby się w oczy, zostawiłby po sobie ślad.

– Wiem, co oznacza to słowo – wtrącił Toby.

– Z tego, co wiem, porządne lutnie są zwykle tylko pożyczane młodym solistom, nigdy dawane na własność. Nie ma ich zbyt wiele na świecie.

– Rozumiem. Nie jestem aż tak dobry. Po prostu chcę grać na niezłym instrumencie.

– Załatwię ci najlepszy, jaki uda mi się kupić, nie ściągając na siebie kłopotów – przyrzekł mężczyzna. – Ale musisz mi coś obiecać.

Toby uśmiechnął się.

– Oczywiście, że będę dla pana grał, gdy tylko przyjdzie panu na to ochota.

Mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem.

– Powiedz mi, skąd jesteś – poprosił raz jeszcze. – Naprawdę chciałbym to wiedzieć. Potrafię rozpoznać pochodzenie ludzi, ot tak – strzelił palcami –

słuchając, jak mówią, niezależnie od ich wykształcenia i szlifowania języka. Z

tobą nie mogę sobie poradzić.

Zdradź mi swój sekret.

– Nigdy tego nie zrobię – powiedział Toby.

– Nawet jeśli ci powiem, że pracujesz dla Porządnych Ludzi?

– To nie ma znaczenia – odparł.

Morderstwo pozostawało morderstwem. Niemal się uśmiechnął.

– Proszę myśleć, że jestem osobą znikąd, która we właściwym czasie stanęła na pańskiej drodze.

Byłem zdumiony. Tak właśnie myślałem o Tobym: oto człowiek, który pojawił się we właściwym czasie.

– Jest jeszcze coś – powiedział Toby.

Mężczyzna uśmiechnął się i rozłożył ręce w geście zachęty.

– Pytaj.

– Jaki jest tytuł utworu, którego pan wcześniej słuchał? Chciałbym kupić to nagranie.

– To akurat proste – odparł, wybuchając serdecznym śmiechem. –

Święto wiosny Strawińskiego.

Szef przyglądał się Toby'emu, promieniejąc radością, jakby patrzył na osobę obdarzoną niezwykłą osobowością. Wyraz moich oczu musiał być podobny.

Toby spał aż do południa. Śniło mu się, że spaceruje z matką po pięknym domu, którego sufity pokryte były kasetonami, i opowiada jej o wspaniałej przyszłości czekającej ich rodzinę. Jego siostrzyczka miała iść do szkoły prowadzonej przez siostry sercanki, a Jacob do jezuitów. W tym wspaniałym domu niepokoiła go tylko jedna rzecz: przypominał labirynt, a nie miejsce, w którym można było mieszkać. Z krzywych podłóg wypiętrzyły się urwiste ściany. W salonie stał wielki czarny zegar z wahadłem, z którego, niby z szubienicy, zwisała figurka papieża.

Toby obudził się, sam, i przez chwilę nie był pewien, gdzie się znajduje.

Strach ścisnął mu gardło, a z oczu popłynęły łzy.

Próbował je powstrzymać – bezskutecznie. Przekręcił się na łóżku i ukrył twarz w poduszce.

Ponownie ujrzał tamtą dziewczynę, leżącą bez życia w jedwabnej mini i butach na niebotycznych obcasach, przypominającą bawiące się w przebieranki dziecko. W długich blond włosach miała kolorowe wstążki.

Anioł Stróż położył dłoń na głowie Toby'ego, zsyłając na niego wizję.

Pozwolił mu zobaczyć duszę dziewczyny, wędrującą w górę, wyzwoloną z zachowań i przyzwyczajęń, które do niedawna ją przytłaczały.

Toby gwałtownie otworzył oczy i wybuchnął jeszcze większym, rozpaczliwszym niż kiedykolwiek płaczem.

Wstał i zaczął się przechadzać, a jego wzrok padł na otwartą walizkę oraz książkę o aniołach. Położył się z powrotem do łóżka i płakał jak dziecko, dopóki nie zmorzył go sen. Roniąc łzy, szeptał słowa modlitwy: „Aniele Boży, stróżu mój, niech Porządni Ludzie szybko ześlą na mnie śmierć”.

Jego Anioł Stróż, słysząc rozpacz, żal i bezdenny smutek w słowach Toby'ego, odwrócił się i ukrył twarz w dłoniach.

Ale nie ja. Nie Malachiasz. Ja pomyślałem: Oto właściwa osoba.

Przenieśmy się o dziesięć lat waszego czasu w przyszłość, do chwili, w której rozpocząłem swoją opowieść: w moich oczach ten człowiek jest wciąż Tobym O'Dare, nie Luckym Szczwanym Lisem. Idę po niego.

ROZDZIAŁ 5

ANIELSKA PIEŚŃ

Nigdy w życiu nie czułem się równie oszołomiony. Kształty i kolory stawały się coraz wyraźniejsze, jakby wyłaniały się z mgły, w której utonąłem z chwilą zakończenia opowieści Malachiasza.

Siedziałem na kanapie, zapatrzony w przestrzeń, powoli dochodząc do siebie. Widziałem go wyraźnie, opartego o regał z książkami. Byłem wstrząśnięty, rozbity i nie mogłem wydusić słowa. Obrazy przeszłości wydały mi się tak żywe i namacalne, że z trudem wróciłem do rzeczywistości, jeśli faktycznie nią była. Ogarnął mnie przytłaczający i bezdennie głęboki smutek.

Spuściłem wzrok i ukryłem twarz w dłoniach. Jedyne, co podtrzymywało mnie na duchu, był cień nadziei, że uniknę potępienia. Gdzieś z głębi serca wyrwał się szept:

– Panie, wybacz, że się od Ciebie odwróciłem.

Jednocześnie w mojej głowie zrodziły się inne słowa: Bzdura! Nie wierzysz w to, co zobaczyłeś, choć nikt, nawet ty sam, nie był z tobą równie szczery. Wiara napęłnia cię strachem. Boisz się uwierzyć.

Usłyszałem odgłos zbliżających się kroków, a gdy ponownie odzyskałem świadomość, Malachiasz stał tuż obok.

– Módl się o łaskę wiary – szepnął mi do ucha.

Tak też zrobiłem.

Przypomniało mi się zdarzenie z przeszłości. Pewnego ponurego zimowego popołudnia, kiedy nie miałem ochoty wracać do domu, zaprowadziłem Emily i Jacoba do kościoła Najświętszego Imienia Jezus, gdzie modliłem się słowami: Panie, rozpal moje serce ogniem wiary, bo zaczyna mi jej brakować. Panie, dotknij mego serca, niech znów zapłonie.

Przed oczami stanął mi nagle stary obraz. Zobaczyłem niewyraźny zarys swego serca lizanego językami żółtego ognia. Brakowało mu żywych, przemawiających do wyobraźni barw i wrażenia ruchu, jakie towarzyszyły wizji Malachiasza, lecz mimo to modliłem się żarliwie. Po chwili obraz rozpląnął się, ale słowa modlitwy pozostały na moich wargach.

Było to coś więcej niż rozmowa z niewidzialnym Bogiem. Stałem przed Jego obliczem nieruchomy jak słup soli. Nagle doznałem wrażenia, że wspinam się porośniętym miękką trawą zboczem, widząc w oddali postać ubraną w długą szatę, i nawiedziła mnie myśl: „Na tym polega Jego chwała –

po tysiącach lat wciąż możesz podążać za Nim krok w krok”.

– Panie mój, z całego serca przepraszam – wyszeptałem. – Za moje śmiertelne grzechy, lecz przede wszystkim za to, że się od Ciebie odwróciłem.

Ponownie znalazłem się na kanapie, czując, że odpływam, niebezpiecznie bliski utraty przytomności, jakbym nie mógł znieść dręczących mnie – zresztą w pełni zasłużenie – wizji. Jak to możliwe, że pomimo miłości do Boga i skruchy z powodu tego, kim się stałem, brakowało mi wiary?

Przymknąłem powieki.

– Mój Tobie – westchnął Malachiasz. – Znasz ciężar swych win, lecz nie potrafisz pojąć ogromu posiadanej przez Niego wiedzy.

Poczułem dotyk silnej dłoni na ramieniu. Po chwili zorientowałem się, że wstał, i usłyszałem łagodny szelest kroków, gdy przemierzał salon.

Podniosłem wzrok i po raz kolejny uderzyła mnie wyrazistość barw oraz delikatny, lecz niezaprzeczalny blask emanujący z jego postaci. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że widziałem podobną poświatę podczas naszego pierwszego spotkania w Mission Inn. Nie potrafiłem wówczas znaleźć logicznego wytłumaczenia tego zjawiska, złożyłem je więc na karb wybujałej wyobraźni. Tym razem, zamiast się oszukiwać, w niemym zachwycie podziwiałem świetlistą postać. Na twarzy Malachiasza malowało się uniesienie i szczęście, graniczące z wesołością. Przypomniały mi się słowa pieśni o radości, jaka panuje w niebie za każdym razem, gdy zagubiona owca wraca do stada.

– Miejmy to już za sobą – jego głos był ożywiony i nie towarzyszyły mu żadne dodatkowe efekty. – Dobrze wiesz, co było dalej. Nie zdradziłeś Panu Sprawiedliwemu swojego imienia, choć bardzo nalegał, a odkąd agencje rządowe ochrzciły cię Luckym, sam zaczął cię tak nazywać. Szczęściarz. Ież gorzkiej ironii było w tym przydomku! Ty jednak wypełniałeś kolejne zlecenia z zaciśniętymi zębami, udając, że jej nie dostrzegasz.

Słuchałem w milczeniu. Do oczu napłynęły mi łzy i widziałem teraz jak przez mgłę. Musiałem całkiem oślepnąć, spadając na dno rozpacz. Byłem tonącym chłopakiem, trwoniącym siły na walkę z morską bestią, gdy nad moją głową zamknęła się otchłań.

– Przez pięć kolejnych lat pracowałeś głównie w Europie. Przebrania nie były ci potrzebne, z równą łatwością zakradałeś się do eleganckich restauracji i hoteli, banków i szpitali. Nigdy więcej nie użyłeś pistoletu, bo nie był ci potrzebny. W policyjnych raportach, świadectwach twoich niezaprzeczalnych sukcesów, zbyt późno pojawiała się informacja o przyczynie zgonu ofiar: wstrzykniętej im śmiertelnej dawce trucizny. Przeglądanie niewyraźnych, sprzecznych zapisów z kamer nigdy nie przyniosło spodziewanego efektu. W

pojedynek pojechałeś do Rzymu, zwiedzić Bazylikę Świętego Piotra.

Przemierzyłeś północne Włochy, Asyż, Sienę i Perugię, aż do Mediolanu, i ruszyłeś w dalszą drogę do Pragi i Wiednia. Zadałeś sobie trud podróży do Anglii, by na własne oczy zobaczyć surowy krajobraz, pośród którego żyły i stworzyły swoje największe dzieła siostry Bronte, obejrzałeś też kilka sztuk Szekspira. Wałęsałeś się po londyńskiej Tower, przemykając samotnie i niepostrzeżenie między turystami. Przez cały ten czas nikt ci nie towarzyszył, wiodłeś życie pustelnika. Nikt, może poza Panem Sprawiedliwym, nie uwierzyłby, że można być tak samotnym. Szybko przestałeś go odwiedzać.

Męczył cię pusty śmiech, uprzejme uwagi i lekkość, z jaką opowiadał o czekających cię zadaniach. Potrafiłeś to znieść przez telefon, lecz nie podczas bezpośredniej rozmowy. Wykwintne obiady z nim zamieniły się w torturę.

Porzuciłeś więc swego ostatniego towarzysza i stał się odtąd głosem w słuchawce. Przestałeś udawać, że łączy was choć namiastka przyjaźni.

Przerwał, odwrócił się twarzą do regału i przeciągnął palcem po grzbietach książek. Mimo swej doskonałości, wydawał się szczery i realny. Z

gardła wyrwało mi się głośne westchnienie – a może zakrztusiłem się wzbierającymi w nim łzami?

– Tyle zostało z twojego życia – ciągnął jednostajnym, przyciszonym głosem. – Książki i bojaźliwe podróże po kraju, odkąd przekraczanie granicy stało się zbyt ryzykowne. Niespełna dziewięć miesięcy temu osiadłeś tutaj, spragniony kalifornijskiego słońca, jakbyś całe życie spędził w zaciemnionym pokoju. – Ponownie zwrócił się do mnie. – Jesteś mi teraz potrzebny. Musisz wiedzieć, że twoje odkupienie zależy od Stwórcy i twojej wiary, która ponownie zaczyna dochodzić do głosu. Czujesz ją, prawda? Prosiłeś o przebaczenie. Przyznałeś, że nie ma w moich słowach cienia fałszu. Czy wiesz, że Bóg już odpuścił ci winy?

Milczałem. Czy ktokolwiek mógłby mi wybaczyć popełnione zbrodnie?

– Mówimy o Bogu Wszechmogącym – wyszeptał.

– Pragnę przebaczenia – powiedziałem. – Lecz nie wiem, czego oczekujesz. Co mógłbym zrobić, żeby choć w niewielkim stopniu zmazać swoje winy?

– Zostań moim pomocnikiem – odparł. – Narzędziem, dzięki któremu łatwiej wypełnię swój ziemski plan.

Oparł się o regał, uniósł dłonie do ust i uformował z nich wieżę.

– Porzuć swoje dotychczasowe, puste życie – ciągnął – i ofiaruj mi swój spryt, odwagę, talent oraz osobisty urok. Zdziwiasz brawurą w sytuacjach, w których inni czują się onieśmieleni. Błyszczysz intelektem, kiedy pozostali nie mają nic do powiedzenia. Mogę zrobić dobry użytek ze wszystkich twoich zalet.

Roześmiałem się, doskonale wiedząc, co miał na myśli. Rozumiałem każde jego słowo.

– Słyszysz to, na co inni pozostają głusi, kochasz harmonię i piękno.

Mimo popełnionych grzechów, twoje serce pozostało otwarte. Mógłbym je wykorzystać, by spełnić część próśb, jakie wierni kierują do Boga. Poprosiłem Go o pomocnika w tej misji i wskazał mi ciebie. Powierz swój los Jemu i mnie.

Poczułem w sercu pierwszy od lat promień prawdziwego szczęścia.

– Pragnę ci wierzyć – wyszeptałem – i stać się narzędziem w twoich dłoniach, ale nigdy nie byłem równie przerażony, jak teraz.

– To nie strach, lecz brak wiary w Jego przebaczenie. Musisz uwierzyć, że Bóg potrafi odpuścić winy nawet tak ciężkie jak twoje, gdyż to właśnie uczynił.

Nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął dalej:

– Nie jesteś w stanie pojąć tego, jak złożona jest otaczająca cię rzeczywistość, bo nie widzisz jej tak dokładnie jak my z nieba. Nie słyszysz modlitw rodzących się w ludzkich sercach, szeptanych w każdym zakątku świata, od chwili jego powstania, przez wszystkie wieki. Jesteśmy potrzebni w czasach, które tobie wydadzą się zamierzchłe. Musisz wiedzieć, że dla mnie takie nie są, ponieważ widzę przeszłość równie wyraźnie, jak chwilę obecną.

Będziesz się przemieszczał w czasie ludzkim, lecz ja egzystuję w czasie aniołów, w którym również będziesz podróżował, u mego boku.

– Czas aniołów – szepnąłem z niedowierzaniem.

Malachiasz przemówił ponownie:

– Pan ma wejrzenie na wszystko: wie o tym, co się zdarzyło, dzieje się teraz i wydarzy w przyszłości, zna też wszystkie możliwe scenariusze. Jest naszym Nauczycielem, w takim stopniu, w jakim jesteśmy w stanie zrozumieć jego nauki.

Poczułem, jak coś we mnie całkowicie się zmienia. Usiłowałem ogarnąć rozumem to, co próbował mi przekazać, choć znajomość teologii i filozofii podpowiadała mi, że nie jest to właściwa metoda.

Na myśl przyszły mi słowa Augustyna, cytowane przez Tomasza z Akwinu, które wyszeptałem pod nosem: „Wprawdzie nie istnieje żadna liczba nieskończonych liczb, to jednak może ją ogarnąć myśl tego, którego wiedza nie cierpi ograniczeń liczby”.

Malachiasz rozważał je z nieodgadnionym uśmiechem. Wielka zmiana już się we mnie dokonała. Milczałem jednak. Ponownie usłyszałem jego głos:

– Nie mogę wstrząsnąć każdym, kto tego potrzebuje, tak jak tobą.

Dlatego chciałbym, byś z moją pomocą zstąpił na ziemię. Tobie łatwiej będzie zrozumieć kogoś, kto należy do tego samego gatunku i jest człowiekiem.

Potrzebuję cię w służbie życia, nie śmierci. Twoja zgoda oznacza odwrócenie się od zła i wkroczenie na krętą, niebezpieczną ścieżkę dobra.

Krętą i niebezpieczną.

– Zgadzam się – odparłem mocno i zdecydowanie. – Pójdę, dokądkolwiek zechcesz, wytłumacz mi tylko, co mam zrobić. Prowadź mnie!

Niebezpieczeństwa nie są mi straszne. Zrobię wszystko, wystarczy twoje zapewnienie, że działam po właściwej stronie.

Dobry Boże, wierzę, że mi przebaczyłeś! – pomyślałem, a potem powiedziałem głośno:

– Daj mi szansę! Oddaję się w Twoje ręce.

Poczułem niespodziewany przyływ radości, uczucia lekkości i szczęścia.

I nagle świat wokół zawirował. Kolory rozmazały się i zaczęły blednąć. Miałem wrażenie, że wychodzę z ram obrazu, który rośnie w oczach, blaknie, a w końcu zamienia się w zwiewną, połyskliwą mgiełkę.

– Malachiaszu! – zawołałem.

– Jestem tuż obok – odparł.

Wznosiliśmy się w górę. Słoneczny blask ustąpił miejsca ciemności przetykanej ciepłym, łagodnym światłem, które niespodziewanie zmieniło się w deszcz ognistych iskier.

Usłyszałem niewypowiedziane piękny odgłos, który prowadził mnie razem z łagodnymi podmuchami wiatru i kojącą obecnością Malachiasza.

Moje zmysły rejestrowały wyłącznie usiane gwiazdami niebo i głęboki, urzekający dźwięk podobny do drżenia gongu wykonanego z brązu. Nie zdołał

go zagłuszyć nawet huk porywistego wiatru. Po chwili dołączyły do niego wibrujące, rozbrzmiewające jednocześnie tony, jakby wyrwane z serc czystych, niebiańsko lekkich dzwonów. Wchłonawszy szum wiatru, melodia stała się żywsza i bardziej przejmująca. Nigdy nie słyszałem równie zachwycającej muzyki. Utonąłem w jej dźwiękach bez pamięci, tracąc poczucie czasu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mogłaby zamilknąć: stałem się jej niewolnikiem.

Dobry Boże, wybacz mi, że zwątpiłem, odwróciłem się od Ciebie... Cały jestem Twój.

Otaczało mnie nieprzebrane morze mieniących się gwiazd. Każda z nich jarzyła się nieziemskim blaskiem. Spadały ze wszystkich stron, bezszelestnie przelatując obok mnie. Czułem się lekki jak piórko i pragnąłem na zawsze taki pozostać. Nagle dotarło do mnie, że to, co wzięłem za spadające gwiazdy, to anioły. Wiedziałem, że ich podróże we wszystkich kierunkach stanowią ważny element świata w wymiarze, w którym się znalazłem. Nie potrzebowałem niczyich wyjaśnień, by to zrozumieć. Prędkość, z jaką się poruszałem, nie dorównywała anielskiej. Ledwie dryfowałem w przestworzach, a mimo to spłynął na mnie nieznany dotąd spokój.

Muzyka w moich uszach przycichła i dołączyła do niej plątanina płynących gdzieś z dołu szeptów. Szmer cichych, tajemniczych głosów zmieszał się z melodią i wydawało mi się, że cały świat nim tętni.

Rozróżniałem słowa i jednocześnie miałem wrażenie, że słyszę jedną i tę samą prośbę wyrażaną na wiele sposobów.

Spojrzałem w dół, zdumiony, że nie straciłem poczucia kierunku. W

miarę jak zbliżaliśmy się do ogromnej, zawieszanej pode mną planety, muzyka cichła. Czułem niemal fizyczny ból na myśl, że mogłaby zamilknąć.

Wiedziałem jednak, że musimy dotrzeć do celu, i nie próbowałem się temu sprzeciwić.

W dalszym ciągu widziałem krążące wokół anioły i nie miałem wątpliwości, czym się zajmują: odpowiadaniem na ludzkie modlitwy.

Świadomość, jak ogromnego zaszczytu dostępuję, będąc świadkiem ich pracy, złagodziła żal spowodowany ucichnięciem najbardziej eterycznej melodii, jaką w życiu słyszałem. Chór szeptów rozbrzmiewał wielością bolesciwych głosów.

Oto muzyka płynąca z głębi ludzkich serc – pomyślałem trzeźwo – pełna smutku, pokory, uwielbienia, czci i trwogi.

Zobaczyłem ciemny kształt jakiegoś lądu, na którego tle odznaczały się płonące gdzieś światła

i satynowy blask mór. Widziałem miasta przypominające ogromne świetliste pajęczyny, które pojawiały się i znikwały, gdy przekraczałem kolejne warstwy mętnych chmur. Wszystko to z każdą chwilą stawało się wyraźniejsze. Muzyka całkiem już ucichła i jedynym słyszalnym dźwiękiem był szmer modlitw. W ułamku sekundy w mojej głowie zrodziły się setki pytań, na które błyskawicznie znalazłem odpowiedź.

Zbliżaliśmy się do Ziemi, ale w innym wymiarze czasu.

– Pamiętaj – przemówił do mnie łagodnie Malachiasz – że Stwórca jest wszechwiedzący, a tam, gdzie przebywa, nie istnieje przeszłość ani przyszłość, tylko teraźniejszość, wspólna dla wszystkich żyjących istot.

Bez chwili wahania uwierzyłem w prawdziwość jego słów i ponownie napełniło mnie uczucie bezgranicznej wdzięczności, która stłumiła pozostałe emocje. Przemieszczałem się w czasie aniołów, a teraz wkraczałem z powrotem do czasu ludzkiego i wiedziałem, że tak ma być, bo Malachiasz był ze mną.

Świetliste punkciki, poruszające się z ogromną szybkością, coraz rzadziej pojawiały się przed moimi oczami – być może nie bez przyczyny. Tuż pod sobą ujrzałem miasteczko pogrążone w szeleście szeptów i żarliwych modlitw, pokryte śniegowym puchem dachy i kominy, z których wzbijał się w nocne niebo czerwonawy dym. Poczulem jego smakowitą woń. Słowa modlitw zlały się w jedno i nie potrafiłem ich zrozumieć.

Powoli odzyskiwałem świadomość. Zauważyłem, że moje stare ubranie znikło i zostało zastąpione szatą utkaną z grubej wełny. Nie przejąłem się tym, całkowicie pochłonięty rozciągającym się przede mną widokiem.

Wydawało mi się, że pomiędzy domami wije się rzeka, w ciemności przypominająca srebrną wstęgę. Dostrzegłem też zarys ogromnej katedry zbudowanej na planie krzyża oraz wzniesionego na wysokim wzgórzu zamku.

Dachy większości budynków przykrywała czapa śniegu, niektóre były jednak tak strome, że biały puch zsunął się na ziemię.

Do moich uszu dotarł ledwie słyszalny odgłos spadającego śniegu.

Szmer zlewających się z sobą szeptów przybrał na sile.

– W ich modlitwie słysząc przerażenie – odezwałem się.

Mój głos zabrzmiał głośno i wyraźnie, jakbym nie znajdował się już w przestworzach, a moje ciało przeszył dreszcz. Owionęło mnie mroźne powietrze, twarz i dłonie smagnał śnieg. Zapragnąłem po raz ostatni usłyszeć niebiańską muzykę i ku memu ogromnemu zdumieniu, jej echo przez moment zabrzmiało mi w uszach, a potem ucichło. Z trudem powstrzymałem łzy wdzięczności za to objawienie. Musiałem jednak poznać cel swojej misji. I tak nie zasługiwałem na słuchanie anielskich pieśni. Świadomość, że mógłbym dokonać czegoś dobrego w tym wymiarze, ponownie ścisnęła mi gardło.

– Modlą się w intencji Meira i Flurii – wyjaśnił Malachiasz – oraz całej żydowskiej ludności miasteczka. Wygląda na to, że jesteś odpowiedzią na ich błagania.

– Jakim cudem mógłbym im pomóc? – wyjąkałem z trudem.

Byliśmy już bardzo blisko dachów. Rozróżniałem zarys ulic małego miasteczka, oblepionych

śniegiem wież zamku i lśniącej tafli dachu katedry, w którym przeglądały się zawieszona na niebie gwiazdy.

– W mieście Norwich niedawno zapadł zmierzch – czysty, dźwięczny głos Malachiasza przebił się przez szmer modlitw, które bezustannie wibrowały mi w uszach. – Czas wystawiania jasełek się skończył, w przeciwieństwie do prześladowań miejscowych Żydów.

Nie musiałem prosić o wyjaśnienie. Wiedziałem, że Norwich i jego okolice skupiały ludność wyznania mojżeszowego.

Nagle przyspieszyliśmy. Okazało się, że wcześniej naprawdę widziałem rzekę, i przez chwilę zdawało mi się, że modlitwy przybrały materialny kształt, lecz były to tylko puchate obłoki. Widoczne w dole białe dachy przypominały zjawy. Ponownie poczułem wilgotny podmuch sypiącego się z nieba śniegu. W

końcu znaleźliśmy się w miasteczku i znów mocno stałem na ziemi. Otaczały nas ciasno pobudowane domy z muru pruskiego, które wydawały się niebezpiecznie przechylać w naszą stronę, grożąc zawaleniem. W niewielkich oknach migotały przyćmione światła. Drobne śnieżne płatki wirowały w powietrzu.

Spojrzałem w dół i zorientowałem się, że jestem ubrany w mnisi habit.

Mimo mroku, rozpoznałem go bez trudu. Miałem na sobie białą tunikę i szkaplerz oraz czarny płaszcz z kapturem – strój dominikanów – wokół pasa zaś zawiązany sznur, skryty pod szkaplerzem. Przez moje lewe ramię przewieszona była skórzana torba. Zaskoczył mnie ten strój. Dotknąłem głowy i z niepokojem odkryłem, że wygolono na niej tonsurę: namacałem gładki krąg okolony przyszczyżonymi włosami, charakterystyczny dla średniowiecznych mnichów.

– Uczyniłeś mnie tym, kim zawsze chciałem być: dominikańskim zakonnikiem – powiedziałem.

Nie mogłem opanować podekscytowania, byłem też ciekaw, co się kryło w skórzanej torbie.

– Posłuchaj. – Nie widziałem Malachiasza, lecz jego głos odbił się echem od murów.

Wcale nie zgubiliśmy się w ciemności – po prostu stał się niewidzialny.

Chór modlitw ucichł. Gdzieś niedaleko rozległy się gniewne głosy.

– Jestem tuż obok – odezwał się ponownie.

Wpadłem w panikę, lecz po chwili poczułem, jak ściska moją dłoń.

– Posłuchaj mnie uważnie – powiedział. – Do twoich uszu dociera krzyk tłumu, zebranego na sąsiedniej ulicy. Zostało ci niewiele czasu. Jest rok 1257, na angielskim tronie zasiadł król Henryk z Winchesteru. Te informacje na niewiele ci się jednak zdadzą, choć wiedza na temat tych czasów, jaką dysponujesz, jest szersza niż większości współczesnych ci ludzi. Przybyłeś tu, by chronić Meira i Flurię, za których się modlą tutejsi Żydzi. Jak się słusznie domyślasz, niebezpieczeństwo grozi nie

tylko tym dwojgu, ale też ich braciom w Norwich. Zagrożenie zresztą może sięgnąć nawet do Londynu.

Nigdy przedtem nie czułem się równie zaciekawiony i podekscytowany.

Rzeczywiście, sporo wiedziałem na temat średniowiecza i niebezpieczeństw, jakie groziły wówczas Żydom w całej Anglii.

Poczułem przejmujący chłód. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że mam na sobie buty ze sprzączkami oraz wełniane pończochy. Dzięki Bogu nie jestem franciszkaninem zobowiązanym do chodzenia w sandałach lub boso, pomyślałem, tłumiąc chichot. Natychmiast skarciłem się w duchu: nie powinienem tracić czasu na głupstwa.

– No właśnie – powiedział Malachiasz uspokajającym głosem. – Nie myśl jednak, że czekają cię wyłącznie trudy i wyrzeczenia.

Wszystkie anioły czerpią przyjemność z pomagania ludziom, a od tej pory pracujesz razem z nami, jako nasz podopieczny.

– Czy ci ludzie mnie widzą?

– Oczywiście. Widzą, słyszą i rozumieją, podobnie jak ty rozumiesz ich.

Będiesz wiedział, po jakimu mówisz: po angielsku, francusku czy hebrajsku, i jakim językiem posługują się inni. Dla aniołów to nic trudnego.

– A co z tobą?

– Tak jak ci obiecałem, nie opuszczę cię na krok, lecz tylko ty będziesz mnie widział i słyszał. Nie próbuj do mnie mówić ani mnie wzywać, chyba że nie będziesz miał innego wyjścia. A teraz idź i wmieszaj się w tłum: sprawy przybrały niepokojący obrót. Jesteś wędrownym uczonym, przybyłeś do Anglii z Włoch, przez Francję, i nazywasz się brat Toby, co nie powinno być trudne do zapamiętania.

Nie mogłem się już doczekać wejścia w swoją rolę.

– Co jeszcze powinienem wiedzieć?

– Zaufaj swoim umiejętnościom, dzięki którym się tutaj znalazłeś.

Jesteś wygadany, wręcz elokwentny, i nie do pokonania, jeśli ci na czymś naprawdę zależy. Zaufaj Stwórcy i mnie.

Harmider na sąsiedniej ulicy wzrósł i rozległo się bicie dzwonu.

– Brzmi jak wezwanie do ciszy nocnej – powiedziałem nerwowo.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Wiedza, którą dysponowałem, nagle wydała mi się niewystarczająca i

poczułem, jak ogarnia mnie strach.

– Masz rację – przyznał Malachiasz. – To tylko wznieci gniew awanturników żądnych szybkiego załatwienia sprawy. Idź do nich!

ROZDZIAŁ 6

TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE LEI

Tłum był rozwścieczony i przerażający. Na pewno jednak nie można go było nazwać czernią, bo wielu ludzi miało z sobą latarnie, niektórzy nieśli pochodnie, inni świece. Dużo osób ubranych było w futra i aksamity.

Po jednej stronie ulicy stały kamienne domy. Przypomniałem sobie, że pierwszymi budowniczymi takich domów w Anglii byli – nie bez powodu –

Żydzi.

Zbliżając się w stronę tłumu, usłyszałem cichy głos Malachiasza.

– Księża ubrani na biało należą do lokalnego klasztoru – powiedział.

Spojrzałem na trzech grubo odzianych mężczyzn stojących najbliżej drzwi jednego z domów.

– Dominikanie stoją tam, zgromadzeni wokół lady Margaret, siostrzenicy szeryfa i krewnej arcybiskupa. Obok widzisz jej córkę, trzynastoletnią Nell. To one oskarżyły Meira i Flurię o otrucie i sekretny pochówek ich własnej córki. Pamiętaj, że znalazłeś się tutaj, by pomóc tym dwojgu.

Tysiące pytań cisnęły mi się do głowy. Na samą myśl o zabiciu dziecka zrobiło mi się słabo. Wolałem się jednak nie zastanawiać nad tym, że przecież tych ludzi oskarżono o zbrodnię, która dla mnie stanowiła chleb powszedni.

Wmieszałem się w tłum. Wiedziałem, że Malachiasz mnie opuścił.

Zostałem sam.

Kiedy zbliżyłem się do domu, ujrzałem stukającą w drzwi lady Margaret.

Miała na sobie przepiękną szatę z rozkloszowanymi rękawami, całą obszytą futrem, na którą narzuciła luźną futrzaną pelerynę z kapturem. Jej twarz była zalana łzami, a głos się łamał.

– Wyjdźcie i wytłumaczcie się! – żądała, robiąc wrażenie szczerzej i głęboko zaniepokojonej. – Domagam się tego, Meirze i Flurio! Natychmiast pokażcie nam Leę albo wytłumaczcie, dlaczego jej tam nie ma. Przysięgam, że dość mamy waszych kłamstw.

Odwróciła się w stronę tłumu i powiedziała, przekrzykując go:

– Nie chcemy więcej słuchać bajek o tym, że dziecko zostało wywiezione do Paryża!

Odpowiedział jej chór potakiwań.

Pozdrowiłem pozostałych dominikanów, którzy zbliżyli się do mnie.

Przyciszonym głosem wyjaśniłem im, że jestem bratem Tobym, pielgrzymem, który przewędrował wiele krain.

– Pojawiłeś się w samą porę – odezwał się najwyższy i najbardziej postawny z zakonników. – Nazywam się ojciec Antoine, jestem tutejszym superiorem, o czym zapewne wiesz, skoro przebywałaś w Paryżu. Ci oto Żydzi otruli własną córkę, gdyż ośmieliła się pójść do katedry w Wigilię.

Chociaż starał się mówić szeptem, jego słowa wywołały natychmiastowy szloch lady Margaret i jej córki Nell. Z otaczającego nas tłumu dobiegły wrzaski i okrzyki poparcia.

Nell była ubrana równie wytwornie jak jej matka, lecz wyglądała na znacznie bardziej wytrąconą z równowagi. Potrząsała głową, zanosząc się szlochem.

– To wszystko moja wina. Ja zaprowadziłam ją do kościoła.

Ubrani na biało księża od razu zaczęli się spierać z zakonnikiem, który do mnie przemówił.

– To ojciec Jerome – wyjaśnił Malachiasz szeptem. – Przekonasz się, że stoi na czele opozycji przeciwko kampanii mającej wyłonić kolejnego świętego i męczennika.

Słyszając jego głos, odetchnąłem z ulgą. Nie wiedziałem jednak, jak poprosić go o dalsze informacje. Poczulem, jak popycha mnie do przodu, aż znalazłem się pod samymi drzwiami wielkiego kamiennego domu, w którym najwyraźniej mieszkali Meir i Fluria.

– Wybaczcie, że pytam, choć jestem tu obcy – powiedziałem całkowicie naturalnym i spokojnym głosem. – Dlaczego jesteście przekonani, że zdarzyło się tu morderstwo?

– Ponieważ Lea przepadła jak kamień w wodę – odparła lady Margaret.

Nawet z zaczerwienionymi, wilgotnymi od łez oczami była jedną z najbardziej atrakcyjnych kobiet, jakie w życiu widziałem.

– Zabraliśmy ją z sobą, bo chciała zobaczyć Dzieciątko Jezus – dorzuciła gorzko drżącymi wargami.
– W najgorszych koszmarach nie wyobrażaliśmy sobie, że rodzice Lei otrują ją i będą spokojnie patrzeć, jak umiera. Spraw, by wyszli i udzielili nam odpowiedzi.

Na te słowa tłum zaczął jeszcze głośniejszym krzykiem. Obleczony w biel ojciec Jerome usiłował go uciszyć. Jego wzrok padł na mnie.

– W naszym miasteczku jest wystarczająco wielu dominikanów –

powiedział. – A nasza katedra ma już męczennika, świętego Williama. Żli Żydzi, którzy go zamordowali, od dawna nie żyją i nie uniknęli kary za swoją zbrodnię. Twoi dominikańscy braciszkuje chcą mieć po prostu własnego świętego, bo nasz im nie wystarcza.

– Od tej pory chcemy czcić pamięć świętej Lei – wtrąciła lady Margaret zachrypniętym od łez, pełnym dramatyzmu głosem. – Nell i ja przyczyniłyśmy się do jej tragedii – urwała, bez tchu. – Wszyscy znają historię małego Hugh z Lincoln i okropnego losu, jaki przypadł mu w udziale...

– Lady Margaret, nie żyjemy w Lincoln – przerwał jej ojciec Jerome. – I w przeciwieństwie do jego mieszkańców, nie mamy dowodów na to, że faktycznie doszło do morderstwa. – Zwrócił się w moją stronę. – Jeśli przybyłeś tu, by złożyć pokłon relikwiom świętego Williama w naszej katedrze, jesteś mile widzianym gościem – powiedział. – Widzę, żeś wykształcony zakonnik, a nie zwykły żebrak. – Zmierzył spojrzeniem pozostałych dominikanów. – Powiadam ci, że William zaprawdę jest świętym, słynnym na całą Anglię, a ci ludzie nie mają dowodów nawet na to, że córka Flurii Lea w ogóle została ochrzczona.

– Została ochrzczona z krwi – rzekł stanowczo ojciec Antoine, dominikanin. Przemawiał z kaznodziejską pewnością siebie. – Czyż męczeństwo małego Hugh nie było wystarczającym świadectwem tego, do czego są zdolni Żydzi, jeśli się im pofolguje? Ta dziewczynka umarła za swoją wiarę, za to, że ośmieliła się pójść do kościoła w Wigilię. A ci ludzie muszą odpowiedzieć nie tylko za zwyrodniałą zbrodnię dokonaną na dziecku, w którego żyłach płynęła ich własna krew, lecz także za morderstwo chrześcijanki, którą stała się Lea.

Tłum zareagował głośnym pomrukiem aprobaty, lecz widziałem, że wielu zgromadzonych nie uwierzyło w ani jedno usłyszane przed chwilą słowo.

Jak miałem postąpić? Odwróciłem się, zapukałem do drzwi i przemówiłem łagodnym głosem:

– Meirze i Flurio, jestem tu, by was bronić. Proszę, odezwijcie się.

Nie wiedziałem nawet, czy mnie słyszą.

Tymczasem tłum zgęstniał jeszcze bardziej i nagle z pobliskiej wieży kościelnej rozległ się dźwięk dzwonu. Coraz więcej osób gromadziło się wokół

kamiennych domów.

Niespodziewanie tłum rozstał się pod naporem uzbrojonych jeźdźców.

Zobaczyłem dobrze ubranego mężczyznę, z siwymi rozwianymi na wietrze włosami, z mieczem u boku, siedzącego na końskim grzbiecie. Zatrzymał się zaledwie kilka metrów od drzwi domu, mając za plecami pięciu czy sześciu jeźdźców.

Część gapiów natychmiast się rozpierzchła. Inni zaczęli krzyczeć:

– Aresztujcie ich! Aresztujcie Żydów! Aresztujcie ich!

Reszta przysunęła się bliżej, patrząc, jak mężczyzna zsiada z konia i zbliża się do grupki osób stojących najbliżej drzwi. Jego wzrok obojętnie prześlizgnął się po mojej twarzy.

Lady Margaret nie pozwoliła mężczyźnie dojść do głosu.

– Mości szeryfie, wina tych Żydów jest oczywista – powiedziała. –

Wiesz, że widziano ich w lesie z ciężkim pakunkiem. Niechybnie zakopali to dziecko tuż przy wielkim dębie.

Szeryf, krzepki mężczyzna z brodą równie białą jak włosy, rozejrzał się wokół z malującym się na twarzy wyrazem obrzydzenia.

– Natychmiast ucisz ten dzwon! – krzyknął do jednego ze swoich ludzi.

Raz jeszcze zmierzył mnie od stóp do głów, ale nie okazałem zdenerwowania. Odwrócił się w stronę zgromadzonych i przemówił do nich:

– Przypominam wam, dobrzy ludzie, że ci oto Żydzi są własnością Jego Królewskiej Mości Henryka i jeśli uczynicie szkodę im, ich domostwu czy majątkowi, wyrządzicie szkodę również królowi, za co traficie do aresztu. Są oni Żydami królewskimi, sługami korony. A teraz rozejdźcie się. Czyżbyście się domagali żydowskiego świętego w każdym mieście naszego królestwa?

Jego słowa wywołały burzę protestów. Lady Margaret natychmiast uczepliła się jego ramienia.

– Wuju – zwróciła się do niego błagalnie – dopuszczono się wielkiej niegodziwości. Nie tak podłej jak to, co uczyniono świętemu Williamowi czy małemu Hugh, lecz równie złej. Dlatego tylko, że zabraliśmy dziecko do kościoła w wigilijny wieczór...

– Ile jeszcze razy przyjdzie mi tego słuchać? – przerwał jej. – Od lat żyjemy z tymi Żydami w zgodzie i nagle stajemy się ich wrogami, tylko dlatego że jakaś dziewczynka zapomniała się pożegnać przed wyjazdem ze swoimi aryjskimi przyjaciółmi?

Dzwon zamilkł, ale ulice w dalszym ciągu były zapchane ludźmi.

Odniosłem nawet wrażenie, że część z nich wspięła się na dachy.

– Wracajcie do swoich domów – powiedział szeryf. – Oddzwoniono ciszą nocną. Jeśli pozostaniecie na ulicy, złamiecie prawo!

Jego ludzie starali się zaprowadzić porządek, lecz nie było to łatwe.

Lady Margaret zaczęła nerwowo szukać sojuszników, lecz udało jej się znaleźć zaledwie dwóch podejrzanych typków, cuchnących alkoholem.

Podobnie jak większość mężczyzn w tłumie, mieli na sobie proste wełniane tuniki i rajtuzy, lecz ich łydki i stopy owinięte były jakimiś gałganami.

Sprawiali wrażenie oszołomionych światłem pochodni oraz liczbą przepychających się przez tłum gapiów, usiłujących lepiej się im przyjrzeć.

– Tych dwóch ludzi widziało Meira i Flurię, jak wchodzili do lasu z podejrzanym pakunkiem – krzyknęła lady Margaret. – Widzieli ich obok wielkiego dębu. Mości szeryfie, mój umiłowany wuju, gdyby nie to, że ziemia zamarzła, dawno wydobylibyśmy pogrzebane w niej ciało.

– Przecież ci mężczyźni to pijacy – wtrąciłem bez zastanowienia. – A skoro nie macie ciała, jak możecie dowieść, że popełniono morderstwo?

– Otóż to – powiedział szeryf. – Mamy tu dominikanina, który jest dość zdrowy na umyśle, by nie ogłaszać świętym kogoś, kto przebywa teraz bezpiecznie w Paryżu. – Zwrócił się do mnie. – To twoi bracia wszczęli tę burzę. Przemów im do rozumu.

Dominikanie kipieli gniewem, lecz w ich zachowaniu zaskoczyło mnie coś zupełnie innego: okazywane przez nich oburzenie było szczere. Naprawdę wierzyli w to, że racja leży po ich stronie.

Lady Margaret wpadła w szal.

– Wuju, czy nie dostrzegasz mojej winy w całej tej sytuacji? Muszę ją jakoś odkupić. To ja, razem z Nell, zaprowadziłam to dziewczę na mszę i jasełka. My wytłumaczyłyśmy jej znaczenie kościelnych pieśni i odpowiedziałyśmy na niewinne pytania...

– Rodzice wybaczyli jej to wszystko! – oświadczył szeryf. – Czy znasz łagodniej usposobionego Żyda niż uczonego Meir? Ojciec Antoine, czyż nie zgłębialiście razem języka hebrajskiego? Jak możesz mu więc stawiać podobne zarzuty?

– To prawda, że mnie uczył – przyznał dominikanin. – Wiem również, że jest człowiekiem słabym i żyje pod pantoflem swej żony, która przecież była matką apostatki...

Na dźwięk ostatniego słowa tłum się ożywił.

– Apostatki! – wykrzyknął szeryf. – Nie wiadomo, czy to młode dziewczę rzeczywiście nią było. Za dużo tych niewiadomych.

Wiedział, że nie panuje nad tłumem i że nic na to nie może poradzić.

– Skąd wiecie, że dziecko nie żyje? – zapytałem ojca Antoine'a.

– Rozchorowało się w dniu Bożego Narodzenia – powiedział. – Wiemy o tym, bo ojciec Jerome, który jest nie tylko księdzem, ale i lekarzem, odwiedził

Leę. Wtedy właśnie rodzice zaczęli ją truć. Spędziła cały dzień w łóżku, powoli konając, podczas gdy trucizna wyzerowała jej żołądek. Później nikt już jej nie widział, a ci Żydzi mają czelność twierdzić, że krewny zabrał ją do Paryża.

Podjąłby się brat podobnej podróży w taką pogodę?

Wydawało się, że każdy ze zgromadzonych miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Mimo to odparłem spokojnie:

– Czyż nie zjawiłem się tutaj mimo złej pogody? Na pewno nie można nikogo oskarżyć o morderstwo bez dowodu, że w ogóle zostało ono popełnione. Czyż nie znaleziono ciała świętego Williama i małego Hugh?

Lady Margaret raz jeszcze przypomniawszy wszystkim, że ziemia wokół

dębu zamarzała. Jej córka zapłakała gorzko:

– Nie miałam zamiaru nikogo skrzywdzić. Ona chciała tylko posłuchać muzyki. Zachwyciła się nią, podobnie jak procesją. Chciała popatrzeć na Dzieciątka leżące w żłóbku.

Po tym wyznaniu okrzyki tłumu jeszcze się wzmożyły.

– Dlaczego nie widzieliśmy krewnego, który po nią przyjechał i zabrał w tę zmyśloną podróż? – Pytanie ojca Antoine’a było skierowane do mnie i do szeryfa.

Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie. Uniósł w górę prawą dłoń, dając sygnał swoim ludziom. Jeden z nich odłączył się od reszty i odjechał. Szeryf zwrócił się do mnie przyciszonym głosem:

– Posłałem po posiłki do ochrony Żydów w miasteczku.

– Domagam się – odezwała się ponownie lady Margaret – żeby Meir i Fluria udzielili nam odpowiedzi. Dlaczego ci wszyscy nikkzemni Żydzi zamknęli się w domach? Zrobili to, gdyż wiedzą, że stawiane im zarzuty są prawdziwe.

Ojciec Jerome zareagował błyskawicznie.

– Nikkzemni Żydzi? Meir, Fluria i stary Izaak, doktor? Ludzie, których uważaliśmy za swoich przyjaciół? Nagle stali się nikkzemnikami?

Ojciec Antoine, dominikanin, natychmiast mu odparował.

– Bardzo wiele im zawdzięczacie: szaty, naczynia liturgiczne, cały wasz klasztor – powiedział. – Ale to nie czyni z nich przyjaciół, tylko lichwiarzy.

Po raz kolejny podniosła się wrzawa, lecz naraz tłum rozstał się, przepuszczając przygarbionego staruszka o siwych, spływających na ramiona włosach. Jego szaty i tunika sięgały niemal do pokrytej śnieżnym puchem ziemi. Buty ozdobione były eleganckimi złotymi sprzączkami.

Od razu zwróciłem uwagę na żółtą łatkę z tafty, przyszytą na jego piersi, zdradzającą, że jest Żydem. Miała ona kształt dwóch tablic z dziesięcioma przykazaniami. Zachodziłem w głowę, jak ktoś mógł wybrać ten symbol do piętnowania ludzi. A jednak tak właśnie zdecydowano i przez długie lata Żydzi w całej Europie zmuszani byli do noszenia podobnych oznaczeń. Czytałem o tym.

Ojciec Jerome surowo nakazał tłumowi uczynić drogę dla Izaaka, syna Salomona, i po chwili starszek stanął obok lady Margaret.

– Ilu z was – zapytał ojciec Jerome – przychodziło do Izaaka po lecznicze napoje i środki na wymioty? Ilu uzdrowiły jego zioła i umiejętności?

Często odwoływałem się do wiedzy i sądów tego człowieka. Przekonałem się, że jest znakomitym medykiem. Jak śmiecie udawać głuchych na to, co ma wam do powiedzenia?

Starszy mężczyzna stał spokojny i niewzruszony, czekając, aż krzyki umilkną. Ubrani na biało księża z katedry przysunęli się do niego, by czuł się bezpiecznie. Wreszcie przemówił głębokim, choć lekko drżącym głosem.

– Pielęgnowałem to dziecko – powiedział. – To prawda, że poszła do kościoła w wigilijny wieczór, wiedziona ciekawością: chciała obejrzeć jasełka i posłuchać muzyki. Zrobiła to, lecz wróciła do swoich rodziców jako żydowskie dziecko, którym była, wychodząc z domu. To tylko dziecko, któremu szybko wybaczone! Rozchorowała się, co mogło się przydarzyć każdemu przy tak paskudnej pogodzie, dostała gorączki i zaczęła majaczyć.

Wydawało się, że tłum znowu zacznie krzyczeć, lecz szeryf i ojciec Jerome zapobiegli temu, gestem dłoni nakazując ciszę. Starzec obrzucił

zgromadzonych pełnym godności spojrzeniem i kontynuował opowieść:

– Wiedziałem, co jej dolega. To była niedrożność jelit. Odczuwała ostry ból w boku, rozpałała ją wysoka gorączka. Lecz później temperatura spadła, ból zelżał i zanim wyjechała do Francji, w pełni powróciła do zdrowia.

Rozmawiałem z nią, podobnie jak obecny tu ojciec Jerome, wasz doktor, choć prawdę mówiąc, większość z was to ja leczyłem.

Ojciec Jerome natychmiast potwierdził jego słowa:

– Powtórzę to, co już wcześniej mówiłem. Widziałem ją, zanim wyruszyła w podróż. Była zdrowa jak ryba.

Powoli zaczynałem rozumieć, co naprawdę się stało. Dziecko dostało pewnie ataku wyrostka robaczkowego, a gdy wyrostek pękł, ból naturalnie złagodniał. Podejrzywałem jednak, że wyprawa do Paryża była tylko wytworem wyobraźni.

Tymczasem starszek mówił dalej.

– Panienko Eleanor – zwrócił się do dziewczynki – czy nie przyniosła panienka kwiatów dla Lei? Czy panienka nie widziała jej całej i zdrowej przed wyjazdem?

– To był ostatni raz, kiedy ją widziałam – odparło dziecko ze szlochem.

– I ani słowem nie wspomniała, że się gdzieś wybiera.

– Całe miasto było zajęte przygotowaniami do kolejnych jasełek i ulicznych przedstawień! – powiedział stary doktor. – Wszyscy interesowaliście się wyłącznie tym. My nie uczestniczymy w podobnych uroczystościach, więc kiedy krewni przyjechali i zabrali ją, niczego nie zauważyliście.

Byłem pewny, że kłamie. Najwyraźniej był gotowy powiedzieć wszystko, byle tylko ochronić Meira, Flurię i pozostałych Żydów w miasteczku.

Kilku młodych mężczyzn, którzy do tej pory stali spokojnie za plecami dominikanów, przedarło się do przodu. Jeden z nich popchnął starca i nazwał

go „plugawym Żydem”. Pozostali zaczęli szarpać medyka.

– Przestańcie! – zawołał szeryf, dając sygnał swoim ludziom.

Chuligani natychmiast uciekli. Tłum rozstał się przed jeźdźcami.

– Aresztuję każdego, kto podniesie rękę na tych Żydów! Oni nie należą do was, tylko do korony.

Staruszek był wstrząśnięty atakiem. Wyciągnąłem rękę, żeby go uspokoić. Rzucił mi znajome już, przenikliwe i wyniosłe spojrzenie, w którym jednak dostrzegłem odrobinę wdzięczności za mój gest.

Tłum wydał pomruk niezadowolenia, lekceważąc groźby szeryfa, a dziewczynka ponownie zaniósła się rozdzierającym płaczem.

– Gdybyśmy chociaż dostali sukienkę, która należała do Lei – szlochała.

– Potwierdziłaby ona, co naprawdę się stało. Już samo jej dotknięcie uzdrowiłoby pewnie wielu.

Tłum przyklasnął pomysłowi. Lady Margaret upierała się, że wszystkie ubrania zmarłego dziecka muszą nadal znajdować się w domu, gdyż nigdzie nie pojechało, powinni więc ich poszukać.

Ojciec Antoine, przywódca dominikanów, gwałtownie uniósł ręce w górę, prosząc o cierpliwość.

– Nim się do tego zabierzecie, wysłuchajcie pewnej historii –

powiedział. – Ciebie proszę o to samo, mości szeryfie.

W uchu zadźwięczał mi głos Malachiasza: „Pamiętaj, że i ty jesteś kaznodzieją. Nie pozwól mu wygrać tej słownej potyczki”.

– Wiele lat temu – zaczął ojciec Antoine – nikczemny Żyd z Bagdadu odkrył ze zdumieniem, że jego syn przeszedł na chrześcijaństwo, i z wściekłości wepchnął go do paleniska. Gdy już wydawało się, że ogień pochłonie niewinnego chłopca żywcem, z nieba zstąpiła sama Niepokalana Dziewica i uratowała chłopca, który wyszedł z opresji bez szwanku. Ogień zaś strawił nikczemnego Żyda, który usiłował uczynić swojemu chrześcijańskiemu synowi tak straszliwą krzywdę.

Słowa dominikanina wyraźnie podjudziły tłum, gotowy teraz do splądrowania domu.

– To stara opowieść – wykrzyknąłem rozwścieczony. – Znana na całym świecie, lecz za każdym razem chodzi o innego Żyda i inne miasto. Tylko zakończenie jest zawsze takie samo. Kto z was widział coś podobnego na własne oczy? Dlaczego wszyscy tak chętnie wierzą w tę historię? – ciągnąłem, najgłośniejszy jak potrafiłem. – Macie zagadkę do rozwiązania, ale brakuje wam Najświętszej Panienki i dowodów, musicie więc zaprzestać tych oskarżeń.

– A kimże ty jesteś, by przychodzić tu i przemawiać w imieniu tych Żydów? – przerwał mi ojciec Antoine. – Kimże jesteś, by podważać autorytet superiora własnego zakonu?

– Nie chciałem nikogo obrazić – wyjaśniłem. – Zauważyłem tylko, że ta opowiadka niczego nie dowodzi, a już na pewno nie przesądza o czyjejsz winie albo niewinności.

Nagle do głowy przyszedł mi pewien pomysł. Jeszcze bardziej podniosłem głos.

– Wszyscy wierzycie w swojego małego świętego! – wykrzyknąłem. – W

William, którego relikwie znajdują się w waszej katedrze. Idźcie więc do niego i módlcie się, aby was poprowadził. Módlcie się, by wskazał wam miejsce pochówku dziewczęcia, skoro tak wam zależy na odnalezieniu go. Czy można sobie wyobrazić lepszą pomoc niż ta z niebios? Idźcie do katedry, wszyscy jak tutaj stoicie, natychmiast!

– Tak, tak! – dołączył się ojciec Jerome. – Tak właśnie należy uczynić.

Lady Margaret wyglądała na nieco zdezorientowaną.

– Któż pomoże nam lepiej niż święty William – powtórzył ojciec Jerome, rzucając mi szybkie spojrzenie – który sam został zamordowany przez Żydów z Norwich przed stu laty? Tak, idźcie do kościoła i relikwiarza.

– Wszyscy do relikwiarza! – zawołał szeryf.

– Powiadam wam – odezwał się ojciec Antoine – że mamy tutaj drugą świętą i możemy w zgodzie z prawem zażądać od rodziców wydania ubrań zostawionych przez to dziecko. Przy dębie już raz miał miejsce cud. Każda z szat powinna zostać uznana za świętą relikwię. Moim zdaniem powinniśmy wyłamać drzwi, jeśli zajdzie taka potrzeba, i zabrać ubrania.

Tłum ogarnęło szaleństwo. Jeźdźcy szeryfa usiłowali zmusić ludzi, by się rozeszli lub wycofali. Mimo rzuconych przez motłoch szyderstw, ojciec Jerome stał niewzruszony, oparty plecami o drzwi domu, i wykrzykiwał raz po raz:

– Katedra! Święty William! Wszyscy powinniśmy tam pójść!

Ojciec Antoine przepchnął się obok mnie i szeryfa, po czym zaczął walić w drzwi.

Szeryf wpadł we wściekłość. Odwrócił się w stronę wejścia do domu.

– Meirze i Flurio, przygotujcie się. Zamierzam was zabrać pod swoją opiekę, do zamku. Jeśli będzie trzeba, to samo uczynię ze wszystkimi Żydami w Norwich.

Tłum był wyraźnie zawiedziony, ale też zaskoczony. Wielu ludzi wykrzykiwało imię świętego Williama.

– Chwileczkę – wtrącił stary żydowski lekarz. – Jeśli zabierzecie do zamku Meira, Flurię i nas wszystkich, ci ludzie splądrują nasze domy i spalą święte księgi. Proszę, błagam, zabierzcie Flurię, matkę tej nieszczęsnej dziewczynki, a mnie pozwólcie porozmawiać z Meirem. Może moglibyśmy przekazać darowiznę na wasz nowy klasztor, ojcie Antoinie. Żydzi zawsze byli hojni dla Kościoła.

Innymi słowy, proponował łapówkę. Jego słowa podziałały jednak cudownie na wszystkich, którzy je usłyszeli.

– Oczywiście, powinni zapłacić – mruknął ktoś.

Inny dodał:

– Czemu nie?

Nowina wędrowała z ust do ust, obiegając zgromadzony tłum.

Ojciec Jerome krzyknął, że stanie teraz na czele procesji do katedry, a wszyscy, którym drogi jest los ich nieśmiertelnych dusz, powinni za nim podążać.

– Ci, co mają pochodnie i świece, niech pójdą przodem, by oświetlać nam drogę.

Ludzie szeryfa zbliżyli się do cizby na tyle blisko, że pojawiła się obawa, iż konie stratują ludzi. Ojciec Jerome oddalił się, by uformować procesję.

Wielu podążyło za nim, a inni, pośród pomruków niezadowolenia, zaczęli się rozchodzić.

Jednak lady Margaret nie ruszyła się ani na krok. Zmierzyła starego doktora surowym wzrokiem.

– Myślicie, że jest bez winy? – zapytała, patrząc mu prosto w oczy.

Odwróciła się do szeryfa, zmieniając wyraz twarzy na bardziej serdeczny.

– Czyż nie przyznał się do udziału w tym wszystkim? Naprawdę sądzicie, że Meir i Fluria są dość sprytni, by spreparować truciznę bez jego pomocy?

Ponownie zwróciła się do starca.

– Darujesz mi długi, by i mnie przeciągnąć na swoją stronę?

– O pani, gdyby to miało ukoić twoje serce i uczynić je bardziej podatnym na prawdę – powiedział doktor – wówczas umorzyłbym twoje długi, z powodu wszystkich trosk i kłopotów, jakich

przysporzyła ci ta sytuacja.

Lady Margaret niechętnie zamilkła. Starła się nie okazać radości, jaką w niej wzbudziły te słowa.

Tłum mocno się przerzedził, kolejni ludzie dołączali do procesji. Szeryf wezwał gestem dwóch spośród swoich ludzi.

– Zawieźcie Izaaka, syna Salomona, bezpiecznie do domu – powiedział.

– A ty i cała reszta jedźcie za księżmi do katedry i módlcie się.

– Żaden z nich nie jest bez winy – upierała się lady Margaret, tym razem nie podnosząc głosu, jakby nie zależało jej na uwadze maruderów, którzy wciąż wałęsali się w pobliżu. – Popełnili niezliczoną ilość grzechów i uczą się czarnej magii ze swych ksiąg, które uważają za ważniejsze od Pisma Świętego.

Ja tylko litowałam się nad tym dzieckiem. Żałuję, że zaciągnęłam dług u ludzi, którzy je zamordowali.

Starzec oddalił się w eskorcie rycerzy, którzy zabrali się do rozpędzania ostatnich maruderów. Widziałem, że wielu z nich dołączyło do oświetlonej lampionami procesji.

Wyciągnąłem dłoń w stronę lady Margaret.

– Pani – powiedziałem. – Proszę pozwolić, bym wszedł do środka i porozmawiał z nimi. Jestem nietutejszy, nie stoję po żadnej ze stron konfliktu.

Chcę się tylko przekonać, czy uda mi się ustalić prawdę. Proszę mi zaufać: tę sprawę można rozstrzygnąć w spokoju.

W jej spojrzeniu dostrzegłem coś na kształt czułości. Skinęła głową, wyraźnie znużona, i razem z córką dołączyła do procesji, zmierzającej w kierunku relikwiarza świętego Williama. Ktoś wręczył jej płonąca świecę.

Przyjęła ją z podziękowaniem, nie zatrzymując się.

Jeźdźcy rozpędzili ostatnich awanturników. Pozostali tylko dominikanie. Przyglądali mi się, jakbym był zdrajcą lub, co gorsza, oszustem.

– Proszę o wybaczenie, ojczu Antoinie – powiedziałem. – Jeśli znajdę dowody winy tych ludzi, przyjdę z nimi do ciebie.

Zakonnik wyglądał na zaskoczonego moimi słowami.

– Wam, uczonym w księgach, wydaje się, że wszystko wiecie –

powiedział. – Ja też studiowałem, chociaż nie w Bolonii czy Paryżu, jak tobie pewnie było dane. Potrafię rozpoznać grzech, gdy mam go przed oczami.

– W to nie wątpię i obiecuję złożyć ci, ojczy, pełne sprawozdanie –

odparłem.

W końcu odwrócił się i odszedł, zabierając z sobą pozostałych dominikanów. Zniknęli w ciemnościach.

Pod drzwiami kamiennego domu zostaliśmy ostatecznie ja i szeryf, w otoczeniu zbyt licznej kompanii jeźdźców.

W czasie zamieszek przez cały czas z nieba spływały płatki śniegu.

Dopiero gdy tłum się rozproszył, dostrzegłem czysty, biały puch i uzmysłowiłem sobie, że przemarzłem na kość.

Konie, na których siedzieli ludzie szeryfa, były niespokojne, uwięzione w ciasnej przestrzeni. Nadciągali kolejni jeźdźcy. Niektórzy mieli w rękach lampiony. Słyszałem tętent kopyt dobiegający z sąsiednich ulic. Nie miałem pojęcia, jak duża była dzielnica żydowska. Dopiero teraz spostrzegłem, że wszystkie okna w tej części miasta były ciemne, z wyjątkiem tych należących do Meira i Flurii.

Szeryf zastukał do drzwi.

– Meirze i Flurio, otwórzcie nam – rozkazał. – Pójdziecie ze mną, dla własnego bezpieczeństwa.

Odwrócił się do mnie i powiedział przyciszonym głosem:

– Jeśli będzie trzeba, zabiorę ich wszystkich i otoczę opieką, dopóki to szaleństwo się nie skończy. W przeciwnym razie mieszkańcy gotowi są spalić całe Norwich, byle tylko wypłenić Żydów.

Pochyliłem się w kierunku ciężkich drewnianych drzwi i przemówiłem łagodnym, lecz mocnym głosem:

– Meirze i Flurio, czeka tu na was pomoc. Jestem zakonnikiem, który wierzy w waszą niewinność. Proszę, wpuście nas do środka.

Szeryf spojrział na mnie zdziwiony, a jednak natychmiast usłyszeliśmy trzask podnoszonego rygła i drzwi stanęły przed nami otworem.

ROZDZIAŁ 7

MEIR I FLURIA

W smudze jasnego światła ukazał się wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z głęboko osadzonymi oczami wyzierającymi z trupio bladej twarzy. Miał na sobie szatę z brązowego, wzorzystego jedwabiu, z charakterystycznym żółtym znakiem. Skóra jego twarzy była tak napięta, że wysokie kości policzkowe sprawiały wrażenie wypolerowanych.

– Na jakiś czas mamy spokój – powiedział szeryf. – Wpuść nas i zaczniście się przygotowywać z żoną do opuszczenia domu.

Mężczyzna zniknął, a my weszliśmy do środka. Wspiąłem się z szeryfem po wąskich, rzęsiście oświetlonych, przykrytych dywanem schodach, które zaprowadziły nas do pięknego pokoju. Przed wielkim kominkiem siedziała we wdzięcznej pozie elegancka kobieta.

W cieniu chowały się dwie służące.

Na podłodze leżały kosztowne tureckie dywany. Ściany przykrywały tapety w skromne geometryczne wzory. Najpiękniejszą ozdobę pokoju stanowiła gospodyni tego domu.

Była młodsza od lady Margaret. Biała chusta całkowicie zakrywała jej włosy, tworząc zachwycającą oprawę dla oliwkowej skóry i ciemnobrązowych oczu. Miała na sobie ciemnoróżową szatę z bogato zdobionymi rękawami, a pod nią tunikę, która była chyba tkana złotą nicią. Na nogach miała ciężkie buty. Z oparcia krzesła zwisała jej peleryna. Kobieta była gotowa do drogi.

Jedną ze ścian zasłaniał regał pełen oprawionych w skórę woluminów.

Obok stało wielkie biurko założone zapisanymi zwojami pergaminu przypominającymi księgi rachunkowe. Kilka ciemno oprawionych tomów odłożono na bok. Na innej ścianie wisiało coś, co przypominało mapę.

Oświetlenie było zbyt słabe, by stwierdzić to z całkowitą pewnością.

Pomieszczenie było bardzo przestronne, z dużym kominkiem i rozstawionymi gdzieniegdzie krzesłami wykonanymi z ciemnego bogato rzeźbionego drewna, przykrytymi poduszkami. W cieniu kryło się też kilka ławek, ustawionych w równe rzędy – pokój pełnił chyba czasami funkcję sali lekcyjnej.

Na nasz widok kobieta natychmiast się podniosła, sięgnęła po wiszącą na oparciu krzesła pelerynę i odezwała się łagodnym, spokojnym głosem:

– Czy przed wyjściem mogę pana poczęstować grzany winem, mości szeryfie?

Całej tej sytuacji bezradnie przyglądał się młody człowiek. Sprawiał

wrażenie, jakby nie wiedział, co robić, był tym bardzo zawstydzony. Miał

doskonale piękną twarz, smukłe dłonie oraz łagodne, nieco senne spojrzenie.

Wyglądał na przybitego, na kogoś, kto stracił wszelką nadzieję. Wiele bym dał, by móc podnieść go na duchu.

– Wiem, co trzeba zrobić – ciągnęła kobieta. – Zabierzcie mnie do zamku dla mojego bezpieczeństwa.

Przypominała mi kogoś, ale nie wiedziałem kogo. Nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać.

Tymczasem kobieta mówiła dalej:

– Rozmawialiśmy ze starszymi, przełożonym synagogi, Izaakiem i jego synami. Wszyscy jesteśmy zgodni: Meir napisze do naszych krewnych w Paryżu, oni zaś prześlą nam list od córki, który potwierdzi, że nie umarła...

– To nie wystarczy – przerwał jej szeryf. – Pozostawienie tutaj Meira jest zbyt ryzykowne.

– Dlaczegoż to? – zdziwiła się. – Wszyscy wiedzą, że Meir nie opuści Norwich beze mnie.

– To prawda – zreflektował się szeryf. – Niech tak będzie.

– Przekażemy również tysiąc złotych monet zakonowi dominikanów.

Szeryf uniósł w górę ręce, lecz skinął głową bez słowa.

– Pozwólcie mi tu zostać – cicho odezwał się Meir. – Muszę napisać listy i omówić szczegóły z resztą wspólnoty.

– Narażasz się na niebezpieczeństwo – odparł szeryf. – Im szybciej uda się wam zebrać pieniądze, choćby z pomocą innych Żydów, tym lepiej. Sprawy zaszły jednak tak daleko, że mogą one nie wystarczyć. Powiadam wam: poślijcie po swoją córkę i sprowadźcie ją do domu.

Meir potrząsnął przecząco głową.

– Nie chcę jej narażać na kolejną podróż przy tej pogodzie – powiedział, lecz jego głos zadrżał.

Wiedziałem, że kłamie i bardzo się tego wstydzi.

– Proponujemy tysiąc złotych monet i umorzenie długów, które u nas zaciągnięto. W przeciwieństwie do moich żydowskich braci, nie mam talentu do lichwy – dodał. – Jestem uczonym, o czym pan i pańscy synowie doskonale wiedzą, mości szeryfie. Mogę jednak porozmawiać z innymi i na pewno uda nam się ustalić odpowiednią kwotę...

– Pewnie tak – zgodził się szeryf. – Zanim podejmę się waszej dalszej ochrony, muszę was prosić o jedno. Gdzie trzymacie swoją świętą księgę?

Meir, mimo swej jasnej cery, zbladł jeszcze bardziej. Niepewnie zbliżył

się do biurka i podniósł z niego duży, oprawiony w skórę wolumin, na którego okładce widniał wytłoczony złotymi literami hebrajski napis.

– Tora – szepnął, spoglądając smutno na szeryfa.

– Połóż na niej dłoń i przysięgnij, że jesteś niewinny i że stawiane wam zarzuty są fałszywe.

Mężczyzna wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. Otworzył szeroko oczy, jakby chciał się obudzić z

sennego koszmaru. To jednak nie był sen. Z całych sił pragnąłem mu pomóc, cóż jednak mogłem zrobić? „Malachiaszu, ulituj się nad nim”.

Z trudem przytrzymując ciężką księgę lewą ręką, Meir położył na niej prawą dłoń i przemówił niskim, drżącym głosem:

– Przysięgam, że nigdy w życiu nie skrzywdziłem żadnej ludzkiej istoty i nigdy nie skrzywdziłbym córki Flurii Lei. Przysięgam, że nie uczyniłem jej nic złego, a tylko troszczyłem się o nią z miłością i czułością, jakie przystoją ojczymowi i że... nie ma jej wśród nas.

Spojrzał na szeryfa.

Szeryf wiedział już, że dziewczynka nie żyje. Mimo to po chwili milczenia skinął głową.

– Chodźmy, Flurio – powiedział, po czym zwrócił się do Meira. –

Zadbam o jej bezpieczeństwo i wszelkie wygody. Dopilnuję też, by moi ludzie rozpowiedzieli co trzeba wśród mieszkańców Norwich, a sam porozmawiam z dominikanami. Ty też mógłbyś to zrobić! – rzucił w moim kierunku i znów zwrócił się do Meira: – Zbierz pieniądze najszybciej, jak się da. Umórz tyle długów, ile zdołasz. To będzie sporo kosztować waszą wspólnotę, ale nie powinno jej zrujnować.

Fluria zeszła po schodach w asyście służących, a szeryf podążył za nimi.

Usłyszałem, jak ktoś rygluje za nimi drzwi.

Mężczyzna spojrzał na mnie przygaszonym wzrokiem.

– Dlaczego chcesz mi pomóc? – zapytał.

Wyglądał na kompletnie przybitego i złamanego życiem.

– Bo modliłeś się o pomoc – odparłem. – Tak się składa, że to ja jestem odpowiedzią na twoje modlitwy.

– Kpisz ze mnie, bracie?

– Nie śmiałbym – zaprzeczyłem. – Powiedz mi jednak prawdę. Czy ta dziewczynka, Lea, nie żyje?

Przez dłuższą chwilę przyglądał mi się w milczeniu, później wysunął

krzesło zza biurka. Usiadłem naprzeciw niego.

– Nie mam pojęcia, skąd przybywasz – powiedział zduszonym głosem –

ani dlaczego ci ufam. Obaj wiemy, że to twoi bracia, dominikanie, winni są naszych prześladowań. Zaślepia ich pragnienie ogłoszenia nowego świętego.

Jakby nie wystarczył duch świętego Williama, który po wsze czasy będzie nawiedzał Norwich.

– Znam historię świętego Williama – wtrąciłem. – Słyszałem ją wielokrotnie. Dziecko ukrzyżowane przez Żydów w święto Paschy. Stek bzdur.

I jeszcze te relikwie, żeby przyciągnąć pielgrzymów do miasteczka.

– Nie wypowiadaj się w ten sposób poza ścianami tego domu – ostrzegł

mnie Meir. – Inaczej rozedrą cię na strzępy.

– Nie jestem tu po to, żeby się z nimi kłócić, lecz żeby pomóc ci rozwiązać twój problem. Opowiedz mi, co się stało i dlaczego nie uciekliście z miasteczka.

– Ucieczka? – zdziwił się. – Gdybyśmy to zrobili, automatycznie uznano by nas za winnych i ruszono za nami w pogoń, a szaleństwo rozprzestrzeniłoby się daleko poza Norwich. Ściągnęlibyśmy kłopoty na Żydów, którzy udzieliliby nam schronienia. Możesz mi wierzyć, że w tym kraju bunt w Oksfordzie może stać się zarzewiem zamieszek w Londynie.

– Tak, na pewno masz rację. A zatem co się stało?

Jego oczy napęłniły się łzami.

– Umarła – wyszeptał. – Z powodu niedrożności jelit. Przed śmiercią ból zelżał, jak to się często zdarza. Była spokojna. Jej skóra była chłodna w dotyku, ponieważ okładaliśmy ją zimnymi kompresami. W chwili odwiedzin lady Margaret i Nell wydawało się, że gorączka spadła. Wczesnym rankiem umarła w ramionach Flurii, a później... Nie mogę ci wyznać wszystkiego.

– Czy pochowaliście ją pod wielkim dębem?

– Oczywiście, że nie – oburzył się. – Ci pijacy wcale nas nie widzieli. Nie było żadnych świadków. Niosłem ją na rękach, przyciśniętą do piersi tak czule, jak oblubieniec mógłby nieść pannę młodą. Godzinami szliśmy przez las, aż wreszcie dotarliśmy do brzegu strumienia. Tam złożyliśmy ją w płytkim dołku, owiniętą tylko w prześcieradło, i modliliśmy się razem, przykrywając jej grób kamieniami. Nic więcej nie mogliśmy dla niej zrobić.

– Czy znacie kogoś w Paryżu, kto mógłby napisać wiarygodny list?

Spojrzał na mnie zaskoczony. Przez chwilę zastanawiał się, jak to możliwe, że dominikanin tak łatwo zgadza się na udział w oszustwie.

– Na pewno jest tam społeczność żydowska...

– O tak – przyznał. – Dopiero co przyjechaliśmy z Paryża, wszyscy troje, po tym jak wuj zostawił mi w spadku ten dom i pieniądze, które pożyczli od niego mieszkańcy Norwich. Tak, w Paryżu mieszka społeczność żydowska, a także pewien dominikanin, który mógłby nam pomóc. Nie mam na myśli fałszowania listu potwierdzającego, że dziewczynka żyje. Jako przyjaciel rodziny mógłby jednak

zaświadczyć na naszą korzyść.

– Niewykluczone, że to wystarczy. Czy ten dominikanin jest uczonym?

– I to wybitnym. Kształcił się u najlepszych francuskich profesorów. Jest doktorem prawa i studentem teologii, na dodatek bardzo nam wdzięcznym za wyświadczenie mu pewnej niecodziennej przysługi.
– Nagle urwał. – A co jeśli nie mam racji? Co jeśli się mylę, a on odwróci się od nas? Bóg jeden wie, że miałby ku temu doskonały powód.

– Czy mógłbyś mi to wyjaśnić?

– Niestety nie.

– Skąd zatem będziesz wiedział, czy ten człowiek zachowa się wobec was jak przyjaciel czy jak wróg?

– Fluria by wiedziała. Potrafiłaby podjąć właściwą decyzję i umiałaby najlepiej ci to wszystko wytłumaczyć. Gdyby Fluria uznała, że powinienem napisać do tego człowieka...

Po raz kolejny zamilkł. Nie miał ani krzty pewności siebie i nie potrafił

samodzielnie podjąć najprostszej decyzji.

– Nie mogę do niego napisać. Sam pomysł, by to zrobić, jest szalony. A jeśli tu przyjedzie i potwierdzi wszystkie oskarżenia?

– Co to za człowiek? – spróbowałem raz jeszcze. – Co was z nim łączy?

– Już o to pytałeś – westchnął.

– A gdybym to ja tam pojechał i z nim porozmawiał? Ile czasu trwa podróż z Norwich do Paryża? Jak myślisz, czy uda ci się zebrać dość złota? A gdybyś obiecał ludziom, że wrócę z większą kwotą pieniędzy? Opowiedz mi o tym człowieku. Dlaczego sądzisz, że mógłby wam pomóc?

Przygryzł wargę niemal do krwi i odchylił się na krześle.

– Bez Flurii – wymamrotał – nie mogę się na to zdobyć, choć ten człowiek mógłby ocalić nas wszystkich. O ile ktokolwiek może tego dokonać.

– Czy masz na myśli rodzinę dziewczynki ze strony ojca? – zapytałem. –

Może jej dziadka? Czy to w nim upatrujesz nadziei na zdobycie złota? W swojej przysiędze wspomniałeś, że byłeś ojczymem Lei.

Lekceważąco machnął ręką.

– Mam wielu przyjaciół. Pieniądze nie stanowią problemu. Mogę zgromadzić całą kwotę bez wyjeżdżania z Anglii. Wzmianka o Paryżu miała nam pozwolić zyskać na czasie. Twierdziliśmy, że Lea tam pojechała, więc tylko list z Paryża mógłby dowieść prawdziwości naszych słów. To wszystko kłamstwa. Kłamstwa! – Spuścił głowę. – Ale ten człowiek... – Ponownie zamilkł.

– Meirze, ten doktor prawa może się okazać naszym wybawcą. Musisz mi zaufać. Jeśli ten potężny dominikanin tu przyjedzie, może przemówić do rozsądku swoim braciom i powstrzymać ich od walki o nowego świętego. To przecież oni dolewają oliwy do ognia i wzniecają konflikt. Ktoś tak wyedukowany jak ten człowiek na pewno to zrozumie. Paryż to całkiem co innego niż Norwich.

Twarz Meira wyrażała bezgraniczny smutek. Nie mógł mówić, wyraźnie rozdarty.

– Przez całe życie byłem zwykłym nauczycielem – westchnął. – Nie ma we mnie krztyny sprytu. Nie potrafię przewidzieć, jak zachowa się ten człowiek. Potrafię zebrać tysiąc sztuk złota, ale on... Gdyby tylko Fluria była z nami.

– Pozwól, bym porozmawiał z twoją żoną – poprosił. – Napisz do szeryfa, że zgadzasz się, bym się z nią spotkał w cztery oczy. Na pewno wpuszczą mnie do zamku. Szeryf zdążył sobie wyrobić o mnie dobrą opinię.

– Czy zachowasz dla siebie wszystko, co ci powie, każdy zdradzony sekret i zadane przez nią pytanie?

– Wasze tajemnice będą bezpieczne jak na spowiedzi, choć nie jestem księdzem. Meirze, musisz mi zaufać. Przybyłem tu wyłącznie z powodu ciebie i Flurii.

Jego twarz rozciągnęła się w przepelnionym gorczą uśmiechu.

– Modliłem się, by Pan zesłał mi anioła – powiedział. – Pisałem wiersze i nie ustawałem w modlitwie. Błagałem Boga, by pomógł mi pokonać mych wrogów. Ależ ze mnie poeta i marzyciel.

– Poeta – powtórzyłem w zamyśleniu, uśmiechając się do niego.

Zachowywał się dystyngowanie, tak jak wcześniej jego żona. Siedział na krześle prosty jak struna, w sposób, który wzbudzał we mnie czułość. A teraz użył tego pięknego słowa w odniesieniu do siebie i był tym wyraźnie skrępowany. Tymczasem ludzie na zewnątrz spiskowali przeciw niemu, pragnąc jego śmierci. Byłem tego pewien.

– Jesteś poetą i wielce pobożnym człowiekiem – odparłem. – Modliłeś się z wiarą, czyż nie?

Skinął głową, spoglądając na swoje książki.

– I złożyłem przysięgę na świętą księgę.

– Powiedziałeś prawdę.

Widziałem jednak, że dalsza rozmowa z nim do niczego nas nie zaprowadzi.

– Tak, i szeryf o tym wie.

Był już na krawędzi załamania.

– Meirze, nie mamy czasu na roztrząsanie tych kwestii – rzekłem. –

Napisz do niego list. Nie jestem ani poetą, ani marzycielem, ale mogę spróbować być boskim posłańcem. A zatem do dzieła.

ROZDZIAŁ 8

LUDZKA NIEDOLA

Przeczytałem wystarczająco dużo książek na temat średniowiecza, by wiedzieć, że ówczesni ludzie nie opuszczali domów w środku nocy, szczególnie podczas śnieżycy, lecz spotkanie z Flurią było zbyt ważne, by czekać do rana.

Meir napisał dwa listy. W pierwszym tłumaczył kapitanowi straży, z którym był na ty, i szeryfowi, że powinni mnie natychmiast zaprowadzić do jego żony.

W drugim zaś, przeznaczonym dla Flurii, zachęcał ją do szczerzej rozmowy ze mną.

W drodze do zamku musiałem pokonać strome wzniesienie. Ku mojemu rozczarowaniu, Malachiasz powiedział mi tylko, że doskonale radzę sobie z misją. Nie udzielił mi żadnych informacji ani rad. Gdy wreszcie wpuszczono mnie do komnaty Flurii, byłem zziębnięty, mokry i kompletnie wykończony.

To, co zobaczyłem, natychmiast przywróciło mi siły. Okazały pokój znajdował się w najpilniej strzeżonej wieży zamku i choć było więcej niż pewne, że Fluria nie zwracała uwagi na jego wystrój, oniemiałem na widok gobelinów pokrywających kamienne ściany i kobierców leżących na podłodze.

Pokój rozświetlał łagodny blask płynący z kominka i okazałej liczby świec umieszczonych w wysokich, żelaznych pięcio- i sześćo-ramiennych kandelabrach.

Flurii przydzielono tylko jedną komnatę, musieliśmy więc usiąść w cieniu jej ogromnego, osłoniętego ciężkimi kotarami łoża. Naprzeciwko nas płonął ogień w kominku z kamiennym paleniskiem, a dym uciekał przez znajdujące się w dachu okno.

Oprócz łoża pod szkarłatnym baldachimem w pokoju były jeszcze rzeźbione po mistrzowsku krzesła i niewielki stolik, przy którym mogliśmy porozmawiać. Fluria usiadła przy stole i gestem wskazała mi stojące naprzeciw niej krzesło.

W pokoju było ciepło, niemal gorąco, za przyzwoleniem damy zdjąłem więc buty i postawiłem je przy kominku, aby wyschły. Zaproponowała mi grzane wino, tak samo jak wcześniej szeryfowi, nie wiedziałem jednak, czy wolno mi było pić wino, gdyby przyszła mi na to ochota. Prawdę mówiąc, wcale jej nie miałem.

Fluria przeczytała napisany po hebrajsku list, w którym Meir prosił ją, by mi zaufała i nie wahała się powierzyć mi ich sekretów. Szybkim ruchem złożyła na pół sztywny pergamin, a następnie schowała go pod leżącą na stole oprawioną w skórę książkę, o wiele mniejszą niż te, które zostawiła w domu.

Miała na sobie tę samą co wcześniej, szczelnie przykrywającą włosy chustę, zdjęła jednak z twarzy woal i ściśle przylegającą do ciała jedwabną tunikę, zastępując ją grubą wełnianą szatą. Na ramiona zarzuciła obszytą futrem pelerynę z kapturem. Przytwierdzony do złotego diademu woal zwisał jej z pleców. Po raz kolejny poczułem, że przypomina mi kogoś, kogo wcześniej znałem, lecz nie miałem czasu, by się nad tym głębiej zastanowić.

– Czy przysięgasz zachować pełną dyskrecję, tak jak zapewnia w liście mój mąż?

– Tak, oczywiście. Nie jestem księdzem, tylko zakonnikiem, lecz obiecuję zachować tajemnicę niczym spowiednik w konfesjonale. Zapewniam cię, że przybyłem tu, by wam pomóc. Proszę, myśl o mnie jak o odpowiedzi na wasze modlitwy.

– Tak właśnie opisał cię mój mąż – powiedziała, patrząc na mnie w zadumie. – Cieszę się, że nam cię zesłano. Czy wiesz, jak wiele wycierpiał

przez wieki nasz lud tutaj, w Anglii?

– Przybywam z daleka, ale coś na ten temat słyszałem – odparłem.

Ubieranie myśli w słowa przychodziło Flurii z większą łatwością niż jej mężowi. Po chwili zastanowienia kontynuowała:

– Gdy miałam osiem lat, wszyscy Żydzi w Londynie zostali zabrani do Tower, dla ich własnego bezpieczeństwa, w związku z zamieszkami, jakie wybuchły po ślubie monarchy z królową Eleanorą. Mieszkałam wtedy w Paryżu, lecz wieści dotarły i tam. Mieliśmy wtedy własne problemy. Dwa lata później, w sobotę, gdy wszyscy londyńscy Żydzi pogrążeni byli w modlitwie, motłoch odebrał im święte księgi, w tym Talmud, które potem publicznie spalono. Oczywiście nie zabrali nam wszystkich ksiąg, tylko te, które wpadły im w ręce.

Potrząsnąłem głową ze smutkiem.

– Gdy miałam czternaście lat, mój ojciec Eli i ja mieszkaliśmy już wtedy w Oksfordzie, studenci wszczęli zamieszki i splądrowali nasze domy w odwecie za długi, które zaciągnęli u nas na zakup podręczników. Gdyby ktoś...

– głos się jej załamał. Zaczęła mówić dopiero po chwili. – Gdyby ktoś nas wtedy nie ostrzegł, stracilibyśmy jeszcze więcej ksiąg, a może nawet i życie.

Mimo to studenci z Oksfordu po dziś dzień pożyczają od nas pieniądze i wynajmują pokoje w naszych domach.

Zrobiłem współczujący gest i pozwoliłem jej kontynuować opowieść.

– Gdy miałam dwadzieścia jeden lat, Żydom w Anglii zabroniono spożywać mięso w okresach, gdy chrześcijanie nie mogli go jeść, na przykład podczas Wielkiego Postu – westchnęła. – Krzywdzących nas praw i prześladowań było tak wiele, że nie sposób ich wszystkich wymienić. Wreszcie dwa lata temu, w Lincoln, wydarzyła się rzecz najpotworniejsza.

– Masz na myśli świętego małego Hugh. Słyszałem jego imię pośród tłumu. Ta historia również obiała mi się o uszy.

– Wiesz chyba, że wszystkie oskarżenia wobec Żydów są wyssane z palca. Czy wyobrażasz sobie, że moglibyśmy porwać chrześcijańskie dziecko, założyć mu na głowę cierniową koronę i przebić jego dłonie oraz stopy, kpiąc z męki Chrystusa? Czy sądzisz, że Żydzi z całej Anglii zjechaliby się do Lincoln, by wziąć udział w tym szatańskim obrzędzie? A jednak o to właśnie zostaliśmy oskarżeni. Sprawy nie zaszłyby pewnie tak daleko, gdyby nie poddano jednego z żydowskich nieszczęśników bestialskiemu torturom i nie zmuszono go do wskazania współników. Do Lincoln przyjechał król, potępił biednego Copina, który przyznał się do niewyobrażalnych czynów, i skazał go na stryczek po uprzednim włóczeniu końmi przez całe miasto.

Moją twarz wykrzywił grymas bólu.

– Żydów wywożono do Londynu i wsadzano do więzień. Sądono ich i mordowano. A wszystko dlatego, że ktoś wymyślił historyjkę o umęczonym chłopcu, którego chrześcijanie czczą jeszcze bardziej niż świętego Williama, bohatera podobnej bajeczki, wymyślonej wiele lat wcześniej. Przez małego Hugh cała Anglia powstała przeciwko Żydom. Ułożono o nim wiele piosenek.

– Czy na całym świecie nie ma miejsca, w którym moglibyście czuć się bezpieczni? – zapytałem.

– Sama się nad tym zastanawiam – wyznała. – Mieszkałam z ojcem w Paryżu, gdy Meir mi się oświadczył. Norwich wydawało się przyjazne Żydom, od śmierci świętego Williama minęło wiele lat, a Meir odziedziczył tu majątek po swoim wuju.

– Rozumiem.

– W Paryżu także palono nasze święte księgi. A te, które ocalały, oddawano franciszkanom i dominikanom...

Spojrzała na mój habit i urwała.

– Mów dalej – poprosiłem. – Pamiętaj, że całym sercem jestem z tobą.

Wiem, że członkowie obu tych zakonów studiowali Talmud. – Żałowałem, że tak wiele istotnych historycznych faktów umknęło mi z pamięci. – Powiedz, co jeszcze się stało?

– Wiesz, że potężny władca, jego wysokość król Ludwik nienawidzi nas i prześladowuje, konfiskując nasze dobra, aby zdobyć środki na wyprawy krzyżowe.

– Tak – przyznałem. – Krucjaty słono kosztowały Żydów w każdym miasteczku i wsi.

– Jednak w Paryżu nasi uczeni, także ci z mojej rodziny, walczyli o zwrot Talmudu, który nam odebrano. Interweniowali w tej sprawie u samego papieża. Nasza historia to coś więcej niż tylko prześladowania. Mamy wybitnych uczonych i momenty chwały. W Paryżu żydowscy nauczyciele przemawiali w obronie naszych ksiąg oraz zawartej w nich wiedzy i przekonywali chrześcijan, by nie bali się kontaktów z nami. Wszystko na marne. Jak nasi uczeni mają się rozwijać, jeśli odbiera się im księgi? A jednak obecnie wielu ludzi w Oksfordzie i Paryżu chce się uczyć hebrajskiego. Twoi bracia chcą to robić. Mój ojciec zawsze miał wokół siebie chrześcijańskich uczniów... – urwała.

Emocje okazały się zbyt silne. Oparła twarz na dłoni i rozplakała się, na co nie byłem przygotowany.

– Flurio – wtrąciłem szybko, powstrzymując się od dotknięcia jej, co mogłaby uznać za niestosowne.
– Słyszałem o procesach i nękających Żydów troskach. Wiem, że król Ludwik zabronił w Paryżu lichwy i wygnał z miasta wszystkich, którzy nie zastosowali się do jego zakazu. Rozumiem motyw, dla których zaczęliście się parać tą profesją. Wiem również, że trudniących się lichwą, mieszkających w Anglii Żydów uważa się za pożytecznych, bo świadczą pomoc magnaterii i Kościołowi. Nie musisz tłumaczyć przede mną swego ludu. Zamiast tego powiedz mi, jak powinniśmy się zachować w obliczu tragedii, jaka was teraz spotkała?

Fluria przestała płakać, wyjęła z kieszeni jedwabną chusteczkę i osuszyła nią oczy.

– Wybacz mi łyzy. Nigdzie już nie możemy się czuć bezpieczni, nawet w Paryżu, gdzie tylu ludzi uczy się naszego starożytnego języka. Pod pewnymi względami żyje się tam łatwiej, ale Norwich również wydawało się spokojne.

Przynajmniej Meir tak uważał.

– Twój mąż wspomniał coś o mężczyźnie, który mógłby wam pomóc –

powiedziałem. – Jego zdaniem, tylko ty możesz zdecydować, czy powinniście się do niego zwrócić o pomoc. Muszę ci się do czegoś przyznać, Flurio. Wiem, że twoja córka Lea nie żyje.

Z oczu Flurii znowu pociekły łyzy. Odwróciła ode mnie twarz, zasłaniając się chusteczką. Byłem cierpliwy. Siedziałem w milczeniu, wsłuchując się w trzaskanie ognia w kominku, i czekałem, aż Fluria dojdzie do siebie. Wreszcie przemówiłem:

– Wiele lat temu straciłem brata i siostrę. – Zamilkłem. – Nie potrafię sobie jednak wyobrazić cierpienia matki po stracie dziecka – dodałem po chwili.

– Bracie Toby, nie znasz nawet połowy prawdy.

Spojrzała mi w oczy, mocno ściskając jedwabną chusteczkę. Jej oczy były szeroko otwarte i łagodne. Wzięła głęboki oddech.

– Straciłam dwoje dzieci. A jeśli chodzi o tego mężczyznę w Paryżu, to jestem przekonana, że przepłynąłby morze, żeby mnie obronić. Nie potrafię jednak przewidzieć jego reakcji na wieść o śmierci Lei.

– Pozwól mi sobie pomóc w podjęciu tej decyzji. Jeśli każesz mi pojechać do Paryża i odszukać tego człowieka, tak właśnie zrobię.

Przez długą chwilę przyglądała mi się w milczeniu.

– Zaufaj mi – powiedziałem. – Jestem zwykłym wędrowcem, lecz wierzę, że znalazłem się tutaj z woli Pana, żeby wam pomóc. Podejmę każde ryzyko, by was chronić.

W dalszym ciągu zastanawiała się, czy mi zaufać, zresztą słusznie.

Dlaczego miałaby uwierzyć moim słowom?

– Powiedziałaś, że straciłaś dwoje dzieci. Opowiedz mi, co się stało. I o tym człowieku. Żadne z twoich słów nie wyrządzi nikomu krzywdy, a może ci pomóc w podjęciu właściwej decyzji.

– Niech tak będzie – zgodziła się. – Opowiem ci o wszystkim. Być może to pozwoli nam zdecydować, gdyż nie stoimy w obliczu pospolitej ludzkiej tragedii, a to nie jest zwyczajna historia.

ROZDZIAŁ 9

WYZNANIE FLURII

Przed czternastu laty byłem bardzo młoda, porywcza i zbuntowana przeciw swojej wierze oraz wszystkiemu, co teraz jest mi drogie.

Przebywaliśmy wtedy w Oksfordzie, gdzie mój ojciec pracował wraz z kilkoma innymi uczonymi. Często tam jeździliśmy, ponieważ miał w Oksfordzie uczniów, studentów, którzy chcieli się uczyć hebrajskiego i dobrze płacili za lekcje.

Po raz pierwszy od wielu lat uczeni zapragnęli zgłębić starożytny język, a poza tym wiele starych dokumentów ujrzano wtedy światło dzienne. Mój ojciec cieszył się ogromną popularnością jako nauczyciel, cenili go zarówno Żydzi, jak Aryjczycy. Jego zdaniem, nauka hebrajskiego mogła wyjść chrześcijanom na dobre. Dyskutował z nimi na temat wiary, zawsze w przyjaznej atmosferze.

Nie wiedział, że moje młodzińcze serce należało wówczas do mężczyzny, który właśnie kończył studia na Uniwersytecie Oksfordzkim. On miał prawie dwadzieścia jeden lat, ja tylko czternaście. Zapalałam do niego namiętnością tak wielką, że byłam gotowa wyrzec się swojej wiary, ojcowskiej miłości i majątku. Ten młody człowiek również mnie kochał, do tego stopnia, że i on przysiągł odstąpić od swej wiary, jeśli będzie trzeba.

To właśnie on ostrzegł nas i wielu innych Żydów przed zamieszkami, umożliwiając nam ucieczkę. Gdyby nie on, stracilibyśmy o wiele większą część naszej biblioteki i inne bogactwa. Ojciec był do niego bardzo przywiązany, nie tylko z powodu wdzięczności za ostrzeżenie. Cenił go także za otwarty, chłonny umysł i traktował jak syna, którego nie miał. Moja matka zmarła podczas porodu dwóch chłopców, z których żaden nie przeżył.

Mój ukochany miał na imię Godwin. Musisz wiedzieć, że jego ojcem był

wpływowy i bardzo bogaty lord, który wpadł w furję na wieść o tym, że jego syn pokochał Żydówkę i był dla niej gotów poświęcić wszystko.

Godwin był bardzo przywiązany do swojego ojca. Choć nie był

najstarszym synem, ojciec zawsze go faworyzował. Po śmierci wuja, który nie miał własnych dzieci, Godwin odziedziczył majątek we Francji. Spadek dorównywał włościom, które miał otrzymać po ojcu Nigel, starszy brat Godwina.

Ojciec postanowił się zemścić na Godwinie za doznane przez niego rozczarowanie.

Rozdzielił nas i wysłał syna do Rzymu, by tam uczył się pod okiem chrześcijańskiego duchowieństwa. Groził skandalem, jak to nazwał, jeśli nie przysięgnę nigdy więcej nie wypowiadać imienia Godwina, a jego syn nie zgodzi się na to samo i niezwłocznie nie wyjedzie. Tak naprawdę lord obawiał

się hańby, która by go niechybnie okryła, gdyby ktoś dowiedział się o gorącym uczuciu łączącym jego syna i mnie. Nie mówiąc już o tym, że obawiał się wielce, że zdecydujemy się zawrzeć potajemnie małżeństwo. Potrafisz sobie chyba wyobrazić, jak tragiczny w skutkach mógłby się okazać taki krok dla naszej wspólnoty. Zdarzały się co prawda przypadki nawrócenia na naszą wiarę, ale Godwin był synem dumnego i potężnego lorda. Jakież to wywołałoby zamieszki! Przecież rozruchy wszczynano z powodów bardziej błahych niż przejście arystokraty na judaizm, a w tamtych burzliwych czasach byliśmy prześladowani niemal bez przerwy.

Mój ojciec nie wiedział, o co zostałby w takiej sytuacji oskarżony, ale zdawał sobie sprawę z grożącego nam wszystkim niebezpieczeństwa i był

bardzo wzburzony z tego powodu. Nie wyobrażał sobie, bym mogła przejść na inną wiarę, i wkrótce sprawił, że i dla mnie stało się to nie do pomyślenia. Czuł

się zdradzony przez Godwina. Zapraszał go przecież pod swój dach, by uczyć hebrajskiego, dyskutować o filozofii, dzielił się z nim własną wiedzą, a tymczasem Godwin dopuścił się łajdactwa i uwiódł córkę swego mistrza. Mój ojciec miał do mnie słabość, bo byłam dla niego wszystkim, ostrze jego gniewu zostało więc skierowane na Godwina.

Szybko zorientowaliśmy się, że nasza miłość nie ma szans. Każda nasza decyzja stałaby się zarzewiem zamieszek i doprowadziłaby nas do ruiny.

Gdybym przeszła na chrześcijaństwo, ekskomunikowano by mnie i odebrano majątek odziedziczony po matce, a mój ojciec zostałby na stare lata sam, do czego nie mogłam dopuścić. Godwin popadłby w podobną niełaskę, gdyby zmienił wyznanie na żydowskie. Uznaliśmy więc, że jedynym wyjściem jest jego wyjazd do Rzymu.

Jego ojciec nie ukrywał, że ma ambitne plany wobec syna. Widział go w biskupiej mitrze, jeśli nie w kardynalskim kapeluszu. Godwin cieszył się sympatią wpływowych duchownych w Paryżu i Rzymie.

Nie zmieniało to jednak faktu, że zmuszenie go do złożenia ślubów było dlań surową karą, nie wierzył bowiem w żadnego Boga i kochał świeckie życie.

Podczas gdy ja ceniłam Godwina za inteligencję, poczucie humoru i pasję, inni podziwiali go za umiejętność wypicia ogromnej ilości wina podczas jednego wieczoru, talent szermierski, jeździecki i taneczny. Radość życia, która tak bardzo mnie w nim zachwyciła, szła w parze z wybitną elokwencją oraz zamiłowaniem do poezji i muzyki. Napisał wiele utworów na lutnię i częstokroć grywał na tym instrumencie, śpiewając mi piosenki, gdy ojciec poszedł już spać i nas nie słyszał. Wizja życia duchownego była dla Godwina czymś nieznośnym. Wolałby pewnie wziąć krzyż i ruszyć z nim na krucjatę do Ziemi Świętej, bo to wiązało się z przygodami. Na to lord się jednak nie zgodził i korzystając ze swych rozlicznych znajomości, wysłał syna do zakonu o najbardziej surowej regule w Wiecznym Mieście. Zagroził mu też, że jeśli nie przyłoży się do służby, to się go wyrzeknie.

Podczas naszego ostatniego spotkania ustaliliśmy, że nigdy więcej się nie zobaczymy. Godwin twierdził, że życie duchowne to szczyt zakłamania i obłudy. Wyznał, że jego mieszkający w Rzymie wuj, kardynał, utrzymuje dwie kochanki. Gardził też pozostałymi kuzynami za ich rażącą hipokryzję.

– Pełno jest w Rzymie rozpustnych, niegodziwych księży – powiedział –

i marnych biskupów, a ja wkrótce dołączę do ich grona. Przy odrobinie szczęścia pewnego dnia przyłączę się do krzyżowców i będę miał wszystko, z wyjątkiem ciebie, moja ukochana Flurio.

Wiedziałałam, że nie mogę opuścić ojca, i to napełniło moje serce smutkiem. Moja miłość do Godwina była tak mocna, że nie wyobrażałam sobie życia bez niego.

Im usilniej staraliśmy się przekonać siebie nawzajem, że nasz związek nie ma przyszłości, tym większy gniew w nas narastał. Tamtej nocy byliśmy bardzo bliscy decyzji o wspólnej ucieczce, lecz nie czyniliśmy tego. Godwin miał plan. Mogliśmy do siebie pisać. Oczywiście oznaczało to złamanie obietnicy, jaką złożyłam swojemu ojcu, nie wspominając o ślubach Godwina, lecz listy wydały nam się jedynym sposobem, by przynajmniej do pewnego stopnia spełnić wolę naszych ojców. Miały nam pomóc w pogodzeniu się z ich żądaniami.

– Gdyby nie możliwość przelewania naszych uczuć na papier –

powiedział Godwin – nie znalazłbym w sobie dość sił, by cię tu zostawić.

Godwin wyjechał do Rzymu. Ojciec zawarł z nim swego rodzaju rozejm, gdyż nie potrafił zbyt długo złościć się na syna. I tak pewnego dnia, wczesnym rankiem, Godwin zniknął z miasta bez pożegnania.

Mój ojciec, mimo sukcesów na polu nauki, był niemal ślepy, co do pewnego stopnia wpłynęło na moje wykształcenie. Sądzę jednak, że zdobyłabym je, nawet gdyby nie był ułomny.

Wspominam o tym, byś zrozumiał, dlaczego bez trudu ukrywałam przychodzące do mnie listy. W głębi duszy sądziłam, że Godwin szybko o mnie zapomni, wciągnięty w atmosferę rozpusty, której z pewnością się nie oprze.

Pewnego dnia ojciec zaskoczył mnie: oznajmił, że wie o naszych listach i powiedział:

– Nie zabronię ci do niego pisać, lecz obawiam się, że tych listów będzie coraz mniej, a ty będziesz żyć złudną nadzieją.

Oboje się myliliśmy. Godwin pisał do mnie z każdego miasta, w którym zatrzymywał się podczas podróży. Zdarzało mi się otrzymywać dwa listy dziennie, z rąk żydowskich i aryjskich posłańców. Każdą wolną chwilę spędzałam w swoim pokoju, przelewając uczucia na papier. Listy jeszcze umocniły naszą miłość. Staliśmy się zupełnie innymi ludźmi, związanymi z sobą tak mocno, że nikt i nic nie mogło nas rozdzielić.

Wkrótce jednak dosięgło mnie zmartwienie większe, niż mogłam się spodziewać. Po dwóch miesiącach nabrałam pewności i zdecydowałam się podzielić z ojcem nowiną: spodziewałam się dziecka. Inny na jego miejscu wyrzuciłby mnie z domu lub zrobił coś jeszcze gorszego, lecz ojciec kochał

mnie bezgranicznie. Byłam jego jedynym dzieckiem i domyślałam się, że pragnie mieć wnuka, choć nigdy mi tego nie powiedział. Jakże zresztą miała znaczenie płynąca w żyłach dziecka aryjska krew, skoro jego matka była Żydówką? Mój ojciec obmyślił więc plan.

Spakował cały nasz dobytek i pojechaliśmy do niewielkiego miasta w Nadrenii, gdzie mieszkało kilku uczonych, którzy znali mojego ojca, lecz ani jeden nasz krewny. Tam starszy rabin, który podziwiał rozprawę mojego ojca na temat wielkiego żydowskiego nauczyciela Rashiego, zgodził się mnie poślubić i uznać dziecko. Zrobił to zupełnie bezinteresownie, tłumacząc swoją decyzję słowami:

– Widziałem na tym świecie dostatecznie wiele zła. Będę ojcem dla tego dziecka, jeśli taka jest wasza wola, i nigdy nie upomnę się o małżeńską powinność, bo jestem już na to za stary.

Powiliam Godwinowi nie jedno dziecko, lecz bliźnięta: śliczne dziewczynki, podobne do siebie jak dwie krople wody. Nie zawsze potrafiłam stwierdzić, która jest która, i dlatego wiązałam błękitną wstążkę na kostce Rosy, by odróżnić ją od Lei.

Wiem, że najchętniej przerwałbyś w tym miejscu moją opowieść, i domyślam się, o co byś zapytał, ale pozwól mi skończyć, proszę.

Stary rabin umarł, zanim dziewczynki skończyły rok. Ojciec kochał je całym sercem i dziękował Bogu, że pozwolił mu jeszcze zobaczyć ich śliczne twarzyczki, nim zupełnie oślepl. Dopiero po naszym powrocie do Oksfordu wyznał mi, że planował umieścić dzieci u wiekowej matrony w Nadrenii, lecz nie mógł się na to zdobyć z miłości do mnie i swoich wnuczek.

Ani na moment nie przestałam korespondować z Godwinem, jednak ukryłam przed nim fakt narodzin dzieci. Podałam mu mgliste powody naszego wyjazdu do Nadrenii. Wytłumaczyłam, że chodziło o zakup książek trudnych do zdobycia w Anglii i Francji, potrzebnych ojcu do tworzenia traktatów, które mi następnie dyktował. Książki, praca naukowa mego ojca – wyjaśnienie było proste i prawdziwe.

Wróciliśmy do naszego starego domu w Oksfordzie, w parafii St. Aldate, a mój ojciec znowu zaczął uczyć.

Jako że obu stronom zależało na zachowaniu naszego uczucia w sekrecie, nikt nie wiedział o mnie i o Godwinie. Wszyscy zaś wiedzieli, że mój podstarzały mąż zmarł za granicą.

Podczas podróży nie odbierałam listów od Godwina, dlatego po powrocie do domu czekała na mnie cała ich sterta. Czytałam je, gdy opiekunki zajmowały się moimi dziećmi i nie mogłam przestać bić się z myślami, czy powiedzieć Godwinowi prawdę, czy też zachować ją w sekrecie.

Jak zareagowałby na wieść, że jego córki zostaną wychowane na Żydówki? Oczywiście byłam świadoma tego, że w Rzymie, opisywanym przez niego jako gniazdo zepsucia, aż się roilo od dzieci z nieprawego łoża, których ojcami byli tak pogardzani przez Godwina rozpustni duchowni. Prawdę powiedziawszy, nie chciałam mu przysparzać smutku ani wtajemniczać w szczegóły cierpień, jakie sama musiałam znosić. Nasze listy były nieco oderwane od rzeczywistości, pełne poezji oraz najgłębiej skrywanych myśli, i chciałam, by tak zostało. Świat w nich stworzony wydawał mi się czasem bardziej realny niż ten, który mnie otaczał, i nic nie mogło tego zmienić.

I właśnie w chwili, gdy miałam podjąć decyzję, otrzymałam list, który postaram się przytoczyć z pamięci możliwie jak najwierniej. Mam go nawet tutaj, jest głęboko ukryty pośród moich osobistych rzeczy, ale Meir nigdy go nie widział, więc nie mogę go tak po prostu wyjąć i przeczytać. Pozwól, że oddam jego sens własnymi słowami. Sądzę, że i tak będą one identyczne ze słowami Godwina.

Jak zwykle zaczął od opisanego życia w Wiecznym Mieście.

„Gdybym przeszedł na twoją wiarę – pisał – i wiedlibyśmy szczęśliwe, choć biedne życie jako mąż i żona, zyskalibyśmy większe zrozumienie w oczach Boga, zakładając, że On istnieje, niż mieszkający tutaj ludzie, którzy traktują Kościół wyłącznie jako źródło władzy i pieniędzy”.

Później jednak przeszedł do omówienia pewnego dziwnego zdarzenia.

Wyglądało na to, że od jakiegoś czasu regularnie odwiedzał pewien kościółek, w którym siadywał na kamiennej podłodze i oparty plecami o zimną kamienną ścianę urągał Bogu, żaląc się na swój podły los przyszłego księdza lub biskupa, który nie będzie stronił od kobiet i kieliszka.

– Jak mogłeś mnie zesłać do seminarium – pytał – skoro przy jego uczniach moi dawni podpici koledzy z Oksfordu sprawiają wrażenie świętych?

Zgrzytając zębami, nie ustawał w obrażaniu Stwórcy. Powtarzał, że on, Godwin, wcale w Niego nie wierzy i uważa Kościół za instytucję zbudowaną na najbardziej plugawych kłamstwach. Drwił z Wszechmocnego słowami:

– Dlaczego miałbym nosić szaty Twojego Kościoła, skoro gardzę wszystkim, co w nim widzę, i nie mam zamiaru Ci służyć? Dlaczego odebrałeś mi miłość Flurii, jedynej i najczystszej osoby, dla której zabiło moje serce?

Jak słusznie się domyślasz, z trudem przebrnęłam przez opis tych bluźnierstw.

Jednak pewnego wieczoru, kiedy z ust Godwina wylewały się obraźliwe słowa, przepęłnione nienawiścią i gniewem, gdy domagał się od Boga wyjaśnienia, dlaczego odebrał mu miłość nie tylko moją, ale także jego ojca, stanął przed nim młody człowiek i bez żadnych wstępów zaczął do niego przemawiać.

Na początku Godwin sądził, że ma przed sobą szaleńca albo wyjątkowo wysokie dziecko, ponieważ postać miała urodę anioła, które widział na freskach, i mówiła z niespotykaną otwartością. Przeszło mu nawet przez myśl, że jest to kobieta w męskim przebraniu, co było mniej niespotykane, niż mogło mi się wydawać, jak wyjaśnił Godwin. Szybko jednak pojął, że nie patrzy na kobietę, lecz na anioła we własnej postaci. Skąd o tym wiedział?

Otóż przybysz znał modlitwy Godwina i jego najskrytsze, najbardziej destrukcyjne i bolesne myśli.

– Wszędzie wokół – przemówiła anielska istota – widzisz zepsucie.

Wiesz, jak łatwo można awansować w kościelnej hierarchii, studiować księgi dla samego ich studiowania i zaspokoić cielesne żądze. Masz już jedną kochankę, a myślisz o kolejnej. Piszesz listy do ukochanej, której się wyparłeś, niewiele myśląc nad konsekwencjami swego czynu. Uważasz, że wolno ci obarczyć Flurię oraz waszą nieszczęśliwą miłość winą za wszystkie twoje niepowodzenia. Podsycasz w jej sercu pamięć o sobie, nie zastanawiając się, czy jest to dobre dla niej. Czy zamierzasz wieść puste i gorzkie życie samolubnego bluźniercy tylko dlatego, że utraciłeś coś cennego? Czy odrzucisz szansę na odzyskanie honoru i szczęścia, bo los cisnął ci kiedyś kłodę pod nogi?

W tym momencie Godwin pojął własną głupotę. Budował swoje życie na gniewie i nienawiści. Zdumiony trafnością spostrzeżeń przybysza, zapytał:

– Co mogę zrobić?

– Oddaj się Bogu – odparł tamten. – Powierz mu całe swoje serce, duszę i życie. Przechytrz wszystkich: swoich samolubnych kompanów kochających złoto równie mocno jak ty oraz zaślepionego gniewem ojca, który przysłał cię tutaj, byś stracił wiarę w ludzi i własne szczęście. Przechytrz świat, usiłujący sprawić, że będziesz taki sam, jak cała reszta, podczas gdy możesz być wyjątkowy. Bądź dobrym księdzem, dobrym biskupem, a zanim taki się staniesz, oddaj wszystko, co masz, i przywdziej habit pokornego mnicha.

Godwin nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Dobro przyjdzie ci z większą łatwością, jeśli zostaniesz mnichem –

wyjaśnił przybysz. – Wejdz na drogę świętości. Czyż istnieje lepsza?

Oczywiście wybór należy do ciebie i nikt nie może za ciebie podjąć tej decyzji.

Możesz pozostać głuchy na moje słowa i nadal nurzać się w kłamstwie i rozpuście, pełzając od łóżka kochanki do biurka, by napisać do czystej jak łąza, świętej Flurii. Te listy to przecież jedyna dobra

rzecz w twoim życiu.

Co powiedziawszy, dziwna postać odeszła równie niespodziewanie, jak się pojawiła, rozplywając się w kościelnym półmroku. W jednej chwili tam stała, w drugiej już jej nie było. Godwin został sam w zimnym, kamiennym kącie kościółka, wpatrzony w blask migoczących w oddali świateł. Napisał, że zaczęły mu one przypominać wschodzące lub zachodzące słońce, zjawisko odwieczne i jednocześnie ulotne. Był przekonany, że Bóg zesłał mu ten cud, by zrozumiał Jego potęgę, widoczną w akcie stworzenia otaczającego go świata.

– Wstąpię na drogę świętości – przysiągł Godwin. – Dobry Boże, ofiaruję Ci swoje życie, wszystko, czym jestem, kim mogę się stać i czego w przyszłości dokonam. Wyrzeknę się wszystkiego, co do tej pory wiodło mnie ku zgubie.

To właśnie napisał w swoim liście. Jak widzisz, przeczytałam go tak wiele razy, że znam go na pamięć.

Tego samego dnia Godwin zgłosił się do zakonu dominikanów i zapytał, czy mógłby do nich dołączyć. Przyjęto go z otwartymi ramionami.

Dominikanie cieszyli się, że był uczonym i znał hebrajski. Jeszcze bardziej uradowały ich drogocenne kamienie oraz kosztowne materiały, które przekazał na ofiarę dla biednych.

Podążając za przykładem świętego Franciszka, zdarł z siebie drogie szaty, odrzucił wysadzaną złotem laskę oraz buty i przywdział znoszony czarny habit. Zaproponował nawet, że zapomni o swoim wykształceniu i spędzi resztę życia na klęczkach, pogrążony w modlitwie, jeśli taka będzie wola zakonu. Był

gotów pielegnować trędowatych i umierających oraz zrobić wszystko, czego zażąda superior. Ten jednak tylko się roześmiał.

– Godwinie – zwrócił się do niego – kaznodzieja musi być wykształcony, jeśli ma dobrze nauczać zarówno bogatych, jak biednych, a my jesteśmy przecież zakonem braci kaznodziejów. Twoja wiedza jest dla nas skarbem.

Zbyt wielu ludzi pragnie zgłębiać teologię, nie mając pojęcia o żadnej z dziedzin nauki. Ty jednak masz wszelkie podstawy, byśmy mogli cię wysłać na Uniwersytet w Paryżu, gdzie będziesz się kształcił pod okiem naszego mistrza Alberta. Nic nie sprawi nam większej radości niż twoja obecność w paryskim klasztorze połączona ze zgłębianiem dzieł Arystotelesa i twoich współbraci.

Twój bystry umysł zdobywał wiedzę w promieniach boskiego światła.

Godwin miał mi jednak do powiedzenia o wiele więcej. Poddał swoje postępowanie skrupulatnej analizie, czego nigdy wcześniej nie robił.

„Wiesz doskonale, najdroższa Flurio – pisał – że trudno wyobrazić sobie bardziej bezlitosną zemstę na moim ojcu, niżli przystąpienie do zakonu żebraczego. I rzeczywiście, jego reakcja była natychmiastowa. Poprosił swych przyjaciół, by wzięli mnie pod kluczek, a następnie zmuszali do

stosunków z kobietami, dopóki nie wrócą mi zmysły i nie porzucę kaprysu zostania żebrakiem, ubranym w łachmany wędrownym kaznodzieją. Bądź pewna, umiłowana – kontynuował – że nie udało im się wpłynąć na moją decyzję.

Jadę właśnie do Paryża.

Ojciec wyrzekł się mnie. Zostałem bez grosza. Pewnie tak samo by się stało, gdybyśmy się pobrali. Przyjąłem idee świętego ubóstwa głoszone przez Franciszka, którego nasz zakon szanuje równie mocno, jak założyciela naszego zgromadzenia Dominika. Od tej pory zamierzam służyć wyłącznie Bogu i królowi”.

W dalszej części listu oznajmił mi:

„Poprosiłem swoich przełożonych tylko o dwie rzeczy: by pozwolili mi zachować imię Godwin, czy raczej przyjąć je na nowo jako to, którym zwróci się do mnie Pan, gdy będę wstępował do Jego Królestwa, a także bym mógł z tobą korespondować. Przyznaję, że aby zezwolili mi na to drugie, musiałem pokazać im niektóre twoje listy. Podobnie jak ja, zachwycili się ich formą i czystością twych uczuć, które przybrały kształt słów. Obie moje prośby zostały spełnione i oto piszę do ciebie, mej umiłowanej siostry, najdroższego mi i najczystsze spośród boskich stworzeń, jako brat Godwin, bez cienia bezwstydu”.

Byłam zdumiona tym, co przeczytałam, i przemianą, jaka dokonała się w Godwinie. Wkrótce dowiedziałam się, że nie ja jedna. Napisał mi, że jego krewni postawili na nim krzyżyk, widząc w nim albo świętego, albo szaleńca, ale na pewno nie osobę, która mogłaby się im do czegoś przydać.

Poinformowali zatem jego ojca, że Godwin za żadne skarby nie odstąpi od życia w Zakonie Braci Mniejszych.

Dostawałam od niego tyle samo listów, co przedtem. Stanowiły one kronikę jego życia duchowego. Po tym jak na nowo odnalazł wiarę, stał mi się jeszcze bliższy. Czerpiący z życia garściami młodzienc zmienił się w poważnego uczonego, takiego jak mój ojciec. Niespodziewanie dostrzegłam ogromne podobieństwo między nimi.

Godwin pisał o wykładach, na które uczęszczał, ale też o swoim życiu w modlitwie. Poszedł w ślady świętego Dominika, założyciela zakonu, i podobnie jak on, na każdym kroku doświadczał cudownych przejawów Bożej miłości.

Jego listy utraciły swój dawny, potępiający ton. Młody człowiek, który przed laty wyjechał do Rzymu, nie szczędził ostrych słów krytyki ani sobie, ani otaczającemu go światu. Nowy, choć dla mnie wciąż ten sam, Godwin opisywał cuda, które widział wszędzie, gdzie padał jego wzrok.

Jak mogłam powiedzieć temu wspaniałemu, dążącemu do świętości człowiekowi, który pokonał tak długą i krętą drogę, od chwili gdy go pokochałam, że w Anglii mieszkają jego dwie córeczki, wychowywane na wzorowe Żydówki? Co dobrego mogłoby przynieść takie wyznanie? Co podszeptłoby Godwinowi jego płonące gorliwą wiarą serce, choćby nie wiem jak czyste, gdyby dowiedział się, że jego dzieci mieszkają w gminie żydowskiej w Oksfordzie, z dala od nauk

Kościół chrześcijański?

Powiedziałam ci wcześniej, że ojciec nie zabraniał mi pisać listów, myślał bowiem, że ich wymiana szybko się skończy. Kiedy jednak stało się inaczej, wtajemniczyłam go w ich treść, i to z kilku powodów.

Jak już mówiłam, mój ojciec jest uczonym, który nie tylko studiował

komentarz do Talmudu napisany przez Rashiego, ale też przetłumaczył

większą jego część na język francuski, umożliwiając lekturę tym studentom, którzy chcieli zapoznać się z jego treścią, lecz nie znali hebrajskiego. Po tym jak oślepnął, dyktował mi swoje dalsze prace. Jego pragnieniem było przełożenie dzieł wielkiego żydowskiego filozofa Majmonidesa na łacinę lub francuski. Nie byłam zaskoczona, gdy listy Godwina zaczęły krążyć wokół tego tematu. Napisał mi, że jeden z jego profesorów, imieniem Tomasz, czytał

niektóre z prac Majmonidesa po łacinie. Godwin również zapragnął się z nimi zapoznać. Znał hebrajski, był przecież najlepszym uczniem mego ojca. W

końcu zaczęłam dzielić się listami od Godwina z moim ojcem. I tak jego komentarze na temat poglądów Majmonidesa, a nawet teologii chrześcijańskiej, przedostały się do naszej korespondencji.

Mój ojciec nigdy nie posunął się do podyktowania mi listu do Godwina, lecz sądzę, że z biegiem czasu poznał go lepiej, a wreszcie go pokochał i przebaczył temu, którego przez lata oskarżał o zdradę oraz nadużycie jego zaufania. Każdego dnia, gdy już wysłuchałam wykładów mego ojca, spisałam jego przemyślenia lub pomogłam w tym jego studentom, szłam do pokoju i opisywałam wszystko Godwinowi.

Oczywiście nadszedł czas, gdy zadał mi pytanie, dlaczego nie wyszłam za mąż. Odpowiadałam ogólnikami. Pisałam, że opieka nad ojcem pochłania cały mój czas albo że Bóg nie postawił na mej drodze właściwego mężczyzny.

Tymczasem Lea i Rosa wyrosły na śliczne dziewczynki. Teraz jednak musisz dać mi chwilę, bo jeśli nie uронię kilku łez nad losem obu mych córek, nie będę w stanie dokończyć swojej opowieści.

*

W tym momencie zaczęła płakać, a ja wiedziałem, że nie mogę zrobić niczego, by ją pocieszyć. Była mężatką, a na dodatek pobożną Żydówką, nie mogłem jej więc przytulić. To było w tamtych czasach nie do pomyślenia.

Zresztą jako mnich tym bardziej nie miałem prawa do podobnych gestów.

Kiedy jednak nasze spojrzenia się spotkały i dostrzegła w moich oczach łzy, które w równym stopniu były reakcją na historię Flurii, jak na jej osobę, musiała chyba poczuć ukojenie, bo zaczęła mówić dalej.

ROZDZIAŁ 10

FLURIA OPOWIADA DALEJ

Bracie Toby, jeśli kiedykolwiek poznasz mego Godwina, z miejsca cię pokocha. Jeśli bowiem Godwin nie jest świętym człowiekiem, to któż mógłby nim zostać? Bogu Wszechmogącemu niech będą dzięki, że postawił go na mojej drodze, tak jak Meira i ciebie.

Jak już mówiłam, z każdym rokiem dziewczynki rozkwitały, podobnie jak ich miłość do dziadka. Były mu one pociechą w kalectwie ślepoty, i trudno sobie wyobrazić, by dzieci mogły komuś sprawić większą radość.

Wspomnę jeszcze słówkiem o ojcu Godwina, który zmarł, nie przebaczywszy mu wstąpienia do zakonu dominikanów, i w związku z tym zostawił całą fortunę swemu starszemu synowi Nigelowi. Na łożu śmierci starzec wymógł na nim obietnicę, że nigdy więcej nie spotka się ze swym bratem Godwinem. Nigel, człowiek światowy i bystry, niechętnie złożył

przysięgę. Tak przynajmniej napisał mi Godwin. Krótco po śmierci ojca Nigel pojechał do Francji, by odwiedzić ukochanego brata, za którym tęsknił. Przez wszystkie te lata listy Godwina były dla mnie niczym łyk świeżej źródlanej wody, choć nie mogłam z nim dzielić radości płynącej z wychowywania Lei i Rosy. Tajemnica ich narodzin była bezpiecznie ukryta w moim sercu.

Miałam w życiu trzy wielkie przyjemności, trzy pieśni, które napępniały mnie szczęściem. Pierwszą było obcowanie z córkami, drugą pomoc w czytaniu i pisaniu ojcu, który pokładał we mnie największe zaufanie, choć miał

wokół siebie wielu gorliwych studentów, a trzecią – listy od Godwina. Te trzy pieśni rozbrzmiewały niczym chór, który koił, kształtował i ulepszał moją duszę.

Nie potępiaj mnie za to, że trzymałam narodziny córek w sekrecie przed ich ojcem. Miej na uwadze ryzyko, jakie niesło za sobą ujawnienie tej nowiny.

Nawet po tym, jak Nigel i Godwin pogodzili się i zaczęli regularnie do siebie pisać, przeczuwałam, że jeśli moja tajemnica wyjdzie na jaw, tragedia stanie się udziałem nas wszystkich.

Pozwól, że opowiem ci coś jeszcze na temat Godwina i jego nauk. Przed ukończeniem trzydziestu pięciu lat nie mógł co prawda wyklądać teologii, ale regularnie nauczał paryskie tłumy i miał wśród nich wielki posłuch. Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy, jak wtedy. Bezustannie powtarzał, że pragnie, abym również doznała podobnej szczęśliwości, i pytał, dlaczego nie wyszłam za mąż. Pisał, że zimy w Paryżu są tak mroźne jak w Anglii i czasem w klasztorze bardzo marznie. Jednocześnie zapewniał mnie, że nigdy wcześniej nie zaznał podobnej radości, nawet wówczas, gdy miał kieszenie pełne pieniędzy na opał i najlepsze jedzenie. Jedyne, czego pragnął, to dowiedzieć się, czy i mnie los potraktował łaskawie. Czytając te słowa, poczułam na swych barkach ciężar ukrywanej prawdy: mając przy sobie dwie nasze córki, byłam przecież najszczęśliwszą kobietą na świecie.

Stopniowo docierało do mnie, że chcę wyjawic Godwinowi swój sekret.

Pragnęłam, by wiedział o tym, że dwa doskonałe owoce naszej miłości dojrzewały bezpiecznie pod moją opieką i cieszyły ludzkie oczy swą urodą.

Ukrywanie przed nim prawdy było tym boleśniesz, że Godwin z wielką gorliwością poświęcił się studiowaniu hebrajskich pism oraz dyskusjom z uczonymi Żydami. Odwiedzał ich w domach, by się z nimi uczyć, tak jak przed laty, gdy kursował między Londynem a Oksfordem. Godwin stał się teraz jeszcze większym przyjacielem Żydów niż przedtem. Oczywiście pragnął

nawrócić tych, z którymi dyskutował, lecz jednocześnie podziwiał ich światłe umysły, a przede wszystkim pobożność, z jaką żyli. Twierdził, że przebywanie pośród oddanych swej wierze Żydów nauczyło go więcej na temat miłości niż obserwacja niektórych studentów na wydziale teologii.

Wiele razy byłam bliska zdradzenia tajemnicy, lecz zawsze coś mnie powstrzymywało. Po pierwsze, wieść o tym, że zostałam z dziećmi sama, mogła głęboko unieszczęśliwić Godwina. Po drugie, jak każdy aryjski ojciec mógłby się zamartwiać tym, że jego córki wychowywane są na Żydówki, nawet nie przez wzgląd na troskę o ich dusze, ale z lęku przed prześladowaniami i przemocą, na jakie jest narażony nasz lud. Dwa lata temu z Lincoln dotarły do niego informacje na temat świętego Hugh. Nasze listy przepełnione były wówczas strachem o bezpieczeństwo londyńskich Żydów. Oskarżenia pod adresem naszej społeczności w jednej części Anglii mogły zakończyć się wybuchem zamieszek w innej. Nienawiść i kłamstwa potrafią się szerzyć niczym plaga. Te okropne wydarzenia tylko utwierdziły mnie w słuszności dochowania sekretu. Jak postąpiłby Godwin na wieść o tym, że jego córkom grozi niebezpieczeństwo, a może nawet śmierć?

Postanowiłam powiedzieć Godwinowi prawdę dopiero za sprawą Meira.

Meir przychodził do naszego domu w charakterze ucznia mojego ojca, podobnie jak Godwin przed laty. Jak już mówiłam, ślepotą ojca nie powstrzymała napływu nowych studentów. Żydzi powiadają, że Torę nosi się w sercu, a po latach spędzonych na badaniu komentarzy do Talmudu mój ojciec znał ją niemal na pamięć, podobnie jak pisma Rashiego.

Nasz dom odwiedzany był regularnie przez przełożonych oksfordzkich synagog, którzy konsultowali się z moim ojcem w wielu kwestiach. Ojciec pomagał również rozstrzygać spory zarówno między Żydami, jak i jego chrześcijańskimi przyjaciółmi. Ci ostatni prosili go czasem o pomoc finansową. Jako że prawo zabraniało Żydom lichwy, chrześcijanie szukali mniej oficjalnych sposobów pożyczania od nich pieniędzy. Nie chcę się jednak wdawać w szczegóły, nigdy bowiem nie zarządzałam swoim majątkiem.

Wkrótce po tym jak Meir zaczął odwiedzać mego ojca, zajął się moimi finansami, nie poświęcałam więc wiele uwagi dobrom materialnym.

Patrzysz na kosztowne stroje, białą chustę oraz woal, które mam na sobie, i wszystko to, może poza złotym znakiem na piersi, przypominającym o moim pochodzeniu, składa się na obraz bogatej damy, lecz uwierz mi, że rzadko myślę o pieniądzach.

Wiesz doskonale, że pożyczamy pieniądze królowi i jego poddanym. Jak pewnie się domyślasz, znaleziono sposoby, by obejść zakaz lichwy i imię monarchy w dalszym ciągu figuruje na liście

naszych dłużników.

Poświęciwszy życie ojcu i córkom, nie spodziewałam się oświadczeń Meira, choć zauważyłam, że jest on przystojnym wrażliwym mężczyzną o bystrym umyśle. Prosząc ojca o moją rękę, Meir zaznaczył, że nie zamierza go pozbawić mnie i mojej miłości, chce bowiem zaprosić nas wszystkich do zamieszkania z nim w położonym w Norwich domu, który właśnie odziedziczył. Miał tam wielu życzliwych sobie ludzi, przyjaźnił się między innymi z najbogatszymi Żydami w miasteczku, których wspaniałe kamienne domy musiałeś zauważyć.

Mój ojciec był już niemal całkowicie niewidomy. Wiedział, czy jest dzień, czy noc, ale bez pomocy swych łagodnych dłoni nie potrafiłby odróżnić mnie od swoich wnuczek. Wiedziałałam, że kochał nas najbardziej na świecie, lecz jeśli cokolwiek darzył podobnym uczuciem, była to wspólna nauka z Meirem, który nie tylko wnikliwie zgłębiał Torę, Talmud, astrologię, medycynę i pozostałe dziedziny nauki interesujące mego ojca, ale też patrzył na świat oczami poety, dostrzegając piękno we wszystkim, co go otaczało.

Gdyby Godwin urodził się Żydem, byłby bliźniaczym bratem Meira.

Głupstwa opowiadam, Godwin bowiem przypomina huragan, w którym kołuje się niezliczona ilość cech i talentów, o których już wspominałam, podczas gdy Meir jest cichy i poważny. Pod pewnymi względami są do siebie podobni, a jednak zupełnie od siebie różni.

Ojcu od razu spodobał się pomysł mojego małżeństwa z Meirem i naszego wspólnego wyjazdu do Norwich. Słyszał, że tamtejszej ludności żydowskiej żyje się dobrze i spokojnie. Od fałszywych oskarżeń o zamordowanie świętego Williama minęło prawie sto lat. Rzeczywiście, mieszkańcy Norwich czcili jego relikwie i bywali wobec nas nieufni, ale mieliśmy wystarczająco wielu przyjaciół wśród Aryjczyków, by wiedzieć, że stare rany potrafią się zabiżnić, a dawne urazy ulecieć z ludzkiej pamięci.

Czy jednak powinnam budować małżeństwo z Meirem na kłamstwie?

Czy mogłam pozwolić, by od samego początku dzielił nas sekret, że ojciec moich córek żyje? Ojciec uznał, że nie powinniśmy zasięgać niczyjej rady w tak delikatnej kwestii, i postanowił ją rozwiązać sam, w zgodzie z własnym sumieniem.

Jak myślisz, co uczyniłam? Bez wiedzy mego ojca zwróciłam się z prośbą o pomoc do człowieka, którego darzyłam bezgraniczną miłością i zaufaniem, czyli do Godwina. Zapytałam tego, który wśród swoich paryskich braci stał

się żywym przykładem świętości i wybitnym znawcą Bożych nauk. Napisałam list po hebrajsku, jak to często czyniłam, i zawarłam w nim całą historię.

„Twe córki mają piękne ciała, serca i umysły, lecz wierzą, że ich ojciec nie żyje. Poza mną i moim ojcem nikt, nawet Meir, który zaproponował mi małżeństwo, nie zna prawdy. Zwracam się do ciebie teraz, gdy narodziny tych dzieci nie mogą już być przyczyną twego nieszczęścia czy troski, z zapewnieniem, że otaczam je najlepszą możliwą opieką, i z pytaniem: czy powinnam przyjąć

oświadczyły Meira? Czy wolno mi zostać żoną tego człowieka, nie wyjawiając mu przedtem prawdy? Jak mogłabym to zrobić, skoro z jego strony doświadczyłam wyłącznie czułości i dobroci?

A teraz, skoro już poznałeś mój sekret, wyznaj mi, czego w głębi serca pragniesz dla swych dzieci. Wolno ci mnie oskarżyć o zatajenie faktu, że te niepowtarzalne młode kobiety są twoimi córkami. Wolę usłyszeć słowa skargi, nim wyjdę za mąż za tego człowieka.

Muszę przyznać, że z chwilą wyznania ci prawdy spłynęła na mnie ogromna egoistyczna ulga i radość. Czy powinnam powiedzieć o wszystkim córkom, gdy już osiągną odpowiedni wiek? Jak mam teraz postąpić w stosunku do Meira?”

Błagałam go, by nie dał się ponieść emocjom, lecz udzielił mi rozsądnej i nabożnej rady. „Zwracam się do brata Godwina – wyjaśniłam mu – człowieka, który powierzył swoje życie Bogu, ufając, że rozsądek i serce podyktują mu najlepszą odpowiedź”. Wyznałam mu również, że przez cały czas, gdy go zwodziłam, nie byłam pewna, czy go chronię, czy też krzywdzę.

Nie pamiętam dokładnie, co jeszcze zawierał mój list. Być może napisałam o wybitnej inteligencji naszych córek i ich sukcesach w nauce. Na pewno wspomniałam, że Lea jest małomówna, a Rosa zawsze ma coś mądrego i zabawnego do powiedzenia, a także o tym, że Lea gardzi dobrami doczesnymi, podczas gdy Rosa ma wielką słabość do fatalaszków. Napisałam, że Lea jest do mnie bardzo przywiązana, Rosa zaś nudzi się w domu i wykorzystuje każdą okazję, by wytknąć z niego nos. Poinformowałam Godwina, że dostrzegam cechy jego charakteru u obu naszych córek: pobożność i zdyscyplinowanie u Lei oraz niepohamowaną wesołość i poczucie humoru u Rosy. Zapewniłam go, że dziewczynki żyją w dostatku dzięki spadkowi po ich prawnym opiekunie, a w przyszłości odziedziczą majątek również po moim ojcu.

Po wysłaniu listu ogarnął mnie strach, że mogłam rozzłościć lub rozczarować Godwina i na zawsze go stracić. Chociaż nie darzyłam go ani pożądaniem, ani płomiennym uczuciem jak za młodzieńczych lat, wciąż kochałam go całym swoim sercem i to uczucie wkładałam w każdy list.

Jak sądzisz, co się później stało?

*

Prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia, co mogło się stać. Po głowie kołatało mi tyle myśli, że z trudem powstrzymałem się od przerwania Flurii jej opowieści. Mówiła wcześniej o utracie obu córek. Każde jej słowo pęczniało od emocji, które udzieliły się także mnie.

ROZDZIAŁ 11

FLURIA KONTYNUUJE SWOJĄ OPOWIEŚĆ

Po dwóch tygodniach Godwin pojawił się na progu naszego domu w Oksfordzie.

Oczywiście nie był to już ten mężczyzna, którego znałam przed laty. Jego rysy straciły świeżość, a miejsce młodzieńczej lekkomyślności zajęło coś o wiele bardziej promiennego, lecz był to ten sam

człowiek, z którym korespondowałam. Przemawiał łagodnym, spokojnym głosem, przepełnionym jednak rodzajem niemożliwej do ujarznienia pasji. Wpuściłam go do środka i nie mówiąc nic ojcu, poszłam po dziewczynki.

Czułam, że nie mam innego wyboru, jak tylko wyznać im, że ten oto mężczyzna jest ich prawdziwym ojcem. O to też, w czułych i przepełnionych miłością słowach, błagał mnie Godwin.

– Nie uczyniłaś niczego złego, Flurio – powiedział. – Przez lata dźwigałaś na swych barkach ciężar, który powinienem być z tobą dzielić.

Zostawiłem cię samą z dziećmi. Przez długi czas nie poświęciłem córkom ani jednej myśli, choć byłem im to winien. Dlatego teraz pozwól mi się z nimi zobaczyć, błagam cię. Z mojej strony nie musisz się niczego obawiać.

Przyprowadziłam więc dziewczynki, by mogły go poznać. To było niespełna rok temu, miały wówczas trzynaście lat. Kiedy przedstawiałam je Godwinowi, duma i radość napełniły me serce, bo nasze córki były nie tylko piękne, ale też jaśniały wewnętrznym światłem i szczęściem, tak jak ich ojciec.

Drżącym głosem wyznałam, że stojący przed nimi mężczyzna to ich ojciec, brat Godwin, z którym od lat regularnie koresponduję. Wyjaśniłam też, że dowiedział się o ich istnieniu ledwie przed dwoma tygodniami i natychmiast zapragnął je poznać. Lea przeżyła szok, lecz Rosa od razu uśmiechnęła się do Godwina i jak zwykle szczerze oznajmiła, że zawsze domyślała się istnienia sekretu związanego z ich narodzinami i jest szczęśliwa, mogąc wreszcie poznać swojego ojca.

– Matko – rzekła – wszyscy powinniśmy się radować.

Słyszając jej słowa, Godwin zalał się łzami. Podszedł do córek, czule położył dłonie na ich głowach, a później usiadł, wciąż łkając. Nie mógł

oderwać oczu od dziewczynek, a z jego gardła raz po raz wrywał się bezgłośny szloch.

Po jakimś czasie mój ojciec zorientował się, że mamy gościa. Gdy tylko służący donieśli mu, że Godwin dowiedział się prawdy o swoich córkach, a dziewczynki wreszcie poznały ojca, zszedł na dół i zagroził, że zamorduje Godwina gołymi rękami.

– Dziękuj Bogu za moją ślepotę! Leo, Roso, nakazuję wam natychmiast zaprowadzić mnie do tego człowieka.

Dziewczynki nie wiedziały, co robić. Stałam pomiędzy ojcem a Godwinem i błagałam tego pierwszego, by się uspokoił.

– Jak śmiałaś tutaj przyjść!?! – krzyczał mój ojciec. – Tolerowałem twoje listy, a czasem nawet sam do ciebie pisałem. Teraz jednak, gdy pojąłeś ogrom swojej zdrady, jak śmiesz przychodzić do mojego domu!?

Mnie również nie szczędził ostrych słów.

– Powiedziałaś mi o wszystkim bez konsultacji ze mną. A co takiego powiedziałaś Lei i Rosie? Co one tak naprawdę wiedzą?

Rosa od razu spróbowała go uspokoić.

– Dziadku – przemówiła – od zawsze czułyśmy, że z naszymi narodzinami wiąże się jakaś tajemnica. Wiele razy daremnie prosiłyśmy o pokazanie nam pamiątek po człowieku, którego uważałyśmy za ojca, byśmy mogły go sobie przypomnieć. Widziałyśmy, jak wielkie zmieszanie i ból wywołują te prośby u naszej matki. Teraz wiemy już, kim naprawdę jest nasz ojciec, i możemy się tylko z tego cieszyć. To wybitny uczony, dziadku, przez całe życie słyszałyśmy, jak powołujesz się na jego imię.

Rosa próbowała przytulić mego ojca, ale ją odepchnął. Straszny to był

widok. Ojciec wpatrywał się w przestrzeń nie-widzącymi oczami, wsparty na lasce i całkowicie osamotniony wśród ludzi z jego krwi i kości, którzy tak otwarcie mu się przeciwstawili. Zniosłam się płaczem, nie wiedząc, jak mu pomóc.

– Oto córki żydowskiej matki – odezwał się ponownie mój ojciec. – Oto żydowskie kobiety, które pewnego dnia spłodzą żydowskich synów. A ty nie będziesz miał z nimi nic wspólnego, bo wyznają inną wiarę niż twoja. Musisz natychmiast opuścić ten dom. Nie opowiadaj mi historyjek o swojej pobożności i o sławie, jaką cieszysz się w Paryżu. Nasłuchałem się ich wystarczająco dużo. Wiem, kim naprawdę jesteś: zdrajcą. Idź uczyć Aryjczyków, którzy cię wychwalają, boś jest nawróconym grzesznikiem. Ja nie dam się nabrać na twą fałszywą skruchę. Byłbym zaskoczony, dowiedziawszy się, że żyjąc w Paryżu, nie odwiedzasz co noc innej kobiety. Wynoś się stąd natychmiast!

Nie znasz mojego ojca i nie możesz sobie wyobrazić, jakim gniewem zapłonął. Nie potrafię oddać słowami siły gromów, jakie rzucał na Godwina.

Dziewczynki przysłuchiwały się temu, posyłając nam zalęknione spojrzenia. W

pewnym momencie Godwin padł na kolana i zapytał:

– Co innego mogę zrobić, jeśli nie błagać o przebaczenie?

– Podejść do mnie – odparł mój ojciec – na tyle blisko, bym mógł cię wytłuc ze wszystkich sił, jakie mi jeszcze zostały, za krzywdy wyrządzone mojej rodzinie.

Godwin podniósł się z klęczek, skłonił się memu ojcu, posłał mnie oraz naszym córkom pełne czułości i smutku spojrzenie, po czym ruszył w stronę drzwi. Rosa podbiegła do Godwina, zarzuciła mu ręce na szyję i przez dłuższą chwilę trwali w uścisku, o czym jej dziadek nie mógł mieć pojęcia. Lea stała jeszcze przez chwilę, zalana łzami, po czym wybiegła z pokoju.

– Wynoś się z mojego domu! – zagrzmiał mój ojciec, a Godwin usłuchał

go bez słowa sprzeciwu.

Sparaliżował mnie strach o to, co zrobi i dokąd pójdzie Godwin. W tej sytuacji nie miałam innego

wyjścia, jak tylko wyznać Meirowi prawdę.

Meir przyszedł tego samego wieczoru. Był bardzo poruszony. Dotarły do niego pogłoski o kłótni w naszym domu i o dominikaninie, który wyszedł z niego wielce strapiiony. Zamknęłam się z Meirem w gabinecie ojca i opowiedziałam mu całą historię. Zwierzyłam mu się ze swoich lęków dotyczących najbliższej przyszłości. Nie miałam przecież pojęcia, gdzie podziewał się Godwin: wrócił do Paryża, czy może został w Oksfordzie lub pojechał do Londynu? Meir przez długą chwilę przyglądał mi się swoimi łagodnymi, kochającymi oczami. Gdy wreszcie się odezwał, jego słowa zupełnie mnie zaskoczyły:

– Nadobna Flurio – rzekł – zawsze wiedziałem, że twoje córki są owocem młodzieńczej miłości. Czy naprawdę sądziłaś, że ktokolwiek spośród naszej wspólnoty zapomniał o hi storii twego płomiennego uczucia do Godwina i jego konflikcie z twoim ojcem sprzed lat? Nikt o tym nie mówi, ale pamiętają wszyscy. Nie lękaj się więc, że cię opuszczę, albowiem dziś miłuję cię równie mocno jak wczoraj i przedwczoraj. Największym naszym zmartwieniem jest teraz to, jak zachowa się Godwin.

Meir przemawiał do mnie z niezachwianym spokojem.

– Księdza lub zakonnika oskarżonego o posiadanie dzieci z Żydówką mogą czekać bardzo poważne konsekwencje. Wiesz o tym dobrze. Podobne problemy może mieć Żydówka, która przyzna się, że ojcem jej córek jest chrześcijanin. Prawo tego zabrania, a władze ostrzą sobie zęby na majątki tych, którzy ten zakaz złamią. Nie widzę innego rozwiązania, jak tylko dalsze zachowanie wszystkiego w sekrecie.

Musiałam przyznać Meirowi rację. Niewiele się zmieniło od czasu, gdy zakochaliśmy się w sobie z Godwinem, a on został odesłany do Paryża: obu stronom zależało na zachowaniu tajemnicy. Wiedziałam, że moje rozsądne córki doskonale to rozumieją.

Rozmowa z Meirem uspokoiła mnie, tak jak wcześniej lektura listów Godwina. Dzieląc z nim ten moment niespotykanej szczerości i intymności, wyraźniej niż przedtem dostrzegłam łagodność i dobroć Meira.

– Musimy zaczekać na decyzję Godwina – powtórzył. – Widziałem, jak ten mnich opuszcza wasz dom, Flurio. Sprawiał wrażenie skromnego, wrażliwego człowieka. Obserwowałem go, gdyż nie chciałem wchodzić do środka, dopóki nie skończy rozmawiać z twoim ojcem. Widziałem go więc bardzo wyraźnie, gdy wychodził. Miał bladą, zafrasowaną twarz i zdawał się dźwigać ogromny ciężar na swych barkach.

– Teraz i ty go odczuleś, Meirze – wtrąciłam.

– Nie, moje barki są wolne od wszelkiego brzemienia. Mam tylko nadzieję i modłę się o to, by Godwin nie próbował odebrać ci córek, bo to byłaby najgorsza z możliwych tragedii.

– Czy zakonnik mógłby to zrobić? – zapytałam.

W tym momencie rozległo się głośne pukanie do drzwi. To moja ukochana służąca Amelot przyszła

mi powiedzieć, że oto przybył lord Nigel, syn Arthura, ze swym bratem Godwinem i obaj czekają teraz w izbie reprezentacyjnej naszego domu.

Nim zdążyłam wstać i pójść do nich, Meir zbliżył się i ujął moją dłoń.

– Miłuję cię, Flurio, i chcę, byś została moją żoną. Pamiętaj o tym. Od dawna wiedziałem o twoim sekrecie, domyślałem się też, że ojcem twoich córek jest młodszy syn świętej pamięci lorda Arthura. Uwierz, Flurio, że miłość, jaką cię darzę, nie zna granic. Jeśli nie możesz mi teraz dać odpowiedzi na moje oświadczenia, bądź pewna, że zaczekam cierpliwie na twoją decyzję.

Nigdy wcześniej ani ja, ani mój ojciec nie słyszeliśmy z ust Meira takiego potoku słów. Napęłniły mnie one otuchą, czułam jednak także paniczny strach przed czekającą mnie rozmową.

Wybacz mi łzy, których nie potrafię opanować. Wybacz, że nie mogę przestać opłakiwać Lei, gdy wspominam tamte wydarzenia. Wybacz, że szlocham nad losem Rosy.

Usłysz, o Panie, moją modlitwę,

przyjm moje błaganie

w wierności swojej, wysłuchaj mnie w swej sprawiedliwości!

Nie pozrywaj na sąd swojego sługi,

bo nikt żyjący nie jest sprawiedliwy przed Tobą.

Znasz ten psalm równie dobrze jak ja. Stale go recytuję, to moja modlitwa.

Poszłam przywitać młodego lorda, który odziedziczył tytuł po swym ojcu. Swego czasu Nigel również był studentem mego ojca. Na jego twarzy malowało się strapienie, ale nie gniew. Kiedy spojrzałam na Godwina, po raz kolejny zaskoczyła mnie jego łagodność i otaczająca go aura spokoju, jakby był

obecny ciałem, lecz duchem przebywał w innym świecie. Obaj bracia przywitali mnie z szacunkiem podobnym temu, jaki pewnie okazaliby Aryjce.

Zaprosiłam ich, by usiedli i napili się wina. Z drżącym sercem zastanawiałam się, co mogła oznaczać obecność młodego lorda.

Do pokoju wszedł mój ojciec i zapytał, kto przyszedł do jego domu.

Poprosiłam służącą, by poszła po Meira, a następnie drżącym głosem wyjaśniłam ojcu, że odwiedzili nas lord Nigel i jego młodszy brat Godwin, których poczęstowałam winem. Gdy tylko dołączył do nas Meir, poprosiłam wszystkich służących, również tych towarzyszących lordowi, by zostawili nas samych.

– A zatem, Godwinie – rzekłam – czemu zawdzięczamy twoją ponowną wizytę?

Ze wszystkich sił starałam się nie rozplakać.

Czy gdyby mieszkańcy Oksfordu wiedzieli, że wychowywaliśmy dwoje aryjskich dzieci jak Żydów, skrzywdziliby nas? Czy istniało prawo, które pozwalało skazać nas za to na śmierć? Nie znałam odpowiedzi na żadne z tych pytań. Istniało wiele praw wymierzonych przeciw Żydom, lecz nasze córki oficjalnie nie były dziećmi chrześcijanina. Czy Godwin zdecydowałby się zhańbić swój mni habit ujawnieniem informacji o swoim ojcostwie? To niemożliwe, by uwielbiany przez studentów profesor dopuścił do czegoś podobnego.

Nie mogłam jednak zapominać o potędzie lorda, jednego z najbogatszych ludzi w królestwie, zdolnemu się przeciwstawić nie tylko arcybiskupowi Canterbury, lecz także królowi. Nigel, gdyby chciał, mógł ukryć najpotworniejszą nawet zbrodnię.

Pochłonięta tymi myślami, starałam się nie patrzeć w stronę Godwina, którego darzyłam najczystszym i najbardziej wzniosłym z uczuć. Zmartwiona twarz jego brata napełniała mnie lękiem i bólem. Poczułam, że znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Mój wzrok padł na szachownicę z ustawionymi na niej dwiema figurami: żadną z nich nie można było wykonać dobrego ruchu.

Nie oceniaj mnie surowo za rozważania, jakim oddałam się w tak trudnym położeniu. Ani na moment nie przestałam czuć się winna wszystkiemu, co nas do niego zaprowadziło. Odkąd cichy, zadumany Meir poprosił mnie o rękę, również jego miałam na sumieniu. A jednak myśli kłębiły mi się w głowie, jakbym rozwiązywała zadanie logiczne. Jeśli nasz sekret się wyda, moja rodzina będzie zgubiona. Jeśli Godwin upomni się o córki, sam okryje się hańbą. A jeśli dzieci zostaną mi odebrane i uwięzione w lordowskim zamku? Ta ewentualność napawała mnie chyba największym przerażeniem. Moje wieloletnie milczenie było przyczyną, dla której się tu znaleźliśmy. Oto dotarliśmy do miejsca, w którym szachowe figury stanęły naprzeciw siebie, w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie całej partii.

Mój ojciec stał nieruchomo, choć podsunięto mu krzesło. Nagle poprosił

Meira, by wziął lampę i oświetlił twarze obu gości. Wiedziałam, że Meir wolałby tego nie robić, i dlatego sama zdecydowałam się spełnić prośbę ojca, poprosiwszy wcześniej Nigela o zgodę. Ten skinął głową i niewzruszenie wpatrywał się przed siebie, ponad płomieniem lampy.

Z gardła mego ojca wyrwało się westchnienie. W końcu poprosił o krzesło, usiadł i oparł dłonie na lasce.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś – powiedział. – Gardzę tobą. Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Godwin wstał z krzesła i zaczął się zbliżać do mego ojca. Ten, słysząc kroki, podniósł laskę, jakby zamierzał go nią odepchnąć. Wtedy Godwin zatrzymał się na środku pokoju. Nie mogłam na to patrzeć. Nagle Godwin, kaznodzieja, który swoim głosem porywał tłumy na paryskich placach i w salach wykładowych, zaczął przemawiać po francusku, który to język znał

doskonale, podobnie jak mój ojciec i ja.

– Dostrzegłem oto – powiedział – owoce mego grzechu i samolubstwa.

Zrozumiałem, że bezmyślne działania, jakich się dopuściłem, spowodowały cierpienie wielu osób. Ujrzałem ludzi, którzy godnie i wyrozumiale znieśli konsekwencje mych błędów.

Słowa Godwina głęboko mnie poruszyły, lecz ojciec nie krył zniecierpliwienia.

– Spróbuj tknąć moje wnuczki, a dosięgnie cię karząca ręka sprawiedliwości. Nie zapominaj, że służymy królowi, nie masz więc do nich żadnych praw.

– Pamiętam o tym – rzekł Godwin z pokorą. – Nie zrobię niczego bez twej zgody, mistrzu Eh. Nie przyszedłem do waszego domu, rościć sobie prawa do czegokolwiek, lecz żeby cię o coś poprosić.

– O co miałbyś mnie prosić? – zdziwił się mój ojciec. – Uważaj lepiej, bom gotów zatłuc cię swoją laską.

– Ojczy, błagam – odezwałam się, prosząc, by zamilknął i posłuchał.

Godwin ze spokojem zniósł kolejną zniewagę i wreszcie wyjawiał powód swej wizyty:

– Czyż nie mamy dwóch pięknych córek? – zapytał. – Czyż Bóg nie zesłał nam dwojga dzieci przez wzgląd na odmienne wyznania ich rodziców?

Spójrz na dar, jakim obdarzył mnie i Flurię. Ja, który nigdy nie spodziewałem się zaznać miłości dziecka, cieszę się nią w dwojnasób. Fluria żyje otoczona szacunkiem i ma przy sobie potomstwo, które przecież okrutny los mógł jej odebrać. Flurio, błagam cię, byś mi oddała jedną z córek. Mistrzu Eli, błagam cię, pozwól mi zabrać jedną z nich z tego domu. Zawiozę ją do Paryża i zapewnię odpowiednią edukację. Pozwólcie mi ją wychować w wierze chrześcijańskiej, otoczoną miłością oddanego ojca i stryja. Druga z nich zostanie na zawsze przy tobie, Flurio. Dokonaj wyboru, a ja go zaakceptuję, bo sama wiesz najlepiej, którą z twoich córek bardziej uszczęśliwi wyjazd do Paryża i nowe życie, a która jest bardziej nieśmiała lub mocniej przywiązana do swej matki. Nie wątpię, że obie miłują cię bezgranicznie, lecz postaraj się zrozumieć, jak trudno jest zaakceptować mnie, chrześcijaninowi, sytuację, w której moje dzieci wychowywane są w innej wierze i nie podążają drogą wybraną przez ich ojca, związaną z ciągłą służbą Jezusowi Chrystusowi myślą, mową i uczynkiem. Jak mógłbym wrócić do Paryża, nie błagając cię o to, byś zwróciła mi jedną z mych córek? Pozwól mi ją wychować na chrześcijankę.

Podzielmy między siebie owoc naszego upadku i szczęście uosabiane przez nasze dwie nadobne córki.

Mój ojciec wpadł w furję. Zerwał się na równe nogi, ściskając mocno laskę.

– Zhańbiłeś moją córkę – krzyknął – a teraz masz czelność prosić o rozdzielanie jej dzieci!? Za kogo się uważasz!? Za króla Salomona? Gdybym nie stracił wzroku, zamordowałbym cię z zimną krwią i nic by mnie od tego nie powstrzymało. Zabiłbym cię gołymi rękami, a potem zakopał nieopodal tego

domu, by twoi chrześcijańscy braciszczowie trzymali się od niego z dala.

Dziękuj swojemu Bogu za to, żeś ślepy, stary i chory, bo tylko to powstrzymuje mnie od wyrwania ci serca z piersi. Rozkazuję ci opuścić ten dom i nigdy więcej nie wracać, bo nie masz tu czego szukać. Nasze drzwi już na zawsze pozostaną przed tobą zamknięte. Pozwól też, że przypomnę ci o jednej bardzo ważnej rzeczy: w świetle prawa dzieci są nasze. Jak zamierzasz udowodnić, że jesteś ich ojcem? Czy nie pomyślałeś o skandalu i hańbie, jaką na siebie sprowadzisz, jeśli nie zachowasz milczenia i nie zrezygnujesz ze swojej zuchwałej i okrutnej prośby?

Usiłowałam powstrzymać ojca, lecz mnie odepchnął. Wymachiwał laską, wodząc po pokoju swymi niewidzącymi oczami w poszukiwaniu Godwina.

Lord nie posiadał się z żalu, lecz nic nie mogło dorównać wyrazowi bezbrzeżnego smutku, jaki odmalował się na twarzy Godwina. Nie wiem, jak na tę kłótnię zareagował Meir, ponieważ całą uwagę skupiałam na ojcu. Kiedy w końcu udało mi się go objąć, zaczęłam go uspokajać i prosić, by dał się wypowiedzieć naszym gościom.

Śmiertelnie bałam się ich reakcji, szczególnie Nigela, który, gdyby tylko zechciał, mógł mi odebrać obie córki, a mnie i mojego ojca surowo ukarać.

Miał dość pieniędzy oraz ludzi, by porwać moje dzieci, uwięzić je w zamku z dala od Londynu i nie pozwolić mi ich nigdy więcej zobaczyć. Na twarzach obu mężczyzn dostrzegłam jednak łagodność. Godwin ponownie zaniósł się szlochem.

– Tak mi przykro, że sprawiłem ci ból – zwrócił się do mego ojca.

– Sprawileś mi ogromny ból, ty psie! – odparł tamten. Z trudem sięgnął

po krzesło i ponownie usiadł, trzęsąc się jak w febrze. – Wiele lat temu zgrzeszyłeś przeciw temu domowi. Teraz robisz to ponownie. Wynoś się stąd!

Idź precz!

W chwili gdy emocje sięgnęły zenitu, do pokoju weszła Rosa i poprosiła dziadka, by powstrzymał się od dalszych słów.

Widzisz, nawet bliźnięta jednojajowe różnią się tym, co mają w głowach i sercach. Jak ci już mówiłam, jedno z nich może być bardziej bezpośrednie i odważniejsze niż drugie. Tak właśnie było z moimi córkami. Lea zawsze zachowywała się jak młodsza siostra Rosy. Zwykle to Rosa decydowała, co będą robić, a czego nie. Pod tym względem przypominała w równym stopniu mnie, jak Godwina. Była też podobna do mojego ojca, którego słowa zawsze miały ogromną siłę przekonywania. Rosa przemówiła z równą siłą. Łagodnie, lecz stanowczo oznajmiła mi, że pragnie wyjechać do Paryża ze swoim ojcem.

Godwin i Nigel byli głęboko poruszeni tymi słowami. Ojciec, któremu odebrało mowę, skłonił głowę w geście bezradności. Rosa zbliżyła się do dziadka, przytuliła go i ucałowała. On jednak siedział z zamkniętymi oczami, rzucił laską o ziemię i zacisnął pięści, ignorując czuły gest wnuczki,

jakby nie chciał czuć jej dotyku.

– Dziadku – rzekła Rosa – dobrze wiesz, że Lea nie zniesie rozłąki z matką i będzie się bała jechać w miejsce takie jak Paryż. Nawet wyprawa do Norwich z mamą i Meirem napawa ją strachem. To ja powinnam wyjechać z bratem Godwinem. Jestem przekonana, że dostrzegasz roztropność takiego rozwiązania. Tylko w ten sposób wszyscy odzyskamy spokój.

Później Rosa zwróciła się do Godwina, który przyglądał się jej wzrokiem tak czułym i kochającym, że ledwie mogłam znieść ten widok.

– Wiedziałam, że brat Godwin jest moim ojcem, zanim w ogóle go poznałam. Byłam pewna, że zawdzięczam życie właśnie temu paryskiemu zakonnikowi, z którym moja matka tak gorliwie koresponduje. W

przeciwieństwie do mnie, Lea niczego nie podejrzewała, a jedyne, czego pragnie, to być z matką i Meirem. W swoich działaniach Lea kieruje się nie tym, co widzi, lecz tym, co czuje.

Następnie Rosa zbliżyła się do mnie, objęła mnie ramieniem i przemówiła łagodnie:

– Chcę jechać do Paryża.

Zmarszczywszy brwi, zastanawiała się, jak najlepiej ubrać myśli w słowa, lecz w końcu wyznała wprost:

– Matko, chcę być z człowiekiem, który jest moim ojcem – po czym dodała, nie spuszczając wzroku z mojej twarzy: – Ten mężczyzna różni się od zwykłych ludzi, przypomina tych u progu świętości.

Miała na myśli Żydów, którzy podporządkowali swoje życie Bogu i tak ściśle przestrzegali Tory i Talmudu, że nazywaliśmy ich chasydami.

Mój ojciec westchnął i wznosił oczy ku niebu. Widziałam, że jego wargi poruszają się w modlitwie. Skłoniwszy głowę, wstał i podszedł do ściany, a potem odwrócił się do nas plecami i modlił się, kołysząc się w przód i w tył.

Twarz Godwina, podobnie jak jego brata, promieniała radością. Nigel przemówił niskim, poważnym głosem. Obiecał dopilnować, by Rosie niczego nie zabrakło, i zapewnić jej edukację w najlepszym paryskim klasztorze.

Napisał już w tej sprawie list do zakonnic. Podeszedł do Rosy, ucałował ją i rzekł:

– Sprawiałaś swemu ojcu ogromną radość.

Godwin sprawiał wrażenie pogrążonego w modlitwie. W pewnym momencie wypowiedział przyciszonym głosem następujące słowa:

– Panie Boże, ofiarowałaś mi najcenniejszy skarb. Obiecuję, że nigdy nie przestanę chronić tego dziecka i zapewnię mu życie pełne błogosławieństw.

Spraw, Panie, by jego życie obfitowało w duchowe łaski.

Słyszac słowa obu braci, mój ojciec wpadł w szal. Nigel był lordem, posiadał niejedną ziemską majątek i był przyzwyczajony do okazywanego mu posłuszeństwa. Przez myśl mu nie przeszło, że poczynione przez niego kroki tak bardzo rozżłoszczą starca. Widząc, co się święci, Godwin ponownie padł

przed ojcem na kolana. Zrobił to tak naturalnie, jakby ten gest nie był niczym niezwykłym. Cóż to był za widok: ubrany na czarno mnich, na klęczkach błagający mego ojca o przebaczenie i zapewniający, że otoczy Rosę miłością i opieką. Przez długą chwilę ojciec wydawał się niewzruszony. Wreszcie jednak ciężko westchnął, po czym poprosił wszystkich o ciszę, gdyż i Rosa, i dumny, lecz wrażliwy Nigel dołączyli się do błagań Godwina o sprawiedliwość.

– Gdzież ta sprawiedliwość, o którą prosicie? – przemówił mój ojciec. –

Czy waszym zdaniem sprawiedliwe jest, by Żydówka została ochrzczona i przyjęła nową wiarę? Wolałbym widzieć ją martwą, niż dopuścić do czegoś takiego.

Rosa odważnie podeszła do niego i wzięła jego dłonie w swoje.

– Dziadku – powiedziała – przyszedł czas, byś to ty wykazał się Salomonową mądrością. Zrozum, że Lea i ja możemy zostać rozdzielone, bo każda z nas jest osobnym bytem i mamy dwoje rodziców, matkę i ojca.

– Sama podjęłaś tę decyzję – odparł gniewnie.

Nigdy nie słyszałam, by przemawiał z podobną goryczą i złością, nawet wtedy, gdy przed laty wyznałam mu, że jestem przy nadziei.

– Dla mnie jesteś martwa – mówił dalej. – Wynoś się razem ze swoim szalonym, opętanym ojcem, diabłem wcielonym, który podstępem zaskarbił

sobie moje zaufanie, słuchał moich opowieści, legend i wskazówek, przez cały czas zastanawiając

się, jak zbałamucić twoją matkę. Możesz iść, dla mnie i tak już nie żyjesz. Czas rozpocząć żałobę. A teraz opuść mój dom razem z lordem, który przyszedł tu, by wykraść dziecko spod opieki matki i dziadka.

Bez trudu trafił do wyjścia i opuścił pokój, trzaskając drzwiami. W

tamtej chwili wydawało mi się, że moje serce zaraz pęknie i nigdy już nie zaznam spokoju, szczęścia ani miłości. Wtedy jednak wydarzyło się coś, co uderzyło mnie bardziej niż którekolwiek z wypowiedzianych wcześniej słów.

Oto Godwin wstał i obrócił się w stronę Rosy, a ta padła mu w ramiona.

Kurczowo przyłgnęła do swego ojca, obsypała go gradem dziecięcych pocałunków, położyła mu głowę na ramieniu, a on przymknął oczy i zapłakał.

W swojej córce dostrzegłam siebie sprzed lat, owładniętą miłością do Godwina. Tylko że teraz w jego ramionach ujrzałam naszą córkę, którą darzył

najczystszy z uczuć. Zrozumiałam, że nie mogę i nie powinnam stawać im na drodze.

Jesteś pierwszą osobą, której to wyznaję, bracie Toby, ale poczułam wówczas ulgę. W skrytości ducha pożegnałam się z Rosą, potwierdziłam swoją miłość do Godwina i zajęłam miejsce u boku Meira.

Znasz już całą historię. Jak sądzisz, postąpiłam słusznie czy też popełniłam błąd?

Oto jedyny Bóg zabrał mi Leę, dziecko, które zostało przy mnie, moją wierną, oddaną i kochającą córkę. Uśmiercił ją, podczas gdy mieszkający w Oksfordzie ojciec nie odzywa się do mnie i oplakuje Rosę, która przecież żyje.

Czy Bóg uczynił to, by ukarać mnie za tamtą decyzję?

Mój ojciec na pewno słyszał o śmierci Lei i o tym, co przeżywamy w Norwich, o tym, że całe miasteczko oskarża nas o jej zamordowanie i pragnie naszej śmierci. Na pewno zdaje sobie sprawę z tego, że nienawiść naszych aryjskich sąsiadów raz jeszcze może obrócić się przeciwko wszystkim Żydom.

Sądzę, że Bóg karze mnie w ten sposób za to, że oddałam Rosę pod opiekę lorda i wysłałam ją do Paryża razem z nim i Godwinem. Nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia. A mój ojciec, mój ojciec od tamtej pory nie odezwał się do mnie słowem i nie uczynił tego nawet teraz.

Tamtego wieczoru chciał opuścić swój dom i zrobiłby to, gdyby Meir natychmiast mnie stamtąd nie zabrał, a Rosa nie wyjechała tej samej nocy.

Lea, moja ukochana Lea, nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej siostra ucieka do Paryża, a dziadek siedzi cichy i niewzruszony jak głaz, odmawiając rozmowy nawet z nią.

A teraz moje najdroższe dziecko, przywiezione do tego obcego miasta, kochane przez każdego, kto tylko je zobaczył, umarło na niezbyt jelit, na co bezsilnie patrzyliśmy, a mnie samą Bóg umieścił tutaj, uwięzioną do chwili gdy ludność Norwiche powstanie i zgładzi wszystkich Żydów.

Jestem ciekawa, czy mój ojciec gorzko się teraz śmieje, wiedząc, jak tragiczny czeka nas los.

ROZDZIAŁ 12

ZAKOŃCZENIE HISTORII FLURII

Gdy Fluria skończyła opowiadać, jej twarz zalewały łzy. Po raz kolejny miałem ochotę ją objąć, lecz wiedziałem, że nie byłby to gest ani właściwy, ani dobrze przyjęty. Powtórzyłem szeptem, że nie potrafię wyobrazić sobie jej bólu po stracie Lei i mogę tylko złożyć cichy hołd jej matczynemu sercu.

– Nie wierzę w to, że Bóg mógłby komuś zabrać dziecko za karę –

dodałem. – Cóż jednak wiem o ścieżkach Pana? Posyłając Rosę do Paryża, zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne. Lea zaś zmarła z powodu choroby, na którą mogło zapaść każde dziecko.

Kiedy to usłyszała, uspokoiła się nieco. Była zmęczona i niewykluczone, że wyczerpanie również pomogło jej dojść do siebie. Wstała od stołu, podeszła do okna i zaczęła przyglądać się sypiącemu śniegowi.

Stałem za jej plecami.

– Przed nami wiele decyzji, Flurio, ale najważniejsza jest ta: jeśli pojedę do Paryża i namówię Rosę, by przyjechała tu i udawała Leę...

– Myślisz, że taki pomysł nie przyszedł mi do głowy? – zapytała i odwróciła się w moją stronę. – To zbyt niebezpieczne – ciągnęła – a Godwin nigdy się nie zgodzi na oszustwo. Czy istnieje jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla tak podłego występku?

– Czyż to nie Jakub zwiódł Izaaka? – zapytałem. – A następnie stał się ojcem ludu Izraela?

– Tak, to prawda, a Rosa odznacza się sprytem i jest doskonałym mówcą. Nie, to jednak zbyt niebezpieczne. Co jeśli Rosa nie będzie potrafiła odpowiedzieć na pytania lady Margaret albo nie rozpozna w małej Eleanor swojej bliskiej przyjaciółki? Nie, to się nigdy nie uda.

– Rosa może odmówić rozmowy z tymi, którzy cię lżyli – odparłem. –

Każdy to zrozumie. Wystarczy, że tu przyjedzie.

Fluria najwyraźniej o tym nie pomyślała. Zaczęła krążyć po pokoju, załamując ręce. Przez całe życie słyszałem to wyrażenie: „załamywać ręce”, ale po raz pierwszy widziałem, by ktoś to robił.

Nagle uderzyła mnie myśl, że znam tę kobietę lepiej niż kogokolwiek innego. Było to dziwne i mrozące krew w żyłach wrażenie, które oczywiście nie zmniejszyło siły moich uczuć do Flurii, lecz

sprawiło, że nie mogłem znieść świadomości tego, kim sam się stałem.

– Załóżmy, że uda nam się sprowadzić Rosę do Norwich – odezwałem się. – Powiedz mi, ilu spośród tutejszych Żydów wie, że jesteś matką bliźniaczek? Ilu zna twego ojca i ciebie z czasów, gdy mieszkałaś w Oksfordzie?

– Wielu, lecz żaden nie piśnie o tym ani słowa – zapewniła. – Pamiętaj, że dla mego ludu dziecko, które zmieniło wiarę, jest jak martwe i nikt nie wspomina więcej jego imienia. My sami nie opowiadaliśmy o Rosie po przyjeździe tutaj. Nikt też nie pytał nas o nią. Mogę śmiało stwierdzić, że jej historia to najpilniej strzeżony sekret w naszej gminie żydowskiej.

Nie przestawała mówić, jakby sama musiała sobie poukładać to wszystko w głowie.

– Zgodnie z prawem, Rosa mogłaby stracić cały należny jej majątek, dziedziczony po ojczymie, tylko dlatego że zmieniła wiarę. Tak, w Norwich mieszkają Żydzi, którzy o wszystkim wiedzą, ale oni potrafią zachować milczenie, zresztą nasz doktor i starsi mogą tego dopilnować.

– A co z twoim ojcem? Napisałaś do niego, że Lea nie żyje?

– Nie, a gdybym nawet to zrobiła, spaliłby list, nie otworzywszy go.

Zapowiedział, że tak właśnie uczyni, jeśli kiedykolwiek do niego napiszę. Meir zaś, w swym smutku i udręce, obwinia się o chorobę Lei, bo to on sprowadził

nas do Norwich. Wmówił sobie, że gdybyśmy zostały w Oksfordzie, nie zapadłaby na nią. On także nie napisał do mego ojca, co oczywiście nie oznacza, że ten o niczym nie wie. W Norwich mieszka zbyt wielu jego przyjaciół, by pozwolili mu żyć w nieświadomości.

Fluria zapłakała.

– Mój ojciec uzna to, co się stało, za karę boską – szepnęła przez łzy. –

Jestem o tym przekonana.

– Co zatem mam zrobić? – zapytałem.

Nie byłem pewien, czy uda nam się dojść do porozumienia, a mieliśmy coraz mniej czasu. Fluria była jednak rozsądną kobietą.

– Jedź do Godwina – powiedziała i jej twarz złagodniała, gdy wymówiła jego imię. – Poproś go, by przyjechał do Norwich i uspokoił dominikanów.

Niech zapewni ich o naszej niewinności. Godwin cieszy się ogromnym szacunkiem swoich braci. Studiował z Tomaszem i Albertem, zanim wyjechali do Włoch, by nauczać wiernych i studentów. Jego rozprawy na temat Majmonidesa i Arystotelesa są znane nawet tutaj. Godwin na pewno zgodzi się przyjechać, jestem tego pewna, gdyż... gdyż Lea była jego córką.

Łzy ponownie zaczęły płynąć po policzkach Flurii. W blasku świec, na tle śniegu za oknem, wyglądała tak krucho, że serce mi się krajało. Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę płynące z oddali, niesione wiatrem głosy i tajemnicze dźwięki. Skoro jednak Fluria nie zwróciła na nie uwagi, milczałem. Gdybym tylko mógł wziąć ją w ramiona i przytulić jak siostrę.

– Być może Godwin zdecyduje się ujawnić zakonnikom całą prawdę i zakończy tę sprawę raz na zawsze – dodała. – Wtedy zrozumieją, że nie zabiliśmy naszej córki. On jeden może zaświadczyć o czystości moich intencji i duszy.

Ta myśl wlała nadzieję w serce Flurii. W moje również.

– Jakże cudownie byłoby się pozbyć brzemienia tego okropnego kłamstwa – powiedziała. – Kiedy my tu rozmawiamy, Meir pisze listy do przyjaciół z prośbą o pomoc finansową. Długi mieszkańców Norwich zostaną umorzone. Oddałabym wszystko, co mam, byle tylko uciec wraz z Meirem z tego przekłętego miejsca. Gdybym tylko miała pewność, że nie sprowadzę w ten sposób nieszczęścia na tutejszych Żydów, którzy tyle już wycierpieli!

– Ucieczka byłaby niewątpliwie najlepszym rozwiązaniem –

przyznałem. – Oszustwo niesie z sobą śmiertelne ryzyko. Nawet twoi żydowscy przyjaciele mogą przypadkiem powiedzieć lub zrobić coś, przez co wszystko się wyda. A co, jeśli mieszkańcy Norwich nie zechcą pogodzić się z prawdą, choćby płynęła ona z ust Godwina? Wówczas będzie już za późno, by uciec się do oszustwa z Rosą. Stracimy tę szansę bezpowrotnie.

Ponownie do moich uszu dotarły niepokojące dźwięki, jedne wyraźne, inne tłumione przez padający śnieg.

– Bracie Toby – odezwała się Fluria – jedź do Paryża i wyłóż Godwinowi całą sprawę. Opowiedz o wszystkim i pozwól mu podjąć decyzję.

– Tak właśnie zrobię, Flurio – powiedziałem, lecz moją uwagę wciąż rozpraszały dziwne hałasy i dobiegający z oddali dźwięk dzwonu.

Poprosiłem ją gestem, by dopuściła mnie do okna. Posłusznie się odsunęła.

– Biją na alarm! – zawołała Fluria z przerażeniem.

– Miejmy nadzieję, że nie – próbowałem ją uspokoić.

Ponownie usłyszeliśmy dźwięk dzwonu.

– Czyżby palili żydowskie domy? – głos uwiązał Flurii w gardle.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi do komnaty otworzyły się i stanął w nich uzbrojony szeryf, z włosami mokrymi od śniegu. Odsunął się na bok, przepuszczając dwóch służących, którzy wtaszczyli do środka kilka kufrów.

Tuż za nimi pojawił się Meir. Nie spuszczać oczu z żony, zsunął z głowy ośnieżony kaptur peleryny. Fluria padła mu w ramiona.

Grobowy nastrój szeryfa nie był dla nikogo zaskoczeniem.

– Bracie Toby – przemówił – twoja rada, by mieszkańcy poszli się pomodlić do świętego Williama, dała zaskakujący rezultat.

Tłum splądrował dom Meira i Flurii, szukając relikwii Lei, i opuścił go ze wszystkimi jej ubraniami. Najdroższa Flurio, byłoby rozsądniej, gdybyś je spakowała i przyniosła tutaj. – Westchnął i powiódł spojrzeniem po komnacie, jakby potrzebował czegoś, o co mógłby uderzyć pięścią. – Krążą już plotki o cudach dokonanych przez twoją córkę. Poczucie winy lady Margaret kazało jej poprowadzić tę małą krucjatę.

– Dlaczego tego nie przewidziałem! – wykrzyknąłem żałośnie. –

Myślałem tylko o tym, by przegnać ich spod domu.

Meir jeszcze mocniej objął Flurię, jakby mógł ją w ten sposób uchronić przed złymi nowinami. Na jego twarzy malował się wyraz rezygnacji.

Szeryf zczekał, aż służący wyjdą i zamkną za sobą drzwi, po czym zwrócił się do małżonków:

– Straż pilnuje bezpieczeństwa Żydów. W mieście zdarzyło się już kilka wypadków podłożenia ognia. Bogu niech będą dzięki za wasze kamienne domostwa, za wysłane przez Meira listy z prośbą o wsparcie i wreszcie za hojny dar w złocie przekazany zakonnikom przez starszyznę.

Przerwał i ciężko westchnął. Przez chwilę patrzył na mnie bezradnie, po czym ponownie zwrócił się do Meira i Flurii:

– Jednakże muszę wam coś wyznać. Tylko powrót waszej córki zdoła zapobiec pogromowi żydowskiej ludności. Jedynie Lea może zatrzymać ten szaleńczy pęd, by uczynić z niej świętą.

– I tak się stanie – odezwałem się, nim ktokolwiek zdołał wtrącić choć słowo. – Właśnie wybieram się do Paryża. Zakładam, że znajdę brata Godwina, waszego obrońcę, w kapitularku dominikańskim niedaleko Uniwersytetu? Wyruszę w drogę jeszcze tej nocy.

Szeryf wyglądał na nieprzekonanego.

– Czy powrót Lei naprawdę jest możliwy? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak – odparłem. – I to w towarzystwie brata Godwina, szanowanego uczonego. Musicie jakoś wytrzymać do ich przyjazdu.

Meir i Fluria zachowywali się tak, jakby odjęło im mowę. Patrzyli na mnie, jakbym był ich ostatnią deską ratunku.

– A na razie – ciągnąłem – czy można by sprowadzić do zamku starszych, by Meir i Fluria mogli się z nimi naradzić?

– Doktor Izaak, syn Salomona, już tutaj jest, dla własnego bezpieczeństwa – odparł szeryf. – W razie potrzeby sprowadzona zostanie również reszta starszyzny.

Przeciągnął schowaną w rękawicy dłońią przez wilgotne śnieżnobiałe włosy.

– Flurio i Meirze, jeśli wasza córka nie może zostać sprowadzona do Norwich, powiedzcie mi o tym teraz.

– Przybędzie tutaj – zapewniłem go. – Ręczę za to własnym słowem. A wy dwoje módlcie się o moją bezpieczną podróż. Wrócę tak szybko, jak będę mógł.

Podszedłem do Meira i Flurii i położyłem im dłonie na ramionach.

– Zaufajcie niebiosom i Godwinowi. Sprowadzę go tutaj najszybciej jak się da.

ROZDZIAŁ 13

PARYŻ

Nim dotarliśmy do Paryża, miałem dość trzynastowiecznej podróży na kolejne cztery wcielenia. Owszem, byłem wręcz bombardowany niecodziennymi widokami, takimi jak ciasno stłoczone domy z muru pruskiego w Londynie, zachwycająco różnorodne normandzkie zamki na szczytach wzgórz czy malowniczo pokryte śniegiem wioski i miasteczka, lecz nasza uwaga i tak skupiona była wyłącznie na odnalezieniu Godwina i wyłuszczeniu mu sprawy. Mówię „nasza”, ponieważ Malachiasz pojawiał się i znikał w ciągu całej podróży do francuskiej stolicy, znosząc jej niewygody razem ze mną, lecz nie dawał mi żadnych rad, tylko przypominał, że los Flurii i Meira leży w moich rękach. Pojawiał się, ubrany w dominikański habit, zawsze wtedy, gdy traciłem nadzieję, że w ogóle dotrę na miejsce. Cierpliwie powtarzał mi, że mam dość złota, sił i umiejętności, by wykonać swoje zadanie. Krótco po takim objawieniu na drodze ukazywał się wóz lub bryczka z miłym woźnicą na koźle. Woźnica zgadzał się przewieźć nas razem z paczkami, drewnem lub innymi transportowanymi przez siebie przedmiotami, pośród których mogłem się zdrzemnąć.

Jeśli miałbym wskazać najstraszniejszy etap tej podróży, byłaby to przeprawa przez kanał La Manche na niewielkim statku, przy pogodzie, która skazała mnie na bezustanną chorobę morską. Chwilami, gdy sztorm się nasilał, myślałem, że wszyscy utoniemy. Wiele razy pytałem Malachiasza, czy to możliwe, bym umarł podczas wykonywania swojej misji.

Chciałem z nim porozmawiać o wszystkim, co działo się wokół mnie, lecz nie pozwalał na to. Malachiasz był przecież niewidzialny dla wszystkich poza mną i szybko uznano by mnie za szaleńca, gdybym zaczął mówić do siebie. Kiedy zaś próbowałem z nim rozmawiać w myślach, żalił się, że nie jestem dość precyzyjny. Wiedziałem, że to zwykły wykręt. Malachiasz chciał, bym ukończył zadanie bez jego pomocy.

Bez większych trudności przekroczyliśmy w końcu roгатki Paryża.

Malachiasz przypomniał mi, że znajdę Godwina na Uniwersytecie. Dodał też cierpko, że nie przyjechałem tu, by patrzeć cielecym wzrokiem na katedrę Notre Dame ani też wałęsać się po Luwrze, lecz w celu odnalezienia Godwina i sprowadzenia go jak najszybciej do Norwich.

Chłód w Paryżu był równie przejmujący, jak w Anglii, lecz przelewające się ulicami miasta tłumy dawały nieco ciepła. Wszędzie też paliły się niewielkie ogniska, przy których można się było ogrzać. Skupieni wokół nich paryżanie narzekali na wyjątkowo paskudną w tym roku pogodę. Z moich wcześniejszych lektur wiedziałem, że Europa wkraczała wtedy w okres wyjątkowo ostrych zim, który miał trwać przez kilka następnych stuleci, i po raz kolejny byłem wdzięczny za wełniane pończochy i skórzane buty noszone przez dominikanów.

Ignorując słowa Malachiasza, swoje pierwsze kroki skierowałem na Place de Greve i przez długą chwilę przyglądałem się fasadzie świeżo wybudowanej katedry Notre Dame. Podobnie jak w swoich czasach, czułem się onieśmielony jej wielkością i przepychem. Nie mogłem uwierzyć, że oto patrzę na jedną z najwspanialszych w historii katedr niedługo po tym, jak została wzniesiona. Widziałem majaczące w oddali rusztowania i krzątających się wokół nich robotników, lecz prace nad budową zostały już niemal ukończone. Wszedłem do środka i zobaczyłem skrytych w mrocznym wnętrzu katedry ludzi. Jedni klęczeli, inni krążyli pomiędzy relikwiarzami. Padłem na kamienną posadzkę i zacząłem błagać o odwagę oraz siłę. Modląc się, odniosłem dziwne wrażenie, że działam przeciwko Malachiaszowi. Szybko jednak zrozumiałem, że to kompletna bzdura, obaj bowiem służyliśmy temu samemu Bogu, i na mych ustach pojawiły się słowa wypowiedzianej wiele dni wcześniej modlitwy: Boże, wybacz mi, że się od Ciebie odwróciłem.

Oczyściłem umysł ze wszystkich myśli i otwarłem się wyłącznie na głos Boga. Czułem niewysłowioną wdzięczność za to, że pozwolił mi się modlić w Jego potężnym, wspaniałym domu, w tym samym wieku, w którym został

wybudowany. Mogłem tylko spuścić głowę i słuchać. Nagle dotarło do mnie, że choć powodzenie mojej misji wisiało na włosku i cierpiałem katusze razem z Flurią, Meirem oraz wszystkimi Żydami w Norwich, jeszcze nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak w tej chwili. Nie miałem wątpliwości, że powierzone mi zadanie i wszystko, co się z nim wiązało, jest darem zbyt cennym, bym kiedykolwiek zdołał się za niego odwdziaczyć Panu. Mimo boskiego wyróżnienia, nie czułem pychy, lecz zdumienie. Gdy tak rozmyślałem, zacząłem z Nim rozmawiać bez słów.

Im dłużej tam klęczałem, tym bardziej docierało do mnie, że wreszcie prowadziłem takie życie, jakiego nie zaznałem we własnych czasach. Tak bardzo odwróciłem się wówczas od świata, że nie nawiązałem z nikim relacji tak bliskiej, jak z Meirem i Flurią. Do nikogo też nie poczułem równie silnego przywiązania, jak do niej. Na własne życzenie pogrążyłem się w rozpacz i bezmyślnie wiodłem swoje puste życie, pielęgnując urazę. Siła tego odkrycia była porażająca. Patrzyłem na odległy, spowity szarym półmrokiem chór wspaniałej katedry i błagałem o przebaczenie. Jakże byłem żalony! Jeśli jednak moja determinacja i umiejętności zostaną wykorzystane w tej misji, a okrutne narzędzia i talenty użyte w służbie dobra, to mogłem jedynie podziwiać boską potęgę.

Spokoju nie dawała mi jedna, nie do końca sprecyzowana myśl.

Dotyczyła związków łączących dobro i zło oraz sposobów, w jakie Bóg potrafi wydobywać piękno z najpodlejszych ludzkich istot. Rozmyślenia na ten temat okazały się jednak dla mnie zbyt trudne. Tylko Pan rozumiał sposoby, w jakie światłość przenikała się z mrokiem lub od niego odłączała. Ja mogłem co najwyżej przeproszać za chwile zwątpienia i modlić się o odwagę oraz powodzenie mojej misji. Dumanie nad tym, dlaczego Bóg pozwalał na istnienie zła i jak mógłby go użyć w służbie dobra, wydało mi się ryzykowne.

On jeden znał odpowiedzi na te pytania. Ludzie nigdy nie będą potrafili uzasadnić istnienia zła ani zrozumieć, że od samego początku, każdego dnia, niezależnie od okresu historii, miało ono do odegrania konkretną rolę.

Niewiedza na temat rządzących światem mechanizmów nie przeszkadzała mi.

Nagle doszedłem do zaskakującego wniosku: otaczające mnie zło nie miało nic wspólnego z dobrocią Flurii i Meira, której wcześniej doświadczyłem.

Na koniec pomodliłem się jeszcze do Matki Boskiej, prosząc o Jej wstawiennictwo, a później wstałem z klęczek i najwolniej jak potrafiłem, rozkoszując się rozproszonym blaskiem świec mrokiem, wyszedłem z katedry na mroźne zimowe powietrze.

Nie sposób oddać słowami plugastwa paryskich ulic, z ich cuchnącymi rynsztokami, stłoczonymi trzy- lub czteropiętrowymi domami oraz trupim odorem płynącym z ogromnego cmentarza Les Innocents, na którym ludzie finalizowali różnego rodzaju transakcje, nie zważając na sąsiedztwo grobów.

Nie sposób opisać miasta, którego mieszkańcy – kalecy, garbaci, skarłali lub przeciwnie: wysocy i tyczkowaci, poruszający się o kulach, dźwigający na plecach ciężkie toboły albo biegnący gdzieś w pośpiechu – zwijali się jak w ukropie. Każdy z nich sprzedawał coś, kupował albo przenosił z miejsca na miejsce, nie zatrzymując się ani na chwilę. Niektórzy byli na tyle bogaci, że przemieszczali się w lektykach, inni dość odważni, by forsować błotniste ulice w ozdobionych klejnotami butach. Większość miała na sobie proste kaftany i tuniki z kapturem. Paryżanie chowali się, aż po czubek nosa, pod warstwami wełny, aksamitu lub najróżniejszych futer, chroniąc się przed zimnem. Na każdym kroku zatrzymywali mnie żebracy, prosząc o jałmużnę. Wręczałem im znalezione w kieszeniach złote i srebrne monety, które zdawały się nigdy nie kończyć, i przyjmowałem podziękowania pełne nabożnej czci.

Paryskie widoki wodziły mnie na pokuszenie niezliczoną ilość razy, lecz musiałem się im oprzeć. Nie przyjechałem tu, jak słusznie zauważył

Malachiasz, by oglądać pałace, uliczne teatrzyki kukiełkowe, dumać nad życiem towarzyskim toczącym się w tawernach mimo pieskiej pogody ani nad tym, jak ludzie radzili sobie w tych dawno zapomnianych, a jednocześnie doskonale znanych mi z książek czasach.

Przedostanie się przez labirynt krętych, zatłoczonych uliczek na teren Uniwersytetu zabrało mi mniej niż godzinę. Nagle znalazłem się w otoczeniu mężczyzn i chłopców w różnym wieku, ubranych w stroje duchowne, długie szaty lub togi. Ze względu na pogodę prawie wszyscy chowali głowy pod

kapturami lub rodzajem grubej opony. Bogatych od biednych odróżniała tylko ilość futra wykańczającego szaty, a nawet buty.

Mężczyźni i chłopcy krążyli pomiędzy niewielkimi kościołami oraz klasztorными krużgankami. Ulice były okropnie wąskie i kręte, obwieszane latarniami rozpraszającymi zapadający właśnie, posępny mrok.

Bez trudu trafiłem do klasztoru Dominikanów, z niewielkim kościołem oraz otwartymi dla każdego bramami, i odnalazłem Godwina, którego studenci opisali jako wysokiego, za- kapturzonego brata o przenikliwych błękitnych oczach i bladej skórze. Stał na katedrze, dając wykład chłoncemu każde jego słowo tłumowi. Wypowiadane nienaganną łaciną zdania zdawały się same płynąć z jego ust. Podziwiałem łatwość, z jaką posługiwał się tym językiem, i czułem prawdziwą przyjemność, widząc żywą reakcję studentów na słowa Godwina.

Śnieg padał coraz rzadszy. W kilku miejscach sali wykładowej wybudowano kominki, żeby ogrzać studentów, lecz mimo to w pomieszczeniu panował przenikliwy chłód. Do moich uszu dotarło kilka wypowiedzianych szeptem uwag, z których wynikało, że pod nieobecność Tomasza i Alberta, którzy wyjechali nauczać do Włoch, wykłady Godwina zyskały taką popularność, że tylko największe aule uniwersyteckie mogły pomieścić chętnych do ich wysłuchania studentów.

Godwin żywo gestykulował przed zasłuchaną publicznością, której część zajęła miejsca w ławkach i gorączkowo notowała jego słowa, część zaś siedziała na podłodze na skórzanych lub wełnianych poduszkach, a nawet na gołej kamiennej posadzce.

Mimo że spodziewałem się widoku człowieka pełnego charyzmy, to i tak osobowość Godwina zrobiła na mnie wręcz piorunujące wrażenie. Już sam jego wzrost był imponujący, lecz nie tak jak bijący od niego blask, o którym wielokrotnie wspominała Fluria. Godwin miał zaczerwienione z zimna policzki, a z jego oczu promieniowało oddanie ideom, o których nauczał. Był

całkowicie pochłonięty tym, o czym – i w jaki sposób – mówił. Wykład był

dowcipny i towarzyszyły mu wybuchy szczerego śmiechu. Przemawiając, Godwin zwracał się do obu stron audytorium, by jego słowa dotarły do każdego ze słuchaczy. Jego dłonie, poza opuszkami palców, były owinięte gałganami. Niemal wszyscy studenci mieli rękawiczki. Ja również od chwili opuszczenia Norwich nie zdejmowałem eleganckich, skórzanych rękawiczek, a mimo to palce grabiły mi z zimna. Było mi przykro, że Godwin nie miał

podobnej pary.

Studenci śmiali się właśnie z jego kolejnej dowcipnej uwagi, gdy udało mi się znaleźć wygodne miejsce pod jednym z łuków sklepienia, obok kamiennego filaru. Godwin nakazał słuchaczom, by zapamiętali szczególnie ważny cytat ze świętego Augustyna, który natychmiast został powtórzony przez grupę najgorliwszych studentów. Właśnie miał zamiar przejść do omawiania kolejnego zagadnienia, gdy nasze spojrzenia skrzyżowały się i przerwał w pół zdania.

Nie wiem, czy ktokolwiek się zorientował, dlaczego Godwin zamilkł. Ja wiedziałem. Nawiązało się

między nami jakieś bezgłośnie porozumienie.

Ośmieliłem się nawet skinąć mu głową. Wypowiedziawszy kilka nieskładnych słów, Godwin zakończył wykład.

Studenci godzinami zadawali mu pytania, gdyby uprzejmie nie wyjaśnił im, że ma do załatwienia pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, a poza tym przemarzał na kość. Następnie zbliżył się do mnie, ujął moją dłoń i pociągnął za sobą długim, niskim korytarzem. W drodze do jego celi minęliśmy wiele sklepionych przejść i drzwi.

Pomieszczenie, dzięki Bogu, okazało się przestronne i ciepłe. Było równie skromne, jak cela Junipero Serry w misji Carmel urządzona na początku dwudziestego pierwszego wieku, lecz wypełnione zachwycającymi sprzętami. Płonące w żelaznym piecyku węgle dawały przyjemne ciepło.

Godwin zręcznie zapalił kilka grubych świec i postawił je na biurku i na pulpicie, stojącymi tuż obok jego wąskiego łóżka, po czym zaprosił mnie gestem, bym usiadł na jednej z ławek znajdujących się po prawej stronie pokoju.

Domyśliłem się, że Godwin kształcił studentów również w swojej celi, czy raczej robił to, nim jego wykłady zaczęły się cieszyć tak wielkim zainteresowaniem.

Na ścianie dostrzegłem krucyfiks oraz kilka niewielkich obrazków wotywnych, skrytych w cieniu, przez co nie widziałem ich wyraźnie. Pod krzyżem i obrazem Madonny leżała bardzo twarda poduszka, na której pewnie klęczał podczas modlitwy.

– Wybacz mi brak rozwagi – powiedział uprzejmym, sympatycznym głosem. – Przybliź się i ogrzej przy ogniu. Twe lico jest blade od zimna, a włosy wilgotne.

Sprawnym ruchem zdjął najpierw mój, a później swój przemoczony kaptur i opończę, po czym rozwiesił je nad piecykiem, by szybciej wyschły.

Następnie sięgnął po niewielki ręcznik, wytarł nim moje włosy i twarz, a potem sam się osuszył. Wreszcie odwinął gałgany i rozprostował palce nad ogniem. Dopiero teraz zobaczyłem, że jego biała sutanna oraz szkaplerz są cienkie i w wielu miejscach pocerowane. Miał szczupłą sylwetkę, a jego krótka fryzura z wygoloną mniśią tonsurą dodawała jego rysom siły i wyrazu.

– Jak mnie poznałeś? – zapytałem.

– Fluria napisała mi, że gdy tu przybędziesz, rozpoznam cię bez trudu.

List wyprzedził cię zaledwie o dwa dni. Przywiózł mi go żydowski nauczyciel hebrajskiego. Od tego czasu nieustannie się martwiłem, nie tym jednak, co Fluria napisała, lecz tym, co musiała przemilczeć. Poprosiła mnie, bym otworzył swoje serce i całkowicie ci zawierzył.

W słowach Godwina pobrzmiwało bezgraniczne zaufanie. Podziwiałem jego ujmujący sposób bycia i wspaniałomyślność, a on tymczasem przystawił

jedną z ławek bliżej piecyka i usiadł na niej. Siła i prostota były z każdego jego gestu, jakby czasy, w których uciekał się w swym zachowaniu do jakichś sztuczek, bezpowrotnie minęły. Sięgnął do jednej z przepastnych, schowanych pod białym szkaplerzem kieszeni, wyjął z niej list – złożony kawałek sztywnego pergaminu – i wręczył mi go. List napisany był po hebrajsku, lecz zgodnie z obietnicą Malachiasza, nie miałem kłopotów ze zrozumieniem go.

„Mój los leży w rękach tego człowieka, brata Toby’ego. Przyjmij go i opowiedz o wszystkim, a on zdradzi ci to, o czym powinieneś wiedzieć. Nie istnieje bowiem nawet jeden szczegół mej przeszłości ani też obecnej sytuacji, którego by nie znał. Nie ośmielę się napisać w tym liście niczego więcej”.

Fluria podpisała się pierwszą literą imienia. Nikt nie mógł znać jej charakteru pisma lepiej niż Godwin.

– Od pewnego czasu czułem, że coś jest nie w porządku – oznajmił, zmarszczywszy brwi. – Nie mam wątpliwości, że wiesz o wszystkim. Zanim jednak zasypię cię pytaniami, muszę ci coś wyznać. Przez jakiś czas Rosa była poważnie chora i upierała się, że jej siostra Lea cierpi katusze. Działo się to w najpiękniejsze, świąteczne dni w roku, kiedy przed katedrą wystawiane są precudnej urody jasełka i inne przedstawienia bożonarodzeniowe. Sądziłem, że to chrześcijańskie, nieznane Rosie obrzędy mogą być przyczyną jej niepokoju. Rosa powtarzała jednak, że jej smutek jest powodowany cierpieniami Lei. Jak wiesz, są one bliźniaczkami, dzięki czemu Rosa przeczuwa, co dzieje się z jej siostrą. Dwa tygodnie temu powiedziała mi, że Lei nie ma już na tym świecie. Próbowałem ją pocieszyć, tłumaczyłem, że się myli. Zapewniałem, że Fluria i Meir powiadomiliby mnie, gdyby coś złego przydarzyło się jej siostrze, lecz żadne słowa nie zdołały przekonać Rosy, że Lea żyje.

– Twoja córka ma rację – przyznałem ze smutkiem. – W tym tkwi sedno problemu. Lea zmarła na niedrożność jelit, nie można jej było uratować.

Wiesz równie dobrze jak ja, że ta choroba łączy się z ogromnym cierpieniem.

Większość ludzi, którzy na nią zapadają, umiera. Lea również wyzionęła ducha, w ramionach swojej matki.

Godwin ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę bałem się, że wybuchnie płaczem. Zamiast tego usłyszałem, jak bez końca powtarza imię Flurii i po łacinie błaga Boga, by ukoił jej ból po stracie dziecka. W końcu wyprostował

się, spojrzał na mnie z wyrazem udręki w oczach i wyszeptał:

– A więc Fluria utraciła tę piękną istotę, która została przy niej, podczas gdy druga z naszych córek jest tu ze mną, cała i zdrowa. Ileż w tym goryczy.

Z trudem powstrzymał się od łez.

Na twarzy Godwina malowało się cierpienie. Jego dostojna postawa całkowicie załamała się pod ciężarem tragedii. Kiedy tak kręcił głową z niedowierzaniem, przypominał ufne, skrzywdzone

dziecko.

– Nie potrafię wyrazić swojego współczucia – szepnąłem, gdy na mnie spojrział, lecz nie zareagował na moje słowa.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, w cichym hołdzie dla Lei. Spojrzenie Godwina było nieobecne. Raz czy dwa ogrzał dłonie nad ogniem, lecz poza tymi krótkimi chwilami jego ręce leżały smętnie na kolanach. Wreszcie zacząłem dostrzegać na jego obliczu powracające dawne ciepło i szczerłość.

– Wiesz, że byłem ojcem tego dziecka, wszak na swój sposób powiedziałem ci o tym – szepnął.

– Tak – odparłem. – A jednak śmierć Lei, choć naturalna, stała się przyczyną kłopotów Meira i Flurii.

– Jakże to? – zdziwił się Godwin.

Biła od niego niewinność, jakby pobrane nauki oczyściły jego duszę z wszelkiego zła. Być może słowo „pokora” lepiej określiłoby jego postawę.

Mojej uwagi nie uszła również uroda Godwina, płynąca nie tyle z regularnych rysów twarzy, z której niemal biła jasność, ile właśnie z pokory i stłumionej siły skrywanej pod pięknym obliczem. Skromny człowiek potrafi zwalczyć każdą przeciwność losu. Siedzący przede mną mężczyzna nie przejawiał śladu pychy ani też nie próbował tłumić targających nim uczuć.

– Opowiedz mi o wszystkim, bracie Toby – poprosił. – Co się dzieje z moją umiłowaną Flurią?

Łzy ponownie napełniły mu oczy.

– Zanim jednak zaczniesz, muszę ci o czymś powiedzieć. Kocham i Boga, i Flurię. Uczucie to płynie z głębi mego serca, a Bóg okazuje mu zrozumienie.

– Rozumiem – odparłem. – Wiem o waszej długoletniej korespondencji.

– Fluria wielokrotnie była mi drogowskazem – powiedział. – I choć wstępując do zakonu dominikanów, wyrzekłem się wszystkiego, nie zrezygnowałem z naszej wymiany listów, bo służyła ona wyłącznie wyższemu dobru.

Zadumał się przez chwilę, po czym dodał:

– Nieczęsto spotyka się Aryjki o równie wielkiej pobożności i dobroci, choć niewiele już wiem na ich temat. Wydawać by się mogło, że Żydówki takie jak Fluria charakteryzują się szczególnym rodzajem dojrzałości, która sprawia, że mogłem i pragnąłem dzielić się z ludźmi każdym napisanym przez nią słowem. Tak było do czasu, gdy przed dwoma dniami otrzymałem od Flurii ostatni list.

Słowa Godwina wywołały u mnie dziwną reakcję. Myślę, że pokochałem Flurię z tych samych powodów, co on. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z powagi, czy też właśnie dojrzałości, jaka charakteryzowała Flurię. Ponownie odniosłem wrażenie, że ta kobieta przypomina mi kogoś z

przeszłości, lecz nie wiedziałem kogo. Myśli tej towarzyszył smutek i strach, nie miałem jednak czasu, by się nad tym dłużej zastanawiać. Rozmyślanie o moim poprzednim życiu wydało mi się całkowicie grzeszne.

Rozejrzałem się po celi. Patrzyłem na leżące na półkach książki i rozrzucone na biurku kartki pergaminu. Wreszcie spojrzałem na twarz Godwina, który przyglądał mi się w napięciu, i opowiedziałem mu o wszystkim. Przez następne pół godziny tłumaczyłem mu, w jaki sposób dominikanie z Norwich dali się zwieść iluzji świętości Lei i dlaczego Meir i Fluria nie mogli podzielić się z nikim spoza społeczności żydowskiej okropną prawdą o tym, że stracili swoje ukochane dziecko.

– Wyobraź sobie, co czuje Fluria – powiedziałem – nie mogąc pogрузić się w żałobie, zajęta obmyślaniem intrygi, która dowiedzie, że Lea żyje. –

Ostatnie słowa podkreśliłem szczególnie mocno. – A taka intryga jest konieczna, podobnie jak w wypadku Jakuba, który oszukał najpierw swego ojca Izaaka, a później Labana, by powiększyć swe stado. Musimy posłużyć się fortelem, ponieważ życie wielu ludzi znalazło się w niebezpieczeństwie.

Słyszac moje argumenty, Godwin uśmiechnął się i pokiwał głową, nie próbując się sprzeciwić. Następnie wstał i zaczął dreptać w kółko po ciasnej celi. Po jakimś czasie usiadł przy biurku i nie zważając na moją obecność, zabrał się do pisania listu.

Siedziałem w milczeniu, obserwując, jak kreśli kolejne linijki. Co jakiś czas przysypywał atrament piaskiem, by go osuszyć. Wreszcie podpisał list, strzepnął piasek, złożył pergamin, zapieczętował go woskiem i spojrzał na mnie.

– Oto list do moich braci dominikanów z Norwich, a w szczególności do ojca Antoine’a, którego znam osobiście. Przekonuję w nim, że obrali niewłaściwą drogę oraz ręczę za Meira i Flurię, powołując się na starą znajomość z jej ojcem, który był moim nauczycielem, nim wyjechałem z Oksfordu. Myślę, że to uwiarygodni me słowa poparcia dla tej pary. Nie mogę napisać do lady Margaret, a gdybym nawet to zrobił, mój list niechybnie trafiłby w płomienie.

– Wysłanie tego listu może być ryzykowne – powiedziałem.

– Dlaczego to?

– Przyznajesz się w nim do znajomości z Flurią, znajomości, której szczegóły dominikanie mogą znać. Czy kiedy odwiedziłeś Flurię w domu jej ojca i opuściłeś go razem ze swoją córką, bracia w Oksfordzie wiedzieli o tym?

– Boże broń – odparł Godwin z westchnieniem. – Mój brat i ja zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, by dochować sekretu. Tylko mój spowiednik wie, że mam córkę. Ale masz rację: dominikanie z Oksfordu dobrze znali Eliego, przełożonego synagogi, który czasem nauczał także ich.

Wiedzą też, że Fluria ma dwoje dzieci.

– Właśnie – odparłem. – Jeśli wyślesz list zwracający uwagę na twoją znajomość z Flurią, ona i

Meir nie będą mogli się uciec do fortelu, który może ocalić im życie.

Godwin cisnął list do pieca i patrzył, jak pochłaniają go płomienie.

– Nie potrafię znaleźć wyjścia z tej sytuacji – wyznał. – Nigdy wcześniej nie spotkałem się z problemem tak zawiłej i szpetnej natury. Czy warto uciekać się do fortelu, skoro dominanie z Oksfordu mogą w każdej chwili poinformować swoich braci z Norwich, że Rosa tylko udaje swoją siostrę? Nie mogę narazić swojej córki na takie niebezpieczeństwo. Nie, nie zezwolę na jej podróż.

– Zbyt wiele osób dysponuje groźną dla nas wiedzą, musimy jednak coś zrobić, by zapobiec temu szaleństwu. Czy zgodzisz się pojechać ze mną i bronić Flurię i Meira przed biskupem i szeryfem?

Powiedziałem Godwinowi o podejrzeniach szeryfa, dotyczących śmierci Lei.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Uciec się do oszustwa, nie szczędząc sprytu i kłamstw – powiedziałem.

– Nie widzę innego wyjścia.

– Jak to?

– Jeśli Rosa zgodzi się udawać swoją siostrę, zabierzemy ją do Norwich, gdzie będzie twierdzić, że jest Leą i właśnie wróciła z odwiedzin u swojej siostry Rosy. Odegra córkę oburzoną kłamliwymi pomówieniami jej rodziców i wyrazi natychmiastową gotowość powrotu do Paryża. Ujawnienie istnienia bliźniaczej siostry, która odwróciła się od żydowskiej wiary, wyjaśni, dlaczego Lea wyjechała do Paryża tak nagle, i to w środku zimy. Co zaś się tyczy ciebie, Godwinie, to nie widzę powodu, by informować ludzi, że jesteś ojcem dziewczynek.

– Plotka głosi – wyznał nieoczekiwanie – że Rosa jest owocem młodzieńczej miłości mego brata Nigela, który towarzyszył mi przez całą podróż. Jak już mówiłem, tylko mój spowiednik zna prawdę.

– Tym lepiej. Powinieneś niezwłocznie wysłać do Nigela list, w którym wyjaśnisz całą sprawę i poprosisz, by natychmiast udał się do Norwich. Fluria powiedziała mi, że ten człowiek cię kocha.

– Nigel nigdy nie przestał mnie kochać, niezależnie od kłopotów naszego ojca.

– Niech więc jedzie do Norwich i przysięgnie, że obie bliźniaczki przebywają w Paryżu. My zaś dołączymy do niego we troje najszybciej, jak to będzie możliwe. Rosa będzie udawać Leę, zatroskaną sytuacją swych rodziców i wściekłą do tego stopnia, że wyrazi chęć natychmiastowego powrotu do jej mieszkającego w Paryżu stryja, czyli do ciebie.

– Ach, rozumiem już chytrą część twego planu – powiedział Godwin. – Lecz dla Flurii oznacza on hańbę.

– Nigel nie musi otwarcie przyznawać się, że jest ojcem. Ludzie mogą myśleć, co chcą, lecz on sam niczego nie potwierdzi. W świetle prawa dziewczynki mają ojca. Nigel musi tylko udawać przyjaciela nawróconej na chrześcijaństwo dziewczynki. Wcześniej bowiem otoczył opieką jej

siostrę Rosę, która czeka w Paryżu na powrót Lei, świeżo upieczonej neofitki.

Godwin głęboko zadumał się nad moimi słowami. Wiedziałem, że rozważa potencjalne niebezpieczeństwa. Z powodu przejścia na chrześcijaństwo dziewczynkom groziła ekskomunika, a wraz z nią utrata majątku. Fluria wspominała mi o tym. Oczywiście wyobraźni widziałem jednak pełną pasji Rosę, udającą zagniewaną Leę, jak pokonuje siły zagrażające Żydom z Norwich. Nie sądziłem, by którykolwiek z mieszkańców miał

czelność zażądać przyjazdu drugiej bliźniaczki.

– Czy nie widzisz, że wszystkie elementy tej historii układają się w logiczną całość? – zapytałem.

– Zaiste, sprytnie to wymyśliłeś – przyznał, wciąż zatopiony we własnych myślach.

– Przede wszystkim wyjaśnia ona powód nagłego wyjazdu Lei: pod wpływem działań lady Margaret dziewczynka zdecydowała się przyjąć chrześcijaństwo i dlatego chciała być blisko swej siostry, również neofitki. Nie jest tajemnicą, że Anglicy i Francuzi mają obsesję na punkcie nawracania Żydów na chrześcijaństwo. Nietrudno też wyjaśnić, dlaczego Meir i Fluria trzymali wszystko w sekrecie: dla nich był to podwójny powód do hańby. Rola twoja i twojego brata ogranicza się zaś do tego, że wzięliście pod swoje skrzydła dwie świeżo upieczone chrześcijanki, bliźniacze siostry. Moim zdaniem wszystko to brzmi prosto i klarownie.

– I ja tak sądzę – odparł z namysłem.

– Czy wierzysz, że Rosa mogłaby się wcielić w Leę? – zapytałem. – Czy byłaby do tego zdolna? Jak sądzisz, czy twój brat nam pomoże? A co z Rosą?

Czy podjęłaby podobne ryzyko?

Godwin zadumał się nad tym przez dłuższą chwilę, po czym rzekł, że powinniśmy złożyć jej wizytę jeszcze tego wieczoru, mimo późnej pory i zmierzchu, który dawno zdażył zapaść. Gdy wyrząłem przez niewielkie okno jego celi, ujrzałem tylko ciemność, lecz może spotęgował ją obficie padający śnieg.

Godwin usiadł przy biurku i sięgnął po pióro. Kreśląc kolejne słowa listu, czytał mi je na głos:

„Umiłowany Nigelu, pilnie potrzebuję twojej pomocy, albowiem Fluria i Meir, przyjaciele drodzy sercu mojemu i moich córek, znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie na skutek splotu wydarzeń, o których opowiem ci przy naszym spotkaniu. Proszę cię, byś natychmiast pojechał do miasta Norwich, do którego wyruszę jeszcze tej nocy, i zaczekał tam na mnie.

Gdy już dotrzesz na miejsce, udaj się do lorda szeryfa, przetrzymującego w zamku wielu Żydów dla ich własnego bezpieczeństwa, i zapewnij go o swej dobrej znajomości z Meirem i Flurią oraz opiece nad ich dwiema córkami –

Leą i Rosą, które po przyjęciu chrześcijaństwa zamieszkały w Paryżu, gdzie pieczę nad nimi sprawuje brat Godwin, ich ojciec chrzestny i oddany przyjaciel. Musisz wiedzieć, że mieszkańcy

Norwich nie są świadomi faktu posiadania przez Meira i Flurię dwojga dzieci oraz są głęboko zaniepokojeni tym, że jedyna ich córka opuściła miasto w niewyjaśnionych okolicznościach.

Namów lorda szeryfa, by utrzymał całą sprawę w sekrecie, dopóki nie dołączę do ciebie i nie wyjaśnię szczegółów działań, jakie będziemy musieli podjąć”.

– Doskonale – oceniłem. – Jak sądzisz, czy Nigel wysłucha twojej prośby?

– Mój brat zrobiłby dla mnie wszystko – odparł Godwin. – To czuły i serdeczny człowiek. Napisałbym bardziej szczegółowo, lecz boję się, że list może wpaść w niepowołane ręce.

Raz jeszcze osuszył piaskiem nakreślone w pośpiechu zdania i podpis, złożył i zapieczętował list, a następnie wyszedł z celi, nakazując, bym w niej zczekał.

Nie było go przez dłuższy czas.

Gdy tak rozglądałem się po niewielkim pokoju, w którym unosił się zapach atramentu, starych pergaminów, skórzanych opraw ksiąg i płonących węgli, uderzyła mnie myśl, że z radością spędziłbym tu resztę życia. Nigdy wcześniej nie byłem równie spełniony, jak teraz, a skoro już to sobie uzmysłowiłem, zebrało mi się na płacz. To nie był jednak właściwy moment, by roztkliwiać się nad sobą.

Kiedy wreszcie Godwin wrócił, na jego twarzy malowało się zmęczenie, ale też ulga.

– List zostanie wysłany jutro i dotrze do Anglii o wiele szybciej niż my, powierzyłem go bowiem biskupowi opiekującemu się parafią St. Aldate i posiadłością mojego brata. Obiecał oddać list Nigelowi do rąk własnych.

Raz jeszcze spojrzał na mnie oczami pełnymi łez.

– Nie poradziłbym sobie sam – powiedział z wdzięcznością.

Zdjął z wieszaka nasze opończe i włożyliśmy je, szykując się do wyjścia na mróz. Godwin zaczął owijać dłonie gałgana– mi. Sięgnąłem do kieszeni, szepcząc pod nosem słowa modlitwy, i wyjąłem z niej dwie pary rękawiczek.

Dziękuję, Malachiaszu!

Godwin spojrzał zdumiony na rękawiczki, lecz przyjął je, dziękując mi skinieniem głowy. Widziałem, że nie jest zachwycony elegancką skórą i futrzanym obszyciem, ale wiedział, że przydadzą mu się one podczas naszej misji.

– A teraz pójdziemy do Rosy – powiedział. – Potwierdzimy to, o czym już wcześniej wiedziała, i zapytamy, co zamierza zrobić. Jeśli odmówi wzięcia udziału w oszustwie lub przestraszy się ryzyka, pojedziemy do Norwich bez niej i sami złożymy świadectwo.

Po chwili milczenia powtórzył szeptem: „świadectwo” i widziałem, jak bardzo martwi go wizja

uczestniczenia w oszustwie.

– Nie miej wyrzutów sumienia – powiedziałem. – Jeśli tego nie zrobimy, poleje się krew, a ci poczciwi ludzie, którzy nie zrobili niczego złego, zginą.

Skinął głową i wyszliśmy z budynku.

Na zewnątrz czekał na nas opatulony od stóp do głów wełnianymi ubraniami chłopiec z latarnią w ręku. Godwin powiedział mi, że udajemy się do klasztoru, w którym mieszka Rosa. Wkrótce przemykaliśmy spiesznie ciemnymi ulicami, mijając od czasu do czasu gwarne tawerny, i pośród zamieci staraliśmy się nie stracić z oczu światła niesionej przez chłopca latarni.

ROZDZIAŁ 14

ROSA

Klasztor Matki Boskiej Anielskiej okazał się potężny, masywny i wystawnie urządzone. Sala, w której spotkaliśmy się z Rosą, była najdrożej i najpiękniej umeblowanym pomieszczeniem, jakie do tej pory widziałem. W

kominku natychmiast rozpalono ogień, a dwie młode, spowite od stóp do głów w len i wełnę zakonnice przygotowały dla nas poczęstunek złożony z chleba i wina. Wszędzie stało pełno pikowanych krzesel, a ściany zdobiły zachwycające gobeliny. Podłoga była wypolerowana na wysoki połysk. Pokój rozświetlał

blask wielu świec, bajecznie odbijających się w grubym szkle okien.

Matka przełożona, postawna kobieta o wyraźnym, niezaprzeczalnym autorytecie, darzyła Godwina widoczną sympatią i bez zbędnych pytań wpuściła nas do środka.

Rosa, owinięta białą szatą, spod której wystawała gruba tunika tej samej barwy, mogąca być jej koszulą nocną, wyglądała jak skóra zdjęta z matki, z wyjątkiem przenikliwych błękitnych oczu. Przez moment byłem zaskoczony, widząc rysy Flurii oraz żywotność Godwina na twarzy dziewczyny. Jej oczy były tak podobne do oczu ojca, że trudno było oderwać od nich wzrok. Grube czarne kręcone włosy spadały kaskadą na jej ramiona i plecy. Mimo swoich czternastu lat wyglądała dojrzałe i miała kobiecą figurę. Na pierwszy rzut oka było widać, że odziedziczyła po rodzicach ich najlepsze cechy.

– Przybyłeś powiedzieć mi, że Lea nie żyje, prawda? – odezwała się do ojca, gdy tylko ucałował oba jej policzki i czubek głowy.

Z gardła Godwina wyrwał się szloch. Usiedli przed kominkiem, naprzeciw siebie. Rosa ujęła obie jego dłonie, po czym kilkakrotnie skinęła głową, jakby prowadziła z sobą wewnętrzny dialog na temat tego, co się stało.

Po chwili przemówiła ponownie:

– Gdybym ci powiedziała, że Lea nawiedziła mnie we śnie, skłamałabym. Kiedy jednak obudziłam

się tamtego ranka, wiedziałam na pewno, że moja siostra nie żyje, a matka znalazła się w niebezpieczeństwie. I oto przychodzisz tu dzisiaj z innym zakonnikiem, a przecież wiem, że nie niepokoiłbyś mnie o tak późnej porze, gdybyś nie potrzebował mojej pomocy.

Godwin przysunął do ognia krzesło dla mnie i poprosił, bym wyłuszczył

jego córce szczegóły planu. W wielkim skrócie opowiedziałem jej o wszystkim, co się stało. Rosa była przerażona, dowiedziawszy się, w jak trudnym położeniu znalazła się jej matka i Żydzi z Norwich, miasta, w którym nigdy jej noga nie powstała. Wyznała mi pospiesznie, że była w Londynie, kiedy wielu Żydów z Lincoln zostało osądzonych i skazanych na karę śmierci za morderstwo świętego Hugh, choć żadnemu z nich nie udowodniono winy.

– Czy będziesz potrafiła zagrać rolę swojej siostry?

– Niczego więcej nie pragnę! – zapewniła. – Pragnę stanąć oko w oko z ludźmi, którzy ośmielili się oskarżyć moją matkę o zamordowanie własnej córki. Pragnę potępić ich za te ohydne pomówienia. Potrafię to zrobić. Mogę utrzymywać, że patrzę na Leę, w głębi serca bowiem jestem zarówno Leą, jak Rosą, i zarówno Rosą, jak Leą. Nie będzie też kłamstwem, gdy powiem, że pragnę opuścić Norwich i natychmiast wrócić do Rosy, czyli mnie samej, do Paryża.

– Nie wolno ci przesadzić – upomniał ją Godwin. – Pamiętaj, że niezależnie od gniewu i wstrętu, odczuwanych wobec oskarżycieli, musisz przemawiać i zachowywać się tak łagodnie jak Lea.

Rosa skinęła głową.

– Gniew i determinację zachowam dla ciebie i brata Toby'ego – odparła.

– Możesz być pewien, że powiem tylko to, co należy.

– Zdajesz sobie jednak sprawę, że jeśli coś pójdzie nie tak, znajdziesz się w niebezpieczeństwie – ciągnął Godwin – tak samo jak my. Który ojciec zezwoliłby na to, by jego córka podchodziła tak blisko ognia?

– Ten, który rozumie, że córka musi to uczynić, by ocalić swą matkę –

odparła Rosa bez namysłu. – Czyż nie straciła już mej siostry, podobnie jak miłości swego ojca? Nie mam wątpliwości, że tak właśnie należy uczynić, a to, że jesteśmy bliźniaczkami, daje nam wielką przewagę, bez której cały plan spaliłby na panewce.

Następnie zostawiła nas, by przygotować się do podróży. Godwin i ja poszliśmy wynająć wóz, którym mieliśmy jechać do Dieppe, skąd czekała nas przeprawa przez zdradliwy kanał La Manche, tym razem w wynajętej łodzi.

Kiedy opuszczaliśmy Paryż, słońce właśnie wschodziło, a moje serce było pełne obaw. Może dlatego, że Rosa była tak rozgniewana i pewna siebie, a Godwin udawał spokojniejszego, niż był w rzeczywistości, hojnie rozdając pieniądze swego brata służbie, która pomogła nam wyprawić się w podróż.

Dobra materialne nic dla niego nie znaczący. Cierpliwie znosił wszystko, co natura, Bóg lub okoliczności losu mu zsyłały. Gdzieś w głębi duszy przeczuwałem, że przewyciężanie przeciwności losu przysłużyłoby się Godwinowi lepiej niż pokora, z jaką je przyjmował. Całym sercem zaangażował się w oszustwo, jakiego mieliśmy się dopuścić, choć stało w jawnej sprzeczności z jego przekonaniami. Kiedy Rosa poszła spać, wyznał mi, że nigdy nie zapominał o tym, kim naprawdę jest: nawet wtedy gdy w młodości dopuszczał się rozpusty, zawsze oddawał się szczerym rozmowom i służbie Bogu.

– Nie potrafię oszukiwać – oznajmił – i dlatego boję się, że nie poradzę sobie z czekającym nas zadaniem.

Wielokrotnie odnosiłem jednak wrażenie, że jego lęk nie był

dostatecznie silny, jakby w swojej nieskończonej dobroci wierzył, że wszystko, co ma się stać, i tak leży w rękach Boga, a ludzie są tylko Jego narzędziami.

Godwin bezustannie powtarzał, jak bardzo Mu ufa i że Pan rozwiąże ich problemy.

Nie sposób streścić wszystkich naszych rozmów podczas długiej podróży na wybrzeże i przeprawy przez kanał, mimo silnych fal, czy wreszcie w wynajętym wozie, który zawiózł nas z Londynu do Norwich, po błotnistych, ściętych mrozem drogach. Dodam tylko, że przez ten czas udało mi się poznać Rosę i Godwina jeszcze lepiej niż Flurię i że choć czułem pokusę, by zasypać zakonnika pytaniami dotyczącymi Tomasza z Akwinu oraz Alberta Wielkiego

– którego już wtedy tak tytułowano – rozmawialiśmy głównie o życiu Godwina pośród dominikanów, radości płynącej z kształcenia wybitnie uzdolnionych uczniów oraz z jego wnikliwych studiów nad dziełami Majmonidesa i Rashiego.

– Nie jestem mocny w piórze – wyznał – może poza prywatnymi listami do Flurii. Mam jednak nadzieję, że to, kim jestem i czym się zajmuję, na zawsze przetrwa w umysłach moich studentów.

Rosa zaś, nie bez wyrzutów sumienia, cieszyła się życiem pośród Aryjczyków, czerpiąc ogromną przyjemność z oglądania bożonarodzeniowych szopek wystawianych przed katedrą, aż do chwili gdy poczuła, że znajdująca się wiele kilometrów od niej Lea cierpi prawdziwe katusze.

– Przez cały czas powtarzam sobie – wyznała mi pewnego dnia, gdy Godwina zmorzył sen – że nie porzuciłam wiary przodków ze strachu czy za namową jakiegoś szaleńca, lecz ze względu na mego ojca i pasję, jaką w nim dostrzegłam. Jestem pewna, że oboje czcimy tego samego Stwórcę nieba i ziemi. Jakże to możliwe, by wiara, która dała mu tyle szczęścia, była grzeszna?

Myślę, że to, co ujrzałam w oczach i zachowaniu mego ojca, nawróciło mnie bardziej niż słowa, które wypowiedział. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego wzoru do naśladowania niż on, lecz czuję na swych barkach ciężar minionych zdarzeń. Z trudem znoszę myśl o nich, a teraz, gdy moja matka utraciła Leę, mogę się tylko modlić, by Bóg zesłał jej i Meirowi wielu potomków. To właśnie dla nich zdecydowałam się na tę podróż, być może zbyt pochopnie zgadzając się na udział w oszustwie.

Rosa zwróciła też moją uwagę na wiele trudności, o których wcześniej nie pomyślałem. Przede wszystkim, gdzie się zatrzymamy po przyjeździe do Norwich? Czy powinniśmy od razu udać się do zamku, a jeśli tak, to jak powinna odegrać rolę Lei przed szeryfem, skoro nie wiemy, czy jej zmarła siostra kiedykolwiek widziała go na oczy? Nie mogliśmy też udać się do Żydów i prosić przełożonego synagogi o schronienie, ponieważ w liczącej tysiąc osób społeczności żydowskiej musiała działać więcej niż jedna synagoga. Poza tym, czy Lea nie powinna wiedzieć, jak wygląda przełożony jej świątyni i znać jego imienia? Rozważając wszystkie te problemy, pograżyłem się w cichej modlitwie. Malachiaszu, musisz nami pokierować!, zażądałem. Ogarniał mnie coraz silniejszy lęk przed wykryciem spisku.

To, że Malachiasz sprowadził mnie tutaj, wcale nie oznaczało, że wszystko pójdzie jak po maśle. Tak jak podczas wizyty w katedrze, uderzyła mnie myśl o zawilej naturze dobra i zła. Tylko Bóg potrafił ponad wszelką wątpliwość odróżnić jedno od drugiego i to Jego słowa stanowiły dla nas, ludzi, jedyny drogowskaz. Tak naprawdę wszystko mogło się zdarzyć. Liczba osób zamieszanych w tę historię martwiła mnie bardziej, niż byłbym skłonny przyznać przed swoimi towarzyszami.

Gdy dotarliśmy do miasteczka, nad którym nisko wisały śnieżne chmury, było już południe. Ogarnęło mnie uczucie tak silnego podniecenia, jak wtedy gdy miałem odebrać komuś życie, jednak tym razem moja misja miała zupełnie inny, bardziej spektakularny charakter. Nigdy wcześniej od powodzenia moich działań nie zależał los tak wielu osób. Kiedy wymordowałem wrogów Alonsa, byłem niemal równie zuchwały, jak Rosa w tej chwili. Dotarło do mnie, że nie kierowała mną wtedy troska o mojego szefa, lecz chęć wymierzenia Bogu kary za to, co przydarzyło się mojej matce i rodzeństwu. Wyrzuty sumienia z powodu tak monstrualnej arogancji dopadły mnie i nie chciały opuścić.

Zanim nasz zaprzężony w dwie pary koni wóz wtoczył się do Norwich, zdążyliśmy dopracować szczegóły planu. Rosa miała leżeć z zamkniętymi oczami w ramionach ojca, trawiona gorączką i chorobą, która rzekomo dopadła ją w podróży. Ja, nie znając nikogo spośród Żydów, zamierzałem zapytać jakiegoś żołnierza, czy możemy zabrać Leę do domu, czy powinniśmy raczej udać się do przełożonego synagogi Meira, o ile zaczepiony mężczyzna będzie wiedział, kto nim jest. Godwin i ja mogliśmy się bowiem przyznać do nieznajomości lokalnej wspólnoty żydowskiej. Wiedzieliśmy, że nasz plan będzie miał o wiele większe szanse powodzenia, jeśli lord Nigel zdążył już przyjechać do Norwich i oczekiwał w zamku na przybycie swego brata.

Liczyliśmy na to, że żołnierze pilnujący Żydów będą dysponowali niezbędnymi nam informacjami.

Z tym, co wydarzyło się później, nie liczyło się żadne z nas.

Promienie słońca z trudem przebijały się przez ciemne chmury, kiedy skręciliśmy w ulicę, przy której stał dom Meira. Wszyscy byliśmy zdumieni widokiem światła w jego oknach.

Pierwsza myśl, jaka przyszła nam do głowy, była taka, że Meir i Fluria zostali uwolnieni z zamku. Czym prędzej zeskoczyłem z wozu i zapukałem do drzwi. Niemal w tej samej chwili z cienia wyłonili się strażnicy. Jeden z nich, bojowo nastawiony mężczyzna, który sprawiał wrażenie wystarczająco silnego, by zmiażdżyć mnie gołymi rękami, oznajmił, że nikomu nie wolno zakłócać spokoju mieszkańców tego domu.

– Przychodzę jako przyjaciel – szepnąłem, jakby nie chcąc zbudzić chorej dziewczynki, i wskazałem na wóz. – Oto Lea, córka Meira i Flurii. Czy nie mógłbym zabrać jej do domu rodziców, póki nie wydobrzeje na tyle, by odwiedzić ich w zamku?

– Wejdz zatem – zgodził się strażnik, dudniąc prawą pięścią w drzwi.

Godwin zsiadł z wozu i zdjął z niego Rosę. Dziewczyna oparła głowę na jego ramieniu, czekając, aż ojciec przełoży drugą rękę pod jej kolanami.

Drzwi się otworzyły i ujrzałem w progu wymizerowaną postać z cienkimi, białymi jak śnieg włosami i wysokim czołem. Mężczyzna miał na sobie długą tunikę oraz gruby czarny szal. Jego dłonie były kościste i blade, a mętny wzrok wlepiony w Godwina i dziewczynkę. Dominikanin zamarł ze zdziwienia.

– Mistrz Eli... – szepnął.

Staruszek odsunął się z przejścia i kierując niewidzący wzrok na strażnika, zaprosił nas gestem do środka.

– Możesz powiedzieć lordowi, że jego brat już przybył – powiedział, a następnie zamknął za nami drzwi.

Zrozumiałem, że mężczyzna jest niewidomy.

Godwin ostrożnie postawił Rosę na ziemi. Ona również zbladła ze zdumienia na widok starca.

– Nie spodziewałam się ujrzeć cię tutaj, dziadku – odezwała się słodkim głosem i ruszyła w jego stronę, lecz mężczyzna zatrzymał ją ruchem dłoni.

Sprawił wrażenie zimnego i obojętnego. Wziął głęboki oddech, jakby usiłował wyczuć zapach wnuczki, a następnie odsunął się z pogardą.

– Mam więc uwierzyć, że jesteś swoją pobożną siostrą? – zapytał. –

Myślisz, że nie wiem, czego zamierzacie się dopuścić? Zaprawdę, jesteście niby dwie krople wody i czy to nie twoje diabelskie listy z Paryża sprawiły, że Lea poszła do kościoła z tymi Aryjczykami? Wiem, kim jesteś. Poznaję twój zapach i głos!

Spodziewałem się, że Rosa wybuchnie płaczem. Schyliła głowę i nawet nie dotykając jej, czułem, że cała drży. Myśl o tym, że przyczyniła się do śmierci siostry, musiała przyjsć Rosie do głowy już wcześniej, lecz teraz uderzyła ją z nieporównywalnie większą siłą.

– Lea – szepnęła. – Moja umiłowana Lea. Straciłam część siebie, której już nigdy nie odzyskam.

Z cienia wyłonił się jeszcze jeden człowiek, tym razem młody i krzepki, z ciemnymi włosami i krzaczastymi brwiami, na którego ramionach również dostrzegłem gruby, chroniący przed zimnem szal. Na jego piersi widniał

wycięty z żółtej tafty symbol dziesięciu przykazań. Nieznajomy stanął plecami do ognia.

– Tak – odezwał się. – Zaiste jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody. Sam nie potrafiłbym was odróżnić, co oznacza, że plan może się powieść.

Godwin i ja skinęliśmy głową w stronę przybysza, wyrażając wdzięczność za okazaną przez niego wiarę.

Dziadek Rosy odwrócił się do nas plecami i ruszył powoli do stojącego przy kominku krzesła. Młodszy mężczyzna spojrzął na staruszkę, podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha. Ten machnął ręką w geście rezygnacji.

Nieznajomy zwrócił się w naszą stronę.

– Musicie działać szybko i przebiegle – powiedział do Godwina i Rosy, najwyraźniej nie wiedząc, jak potraktować mnie. – Czy stojący przed domem wóz jest wystarczająco duży, by pomieścić twoich rodziców i dziadka? Jeśli bowiem wasz fortel się powiedzie, będziecie musieli jak najszybciej opuścić miasteczko.

– Tak, jest dość duży – potwierdził Godwin. – Zgadzam się z tobą, że pośpieszna ucieczka będzie bardzo wskazana, kiedy już zyskamy pewność, że wszystko poszło zgodnie z planem.

– Dopilnuję, by wóz został przestawiony na tyły domu – powiedział

młodszy mężczyzna. – Stamtąd będziecie mogli niepostrzeżenie odjechać.

Przyjrzał mi się uważnie, po czym mówił dalej:

– Wszystkie należące do Meira księgi zostały wywiezione do Oksfordu, a pozostałe wartościowe przedmioty zabrane z tego domu pod osłoną nocy.

Oczywiście wymagało to wręczenia strażnikom kilku łapówek. Powinniście być gotowi do ucieczki, gdy tylko odegracie swoje małe przedstawienie.

– Będziemy – odparłem.

Skłoniwszy głowę, mężczyzna wyszedł z domu frontowymi drzwiami.

Godwin rzucił zrezygnowane spojrzenie najpierw mnie, potem starcowi.

Rosa nie traciła ani chwili.

– Wiesz, w jakim celu tu przybyłam, dziadku. Zrobiłam to po to, by oddalić od mej matki fałszywe oskarżenie, że otruła moją siostrę.

– Nie odzywaj się do mnie – odparł staruszek z wzrokiem utkwionym przed siebie. – Nie przyjechałem tu ze względu na moją córkę, która zgodziła się oddać własne dziecko chrześcijanom. –

Odwrócił się twarzą do ognia, jakby mógł widzieć jego blask. – Ani też ze względu na dzieci, które porzuciły swoją wiarę dla ojca, nie lepszego od byle rzezimieszka.

– Dziadku, błagam, oszczędź mi swego sądu – powiedziała Rosa, po czym uklękła i ucałowała jego lewą dłoń.

Nie poruszył się ani nie dotknął wnuczki.

– Przyjechałem tu – ciągnął – by przekazać pieniądze, co już zresztą uczyniłem, na ratowanie Żydów przed ludźmi owładniętymi szaleństwem po tym, jak twoja siostra bezmyślnie przekroczyła próg ich kościoła.

Przyjechałem tu, by uchronić bezcenne księgi należące do Meira, które mogłyby trafić do ognia podczas zamieszek. Co zaś się tyczy ciebie i twojej matki...

– Czyż Lea nie zapłaciła wystarczająco wysokiej ceny za przekroczenie progu kościoła? – zapytała Rosa. – Moja matka również odpokutowała swoje winy. Czy nie mógłbyś zatem dołączyć do nas i potwierdzić, że jestem tą, za którą się podaję?

– Tak, twoja siostra zapłaciła za to, co zrobiła – przyznał starzec. – Nie mogłem znieść myśli, że niewinni ludzie również będą płacić za jej przewinienia, dlatego tu przyjechałem. Domyśliłbym się planowanej przez was sztuczki, nawet gdyby Meir mi o niej nie powiedział. Nie mogę pojąć, dlaczego wciąż miłuję tego człowieka, choć okazał się tak głupi, by pokochać twoją matkę.

Nagle odwrócił się w stronę klęczącej dziewczynki, jakby usiłował ją zobaczyć.

– Miłuję go, ho jest mi synem, którego nigdy nie miałem – powiedział. –

Kiedyś uważałem córkę i wnuczki za swój największy skarb.

– A zatem pomożesz nam przez wzgląd na Meira i mieszkających w Norwich Żydów – oznajmiła Rosa. – Zgadzasz się?

– Wielu ludzi wie, że Lea ma bliźniaczą siostrę – zauważył chłodno. –

Zbyt wielu, by utrzymać to w sekrecie. Podejmujecie wielkie ryzyko. Żałuję, że nie pozwoliliście nam załatwić wszystkiego przy użyciu złota.

– Nie będę się wypierać faktu posiadania bliźniaczki – odparła Rosa. –

Powiem, że Rosa czeka na mnie w Paryżu, co do pewnego stopnia jest prawdą.

– Napawasz mnie wstętem – szepnął. – Żałuję, że wejrzałem na ciebie, gdy jako dziecię leżałaś w ramionach swej matki. My, Żydzi, cierpimy prześladowania. Mężczyźni i kobiety giną za tę samą wiarę, którą porzuciłaś dla uciechy człowieka nie– mającego prawa nazywać cię swoją córką. Rób, co chcesz, lecz mnie w to nie mieszaj. Pragnę opuścić to miejsce i nigdy więcej nie zamienić słowa ani z tobą, ani z twoją matką. Tak też uczynię, gdy tylko się upewnię, że Żydzi z Norwich są

bezpieczni.

W tym momencie Godwin zbliżył się do starca, skłonił się przed nim i powiedział szeptem: „Mistrzu Eh”, oczekując na zgodę, by mógł przemówić.

– Odebrałeś mi wszystko, co miałem! – Głos nauczyciela brzmiał ostro i głucho, a niewidzący wzrok błędził po twarzy Godwina.

– Czego jeszcze chcesz ode mnie? Twój brat czeka na ciebie w zamku.

Biesiaduje z lordem szeryfem i nadgorliwą lady Margaret, przekonując ją, że Żydzi stanowią cenne mienie. Ach, jakąż ma władzę! – Ponownie odwrócił się do ognia. – Czy to właśnie pieniądze pozwoliły mu...

– Nie, nie one – przerwał mu łagodnie Godwin. – Umiłowany rabi, wlej, proszę, otuchę w serce Rosy, by miała siłę uczynić to, co musi. Gdyby pieniądze mogły załatwić wszystko, nie byłoby jej tu, czyż nie?

Starzec nie odezwał się słowem.

– Nie wiń jej za moje grzechy – ciągnął zakonnik. – W młodości zraniłem wielu ludzi swoją brawurą i lekkomyślnością. Myślałem, że życie przypomina piosenki, które kiedyś śpiewałem, akompaniując sobie na lutni.

Mylilem się i teraz to wiem. Powierzyłem więc swoje życie temu samemu Bogu, którego sam wielbisz. Przez wzgląd na Niego oraz Meira i Flurię błagam, byś przebaczył mi wszystko, w czym ci zawiniłem.

– Skończ już ten wykład, bracie Godwinie! – skwitował starzec ironicznie. – Nie jestem jednym z twoich otumanionych paryskich studentów.

Nigdy nie przebaczę ci tego, że odebrałeś mi Rosę. Cóż mi zostało po śmierci Lei, poza samotnością i smutkiem?

– Nie zgodzę się z tobą – odparł Godwin. – Fluria i Meir wychowają niejednego potomka Izraela, wszak są świeżo poślubieni. Skoro Meir potrafił

przebaczyć Flurii, dlaczego nie możesz uczynić podobnie?

Słyszając to, starzec zapłonął gniewem. Odwrócił się i odepchnął Rosę tą samą ręką, którą trzymała w swojej dłoni i próbowała ponownie pocałować.

Zachwiała się, lecz Godwin chwycił ją i pomógł jej utrzymać równowagę.

– Dałem tysiąc sztuk złota twoim żalonym czarnym braciom –

powiedział starzec, kierując na nich wściekły wzrok i trzęsąc się z gniewu. –

Cóż jeszcze mogę uczynić, poza zachowaniem milczenia? Zabierz dziecię do zamku, niech umizguje się lady Margaret, byle nie przesadziło. Lea była z natury potulna i łagodna, zaś druga z twoich córek to istna Jezebel. Nie zapominaj o tym.

Postąpiłem krok do przodu i powiedziałem:

– Czcigodny rabi, nie znasz mnie, lecz mam na imię Toby i również jestem dominikaninem. Zaprowadzę Rosę i brata Godwina do zamku. Lord szeryf mnie zna i pomoże nam w doprowadzeniu fortelu do końca. Proszę cię jednak, byś przygotował się do ucieczki razem z nami, gdy tylko schronieni w zamku Żydzi odzyskają wolność i znów będą bezpieczni.

– Nie – odparł krótko. – To, że będziecie musieli uciekać po odprawieniu tego nędznego widowiska, jest więcej niż pewne. Ja jednak zostanę, by dopilnować, że reszcie Żydów nic nie grozi. A teraz daj mi spokój.

Wiem, że to ty wpadłeś na pomysł tego oszustwa, a więc zajmij się swoim planem, nie mną.

– Tak, to prawda – przyznałem. – Jeśli więc nasz zamysł się nie powiedzie, należy za to winić mnie. Proszę, przygotuj się do ucieczki.

– Mogę cię jedynie ostrzec – odparł starzec. – Twoi bracia są wściekli, że pojechałeś do Paryża po „Leę”. Chcą uczynić z tej nieroztropnej dziewczuchy świętą. Jeśli coś pójdzie nie tak, czeka cię kara równie sroga jak nas, Żydów.

Będziesz cierpiał za to, czego usiłowałeś dokonać.

– Nie – sprzeciwił się Godwin. – Nikogo nie spotka krzywda, a już na pewno nie tego, który uczynił tak wiele, by nam pomóc. Dalej, bracie Toby, musimy jak najszybciej dotrzeć do zamku. Nie ma czasu, bym mógł

porozmawiać z bratem w cztery oczy. Roso, czy czujesz się przygotowana na to, co cię czeka? Pamiętaj, że ciężko zniosłaś męczącą podróż i jesteś chora.

Otwieraj usta tylko wtedy, gdy lady Margaret cię o coś zapyta, i pamiętaj o milczącym usposobieniu swej siostry.

– Czy zechcesz dać mi swoje błogosławieństwo, dziadku? – zapytała niezrażona jego wcześniejszym zachowaniem Rosa.

Wolałbym, by powstrzymała się przed tym.

– A jeśli nie, czy mogę liczyć na twoje modlitwy?

– Nie licz na nic – odparł. – Jestem tu dla tych, którzy woleliby oddać życie, niż uczynić to co ty.

Odwrócił się do wnuczki plecami. Na jego twarzy malował się wyraz prawdziwej udręki, jaki pojawiłby się u każdego w podobnej sytuacji.

W tym momencie Rosa wydała mi się zaskakująco krucha i delikatna.

Owszem, zapaliła się do odegrania roli swej siostry, lecz wciąż była czternastoletnią dziewczynką, którą czekało nie lada wyzwanie. Zacząłem mieć wątpliwości, czy zaproponowane przeze mnie wyjście z sytuacji było właściwe. Czyżbym popełnił w swym rozumowaniu straszny błąd?

– Skoro więc wszystko zostało wyjaśnione... – zacząłem, spoglądając na Godwina, który czule objął Rosę ramieniem – na nas już czas.

Nagle rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

Usłyszałem głos szeryfa, który oznajmiał obecność swoją i lorda Nigela.

W tej samej chwili do naszych uszu dobiegły płynące z ulicy krzyki oraz odgłos tłuczenia pięściami w ściany domu.

ROZDZIAŁ 15

PROCES

Nie mogliśmy zrobić nic innego, jak tylko otworzyć drzwi. Natychmiast zobaczyliśmy siedzącego na koniu szeryfa w otoczeniu żołnierzy oraz mężczyznę, który musiał być lordem Nigelem, stojącego obok wierzchowca, pośród własnych ludzi. Godwin czym prędzej podszedł do brata i rzucił mu się w ramiona. Ujmując w swe dłonie twarz Nigela, przemówił do niego przyciszonym głosem. Szeryf nie ponaglał ich.

Tymczasem wrogo nastawiony tłum wciąż gęstniał. Niektórzy uzbrojeni byli w pałki. Szeryf rozkazał swoim ludziom odpędzić ich od domu.

Dostrzegłem również dwóch dominikanów i kilku ubranych na biało księży.

Liczba gapiów rosła z minuty na minutę. Kiedy w drzwiach ukazała się Rosa i zdjęła z głowy kaptur, tłum wydał zdumiony okrzyk.

Następnie z domu wyszli jej dziadek oraz krępy Żyd, którego imienia nie znałem. Ten drugi stanął blisko Rosy, jakby miał zamiar ją chronić, poszedłem więc w jego ślady.

Wokół aż huczało od rozmów, w których bezustannie powtarzało się imię „Lea”. Nagle jeden z dominikanów odezwał się spiszonym głosem:

– Czyś jest Leą, czy jej siostrą Rosą?

Szeryf uznał chyba, że nie może zwlekać ani chwili dłużej, i zwrócił się do lorda słowami:

– Mości panie, powinniśmy natychmiast udać się do zamku i doprowadzić tę sprawę do końca. Biskup już tam na nas czeka.

Z tłumu dobiegł głośny jęk rozczarowania. Nigel szybko ucałował Rosę w oba policzki, kazał jednemu ze swoich żołnierzy zsiąść z konia, posadził

Rosę na siodle i ruszył z nią w stronę zamku.

Godwin i ja przez całą drogę trzymaliśmy się blisko siebie: podczas długiego spaceru w stronę stromego wzgórza, wspinając się na nie krętą ścieżką, aż do chwili dotarcia na zamkowe podwórze.

Gdy żołnierze zaczęli zsiadać z koni, pociągnąłem lorda za rękaw, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę.

– Poślij, panie, jednego ze swoich żołnierzy po wóz stojący za domem Meira – poprosiłem. – Dobrze będzie go mieć u wrót zamku, kiedy już Meir i Fluria odzyskają wolność.

Nigel skinął głową, wezwał jednego ze swoich ludzi i wydał mu odpowiedni rozkaz.

– Możesz być pewien – powiedział do mnie – że wyjadą stąd bezpiecznie, pod opieką moją i moich żołnierzy.

Przyjąłem jego słowa z ulgą, towarzyszyło mu bowiem ośmiu uzbrojonych mężczyzn na wspaniałych wierzchowcach, a on sam nie wyglądał

na zaniepokojonego czy przestraszonego. Pomógł Rosie zsiąść z konia, po czym objął ją ramieniem i razem przeszliśmy pod łukowatym sklepieniem do najbardziej reprezentacyjnej sali zamku.

Byłem w niej po raz pierwszy. Natychmiast zorientowałem się, że zwołano tu posiedzenie sądu. Za górującą nad resztą pomieszczenia ławą stał

biskup w otoczeniu księży i dominikanów, w tym ojca Antoine’a. Dostrzegłem również ojca Jerome’a z pobliskiej katedry. Na jego twarzy malował się wyraz smutku i udręki.

Z gardeł zgromadzonych gapiów wyrwały się kolejne okrzyki, gdy Rosa podeszła przed oblicze biskupa i skłoniła się pokornie, podobnie zresztą jak pozostałe osoby, nie wyłączając lorda Nigela.

Biskup, mężczyzna młodszy, niż mogłem przypuszczać, w uszytych z tafty szatach i z mitrą na głowie, natychmiast wydał rozkaz sprowadzenia z wieży Meira, Flurii, Izaaka oraz jego rodziny.

– Przeprowadźcie wszystkich Żydów – zdecydował wreszcie.

Niektórzy podżegacze dostali się do środka, razem z grupą kobiet i dzieci. Ci, którym się to nie udało, wyrażali swoje niezadowolenie tak głośno, że biskup wysłał jednego z żołnierzy, by ich uciszył. Dopiero wtedy zorientowałem się, że rząd uzbrojonych strażników za plecami biskupa to jego ludzie. Nie mogłem opanować drżenia, więc spróbowałem je przynajmniej ukryć.

W jednym z bocznych przejść pojawiła się lady Margaret, ubrana na tę okazję w suknię z najdelikatniejszego jedwabiu, razem ze swą zapłakaną córką Eleanor. Prawdę powiedziawszy, lady Margaret sama była bliska łez.

Kiedy więc Rosa zrzuciła kaptur i pokłoniła się biskupowi, w sali podniosła się wrzawa.

– Cisza! – rozkazał biskup.

Byłem przerażony. Nigdy wcześniej nie widziałem niczego równie imponującego jak ten sąd, zgromadzony przed tak liczną publicznością.

Mogłem tylko mieć nadzieję, że służące różnym panom oddziały żołnierzy będą potrafiły zachować porządek w czasie obrad.

Biskup wyglądał na wściekłego. Rosa stała przed nim, mając Godwina po jednej, a lorda Nigela po drugiej stronie.

– Widzisz oto, mości panie – odezwał się ten ostatni – że dziecię powróciło całe i zdrowe, choć nie bez problemów związanych z jego wcześniejszą chorobą, by stanąć przed twym obliczem.

Biskup jako jedyny usiadł na swym wielkim krześle z majestatycznie wysokim oparciem.

Nacierający tłum, który zdołał się wedrzeć do środka, popchnął nas do przodu.

Lady Margaret i Nell przyglądały się Rosie, która zalała się rzewnymi łzami i oparła głowę na ramieniu Godwina.

Lady Margaret podeszła bliżej i ująwszy delikatnie dłoń dziewczynki, zapytała:

– Czy naprawdę jesteś dzieckiem, które tak szczerze umiłowalam? Czy tylko jego bliźniaczą siostrą?

– Jaśnie pani – odparła Rosa – wróciłam do domu, zostawiwszy moją bliźniaczą siostrę w Paryżu, po to tylko, by udowodnić wam, że nie umarłam.

– Z jej gardła wyrwał się szloch. – Jestem wielce strapiona, że moja ucieczka spowodowała na rodziców tak liczne cierpienia. Czyż nie rozumiecie, dlaczego wyjechałam pod osłoną nocy? Pragnęłam dołączyć do mej siostry, nie tylko w Paryżu, lecz także w chrześcijańskiej wierze, nie okrywając hańbą imienia swoich rodziców.

Ostatnie słowa wypowiedziała z takim uczuciem, że lady Margaret zamilkła.

– Przysięgasz więc – dźwięczny głos biskupa wzniósł się ponad tłumem

– że jesteś dziecięciem, znanym mieszkańcom tego miasteczka, a nie bliźniaczą siostrą, która przybyła tu, by zamaskować zamordowanie Lei?

Wśród zebranych nastąpiło wielkie poruszenie.

– Mości biskupie – wtrącił lord Nigel – czyż nie znam dwojga dzieci, nad którymi sprawuję opiekę? Oto Lea, która po raz kolejny zachorowała wskutek trudów długiej podróży.

Uwagę wszystkich odwróciło wprowadzenie na salę przetrzymywanych w wieży Żydów. Meir i Fluria weszli jako pierwsi, za nimi pojawił się Izaak, doktor, oraz pozostali, z żółtymi znakami na piersiach, i zbili się w ciasną gromadę. Rosa natychmiast wyrwała się spod ramienia lorda i podbiegła do matki. Uścisnęła ją ze łzami w oczach i przemówiła dostatecznie głośno, by wszyscy ją usłyszeli:

– Przysporzyłam ci wstydu oraz niewysłowionego cierpienia, i przepraszam cię za to. Moja siostra i ja miłujemy cię ponad życie, niezależnie od przyjętego przez nas chrztu w wierze chrześcijańskiej. Czyż mogę liczyć na przebaczenie twoje i Meira?

Nie czekając na odpowiedź, uścisnęła swojego ojczyrna, który odwzajemnił się jej pocałunkiem. Wyraz strachu i niechęci na jego bladej twarzy świadczył jednak o wstręcie odczuwanym wobec oszustwa, w które został wciągnięty.

Lady Margaret zmierzyła Rosę zimnym spojrzeniem i odwróciwszy się w stronę córki, szepnęła jej coś do ucha. Nie zważając na to, że Rosa wciąż tkwiła w matczynych objęciach, mała Nell zbliżyła się do niej i zapytała:

– Dlaczego nie przesłałaś nam żadnej wiadomości, że przygotowujesz się do przyjęcia chrztu, Leo?

– Jakże mogłam to uczynić? – odparła Rosa, po której twarzy nieprzerwanym strumieniem ciekły łzy.
– Cóż miałam wam powiedzieć?

Rozumiecie na pewno, że moja decyzja złamała serce naszym rodzicom. Jakiż mieli wybór, poza wezwaniem żołnierzy lorda Nigela, którzy zawieźli mnie do Paryża, do mej siostry? Nie mogłam dopuścić, by wieść o zdradzie naszych ukochanych rodziców rozeszła się pośród wszystkich Żydów.

W dalszym ciągu mówiła z tak wielkim przejęciem, roniąc gorzkie łzy, że nikt nie zwrócił uwagi na brak imion konkretnych Żydów w jej opowieści.

Rosa przez dłuższą chwilę błagała zebraną publiczność o zrozumienie tego, jak się wówczas czuła.

– Gdyby nie widok pięknej bożonarodzeniowej szopki – powiedziała nagle, nie zważając na ryzyko – nie pojęłabym, dlaczego moja siostra Rosa nawróciła się na chrześcijaństwo. Ujrzałam ją jednak, pojęłam przyczyny postępowania mej siostry i, gdy tylko poczułam się lepiej, pojechałam do niej.

Nie spodziewałam się, że ktoś oskarży naszą matkę i ojca o to, że wyrządzili mi krzywdę.

Teraz to córka lady Margaret musiała się bronić.

– Uwierz nam, myśleliśmy, że jesteś martwa – wyjaśniła.

Nim zdążyła dodać coś jeszcze, Rosa ponownie przystąpiła do ataku:

– Jak mogliście zwątpić w dobroć moich rodzi ów? Wy, którzy odwiedzaliście nasz dom, jak mogliście ich podejrzewać, że mogli mnie skrzywdzić?

Lady Margaret i Nell kręciły głowami, mamrocząc pod nosem, że robiły tylko to, co uważały za słuszne, i nikt nie powinien ich za to potępiać.

Jak na razie wszystko układało się pomyślnie. Wtedy jednak odezwał się ojciec Antoine, tak głośno, że jego głos odbił się echem od ścian:

– Pięknie odegrane przedstawienie – powiedział. – Wszyscy jednak wiemy, że Fluria, córka uczonego, który przybył dziś do miasteczka, urodziła bliźniaczki. Te zaś nie stawily się w zamku obie, by oczyścić matkę z zarzutów.

Skąd mamy wiedzieć, że jesteś Leą, a nie Rosą?

Pytanie wywołało kolejną lawinę szeptów.

– Ojczy – zwróciła się do księdza. – Czy Rosa, ochrzczona chrześcijanka, przyjechałaby tu bronić swych rodziców, gdyby odebrali życie jej siostrze?

Musisz mi uwierzyć, że oto stoję przed tobą ja, Lea, i pragnę jedynie wrócić do Paryża, do mej siostry, razem z naszym opiekunem, lordem Nigelem.

– Skąd mamy wiedzieć, że mówisz prawdę? – drażył biskup. – Czyż bliźniaczki nie były identyczne? – Wykonał dłonią gest, przywołując do siebie Rosę.

Sala napełniła się chórem gniewnych, wzburzonych głosów. Nic jednak nie zaniepokoiło mnie tak bardzo, jak wyraz twarzy lady Margaret, która zbliżyła się do Rosy i zaczęła się jej podejrzliwie przyglądać.

Rosa ponownie zaczęła przekonywać biskupa, że jest gotowa przysiąc na Biblię, iż to ona jest Leą. Gdyby wiedziała, jak wielką nieufność okazał jej dawni przyjaciele, wówczas przyjechałaby do Norwich razem ze swoją siostrą.

Niespodziewanie dla wszystkich rozległ się krzyk lady Margaret:

– Nie! To dziecko nie jest Leą, lecz jej bliźniaczą siostrą. Różni je serce i charakter.

Jej słowa dołały oliwy do ognia. Słyszając padające ze wszystkich stron wściekłe okrzyki, spodziewałem się natychmiastowego wybuchu zamieszek.

Biskup uciszył tłum i rozkazał:

– Przynieście Biblię dla dziecięcia oraz świętą księgę Żydów dla matki, by mogła przysiąc, że to jej córka Lea.

Rosa i Fluria natychmiast wymieniły przerażone spojrzenia. Rosa ponownie zalała się łzami i rzuciła się matce w ramiona. Fluria wyglądała na wyczerpaną uwięzieniem w wieży. Była słaba i niezdolna do żadnego działania.

Rozkaz biskupa został bardzo szybko wykonany, choć nie potrafiłem stwierdzić, co uznano za „świętą księgę Żydów”. Następnie Meir i Fluria wymamrotali kłamstwo, którego od nich oczekiwano. Rosa ujęła potężny, oprawiony w skórę egzemplarz Biblii, położyła na nim dłoń i głosem stłumionym i drżącym z emocji powiedziała:

– Przysięgam na wszystko, w co wierzę jako chrześcijanka, że jestem Leą, córką Flurii, podopieczną lorda Nigela, przybyłam tu, by oczyścić imię mej matki. Pragnę tylko jednego: by pozwolono mi opuścić to miejsce ze świadomością, że moi żydowscy rodzice są bezpieczni i nie będą musieli ponosić żadnych konsekwencji mego odstąpienia od wiary.

– Nie! – wykrzyknęła lady Margaret. – Lea nigdy, w całym swoim życiu nie przemawiała z podobną łatwością. W porównaniu z tym dziewczęciem była niemową. Powiadam wam, że oto padamy ofiarą oszustwa. To dziecko jest współwinne morderstwa swojej siostry.

W tym momencie lord Nigel stracił panowanie nad sobą i krzyknął głośniejszym niż ktokolwiek z obecnych na sali, z wyjątkiem biskupa.

– Jak śmiesz podważać prawdziwość moich słów!? – zapytał oburzony, po czym utkwił spojrzenie w twarzy biskupa. – A ty, jak śmiesz wątpić, gdy mówię, że jestem opiekunem w wierze obu tych dziewczynek, których edukacją zajmuje się mój brat?

Godwin postąpił krok do przodu.

– Lordzie biskupie, nie pozwól, proszę, by sprawy zaszły za daleko.

Zwróć tym Żydom wolność. Czy nie pojmujesz ogromu bólu rodziców, którzy patrzyli, jak obie ich córki przyjmują wiarę chrześcijańską? Choć nauczanie tych dzieci jest dla mnie zaszczytem i z całego serca miłuję je czystą, chrześcijańską miłością, mogę tylko współczuć opuszczonym przez nie rodzicom.

Zapadła cisza, jeśli nie liczyć gorączkowego mamrotania gapiów, którzy coraz bardziej zacieśniali krąg wokół stron procesu, jakby zamiast niego w sali toczono bitwę na szeptach. Wszystko zależało od lady Margaret i tego, co jeszcze miała do powiedzenia. I właśnie w chwili, gdy zamierzała zaprotestować, wyciągając oskarżycielsko palec w stronę Rosy, z tłumu wystąpił siwowłosy Eli, ojciec Flurii.

– Domagam się, by mnie wysłuchano – zażądał.

Bąłem się, że Godwin wyzionie ducha ze strachu. Fluria osunęła się w ramiona Meira.

Starzec zażądał, by wszyscy zamilkli. Z pomocą Rosy postąpił kilka kroków, aż znalazł się twarzą w twarz z lady Margaret, stojąc u boku wnuczki.

– Lady Margaret, która uważasz się za przyjaciółkę mej córki Flurii i jej dobrego męża Meira, jak śmiesz podważać trzeźwość osądu i jasność umysłu dziadka Lei? Oto jest moja wnuczka i poznałbym ją, niezależnie od tego, ile bliźniaczo podobnych do niej dziewcząt chodziłoby po świecie. Czy

zechciałbym przytulić do piersi apostatkę? Nie, nigdy, lecz to jest Lea, którą poznałbym, nawet gdyby do tej sali weszło tysiąc Ros i podawało się za nią.

Znam jej głos. Znam ją lepiej niż którakolwiek z obdarzonych wzrokiem osób.

Czyżbyś śmiała podwazać moją uczciwość, mój honor?

Wyciągnął ramiona w stronę Rosy, która natychmiast padła mu w objęcia. Starzec mocno przycisnął wnuczkę do piersi.

– Lea – wyszeptał. – Moja umiłowana Lea.

– Ależ ja tylko chciałam... – zaczęła lady Margaret.

– Prosiłem o ciszę – przerwał jej Eli głębokim głosem, tak aby wszyscy zebrani w ogromnej sali dobrze go usłyszeli. – Oto jest Lea. Ja, który przez całe życie stałem na czele żydowskich synagog, poświadczam to. Poświadczam własnym słowem. Tak, moje wnuczki są apostatkami i wcześniej czy później będą musiały zostać ekskomunikowane. Myśl o tym przepelnia mnie goryczą, nie tak wielką jednak, jak upór chrześcijanki, z której winy to dziecię odwróciło się od swojej wiary. Gdyby nie ty, Lea nigdy nie opuściłaby swych bogobojnych rodziców!

– Ja zrobiłam tylko to, co...

– Pozbawiłaś tę rodzinę duszy – oznajmił. – A teraz jeszcze oskarżasz dziecko, które pokonało długą drogę, by ocalić swą matkę? Nie masz serca, pani. A jaką rolę w tym wszystkim odgrywa twoja córka? Wzywam cię, byś udowodniła, że nie masz przed sobą dziecięcia, które wcześniej znałaś.

Wzywam cię, byś przedstawiła choć jeden dowód poświadczający, że to nie jest Lea, córka Flurii!

Tłum ryknął entuzjastycznie. Ludzie zaczęli wymieniać między sobą uwagi w rodzaju: „Stary Żyd słusznie prawi”, „Niechże udowodnią jej, że mówi nieprawdę”, „Poznał wnuczkę po głosie”. Z oczu lady Margaret popłynął

strumień łez, lecz były one niczym w porównaniu z tymi, które wylała Rosa.

– Nie chciałam nikogo skrzywdzić! – zawyła lady Margaret, wyciągając ramiona w stronę biskupa. – Byłam pewna, że dziecię jest martwe, a ja ponoszę winę za jego śmierć.

Rosa zwróciła się do niej zdecydowanym i spokojnym głosem:

– Pani, uspokój się, błagam.

Tłum ucichł, czekając na jej dalsze słowa, a biskup upomniał nerwowo księży, którzy zaczęli się między sobą kłócić. Ojciec Antoine przyglądał się temu z niedowierzaniem. Rosa kontynuowała:

– Lady Margaret, gdyby nie okazana mi przez ciebie dobroć –

przemawiała czule, łamiącym się głosem – nigdy nie przyłączyłabym się do mojej siostry w jej nowej wierze. Nie mogłaś wiedzieć, że to list od niej był

główną przyczyną, dla której wybrałam się na pasterkę, lecz ty utwierdziłaś mnie w słuszności tego zamiaru. Z całego serca błagam cię o przebaczenie, że nie napisałam listu wyrażającego mią wdzięczność. Jednak miłość do matki...

Czy nie rozumiesz? Błagam cię...

Lady Margaret nie wytrzymała. Chwyciła Rosę w ramiona i zaczęła powtarzać, jak bardzo jej przykro z powodu kłopotów, które ściągnęła na ich rodzinę.

– Lordzie biskupie – odezwał się Eli, zwracając swe ślepe oczy w stronę trybunału – pozwól nam wrócić do swych domostw. Fluria i Meir z wiadomych względów opuszczą tę żydowską wspólnotę, lecz przecież nie dopuścili się morderstwa. Apostazją tych dzieci zajmiemy się we właściwym czasie, gdy osiągną dojrzałość.

Lady Margaret i Rosa wciąż się obejmowały, łkając i szepcząc do siebie.

Mała Eleanor dołączyła do nich.

Fluria i Meir obserwowali wszystko w milczeniu, razem z doktorem Izaakiem oraz pozostałymi Żydami, być może członkami jego rodziny, których przetrzymywano w wieży. Biskup zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie uniósł w górę ręce, w geście rezygnacji.

– Niech tak będzie. A zatem postanowione: oto rozpoznaliście w tym dziecięciu Leę.

Lady Margaret przytaknęła gorliwie.

– Proszę cię tylko o jedno – zwróciła się do Rosy – byś przebaczyła mi ból, jaki sprawiłam twojej matce.

– Przebaczam ci z całego serca – powiedziała Rosa i dodała jeszcze kilka słów, które utonęły w ogólnej wrzawie.

Biskup ogłosił zakończenie procesu. Dominikanie w dalszym ciągu nie mogli otrząsnąć się ze zdumienia. Lord Nigel natychmiast dał swoim żołnierzom rozkaz, by wsiedli na konie, i nie czekając na reakcję żadnej z obecnej na sali osób, skinął na Meira i Flurię, by udali się za nimi. Ja sam stałem nieruchomo jak słup soli, obserwując to wszystko. Widziałem, jak dominikanie rozglądają się po sali chłodnym wzrokiem. Meir i Fluria zostali wyprowadzeni z zamku razem ze starcem, a za nimi również Rosa obejmująca ramionami lady Margaret i małą Eleanor. Wszystkie trzy łkały. Wyjrawszy przez bramę, zobaczyłem, jak cała rodzina, w tym również mistrz Eli, wsiada na wóz. Rosa po raz ostatni uścisnęła lady Margaret. Pozostali Żydzi zaczęli schodzić w dół wzgórza w asyście konnych żołnierzy. Kiedy Godwin potrząsnął

moim ramieniem, poczułem się jak przebudzony ze snu.

– Chodźmy, zanim zmienią zdanie.

Potrząsnąłem głową.

– Ty idź – powiedziałem. – Ja zostanę tutaj. Muszę tu być, na wypadek jakichś problemów.

Próbował protestować, ale przypomniałem mu, że powinien jak najszybciej wsiąść na wóz i odjechać razem ze wszystkimi.

Biskup wstał ze swojego miejsca i zniknął w jednym z bocznych przejść razem z ubranymi w biel księżmi z katedry.

Rozbity na grupki tłum przyglądał się bezsilnie sunącemu w dół zbocza wozowi, po którego obu stronach jechali żołnierze lorda. On sam trzymał się nieco z tyłu. Widziałem jego dumnie wyprostowaną sylwetkę i odchylony lewy łokieć, wskazujący, że dłoń Nigela spoczywała na rękojeści miecza.

Odwróciłem się i wyszedłem z dziedzińca.

Tłum zwlekających z opuszczeniem zamku gapiów przyglądał się grupie dominikanów, którzy za mną ruszyli. Schodziłem ze wzgórza, z każdą chwilą przyspieszając. Przed sobą widziałem oddalających się bezpiecznie Żydów i nabierający prędkości wóz. Nagle konie puściły się kłusem. Do opuszczenia miasteczka brakowało im ledwie kilku minut. Zacząłem iść jeszcze szybciej. W

oddali zobaczyłem katedrę i pchany jakimś instynktem, postanowiłem tam właśnie skierować swoje kroki. Niestety dominikanie w dalszym ciągu deptali mi po piętach.

– A dokąd to się wybierasz, bracie Toby? – zapytał ojciec Antoine gniewnym głosem.

Nie zatrzymałem się, nawet gdy położył mi dłoń na ramieniu.

– Do katedry, żeby złożyć Bogu dziękczynienie, a gdzieżby indziej.

Szedłem, najszybciej jak potrafiłem, nie biegnąc, lecz nagle zostałem otoczony z obu stron nie tylko przez zakonników, lecz także przez bandę osiłeków przyglądających mi się z żywym zaciekawieniem i podejrzliwością.

– Wydaje ci się, że znajdziesz tam schronienie! – wykrzyknął ojciec Antoine. – Mam na ten temat inne zdanie.

Gdy dotarliśmy do podnóża wzniesienia, popchnął mnie i oskarżycielsko wycelował palec w moją stronę.

– Kimże jesteś, bracie Toby? Ty, który przybyłeś do Norwich, by podważyć nasz autorytet, i przywiozłeś z Paryża dziecko, które wcale nie musi być tym, za kogo się podaje!

– Słyszałeś werdykt biskupa.

– Tak, i zamierzam się do niego stosować, lecz żądam odpowiedzi na pytanie, kim jesteś i skąd się tu wzięłeś?

Widziałem już wyraźnie sylwetkę katedry i tym spieszniej ruszyłem w jej kierunku. Ojciec Antoine usiłował mnie zatrzymać, lecz zdołałem mu się wyrwać.

– Żaden z nas o tobie nie słyszał – odezwał się któryś z mnichów. – Ani jeden spośród braci z klasztoru w Paryżu, Rzymie czy Londynie. Napisaliśmy do wszystkich tych miast i wiemy, że nie jesteś jednym z nas.

– Ani jeden z braci – powtórzył ojciec Antoine – nie słyszał o żadnym wędrownym uczonym, takim jak ty!

Słyszac za plecami dudnienie kroków moich prześladowców, nie zatrzymałem się ani na chwilę. Odciągam ich od Flurii i Meira, jakbym był

szczurołapem z Hameln. Udało mi się dojść pod samą katedrę, gdy nagle dwóch duchownych złapało mnie za ramiona.

– Nie wejdiesz do kościoła, dopóki nie odpowiesz na nasze pytania. Nie jesteś jednym z nas. Kto przysłał cię tutaj, byś udawał, że jest inaczej!? Kto wysłał cię do Paryża po dziewczynkę twierdzącą, że jest swoją własną siostrą!?

Wokół siebie widziałem tłum złożony z młodych, silnych mężczyzn oraz

– po raz kolejny – kobiet i dzieci, trzymających w rękach pochodnie, by rozproszyć mrok późnego zimowego popołudnia. Spróbowałem się wymknąć, co tylko rozjuszyło ciżbę. Ktoś zerwał mi z ramienia skórzaną torbę.

– Zobaczmy, czyje listy polecające w niej nosisz – powiedział jeden z księży, opróżniając torbę, z której wypadły tylko złote i srebrne monety.

Tłum wydał z siebie gniewny pomruk.

– Żadnych wyjaśnień? – naciskał ojciec Antoine. – Przyznajesz więc, żeś jest zwykłym oszustem? Czyżbyśmy przez cały czas podejrzewali niewłaściwą osobę o podszywanie się pod kogoś innego? Czy tak właśnie było? Żaden z ciebie dominikanin!

Szarpnąłem się wściekle i odepchnąłem go, po czym odwróciłem się w stronę wrót katedry. Zrobiłem nawet pierwszy krok, gdy nagle jeden z młodych osiłeków unieruchomił mnie w żelaznym uścisku i rzucił z powrotem o kamienny mur kościoła. Przez chwilę ogarnęła mnie całkowita ciemność.

Gdyby tylko mogła trwać wiecznie! Nie mogłem jednak o to prosić.

Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem jak duchowni starają się powstrzymać nacierający na mnie rozwścieczony tłum. Ojciec Antoine krzyczał, że to jest ich sprawa, którą sami się zajmą, jednak

zgrupowani przed kościołem ludzie nic sobie z tego nie robili. Targali za opończę tak długo, aż ją ze mnie zdarli. Ktoś pociągnął moje ramię tak silnie, że poczułem płynącą przez nie falę bólu. Raz jeszcze zostałem popchnięty na ścianę. Tłum pojawiał się i znikał, jakby w przebłyskach świadomości, którą raz po raz traciłem. Nagle przed moimi oczami zaczął się materializować straszny widok.

Duchowni zostali teraz zepchnięci na bok. Otaczali mnie tylko najsilniejsi młodzi mężczyźni i najbardziej bojowo nastawione kobiety.

– Nie ksiądz, nie zakonnik i nie brat. Oszust! – krzyczano ze wszystkich stron.

Kiedy tak mnie bili, kopali i odzierali z szat, dostrzegłem w falującym tłumie jakieś inne, dobrze mi znane postacie: ludzi, których zamordowałem.

Najbliżej mnie, spowity ciszą, jakby go tam wcale nie było, niewidzialny dla awanturników wyładowujących na mnie swoją wściekłość, stał mężczyzna, którego zabiłem ostatnio w Mission Inn, a obok niego dostrzegłem młodą dziewczynę o blond włosach, zastrzeloną wiele lat temu w burdelu Alonsa. W

ich oczach nie było śladu potępienia, satysfakcji, lecz wyraz smutku i niedowierzania.

Ktoś chwycił moją głowę i zaczął nią uderzać o mur. Czulem krew spływającą mi po karku i plecach. Przez moment niczego nie widziałem.

Przypomniałem sobie pytanie skierowane do Malachiasza, na które nigdy nie udzielił mi odpowiedzi: Czy mogę umrzeć w tym odległym czasie? Czy coś takiego jest w ogóle możliwe? Nie wezwałem go jednak. Kiedy osuwałem się na ziemię pod gradem ciosów i kopniaków wymierzonych w żebra i brzuch, czując, jak ulatuje ze mnie życie, wzrok całkowicie odmawia mi posłuszeństwa, a głowę i kończyny paraliżuje ból, wypowiedziałem tylko jedną modlitwę:

– Dobry Boże, wybacz mi, że się od Ciebie odwróciłem.

ROZDZIAŁ 16

DOŚĆ CZASU I ŚWIATA

Śniąc, po raz kolejny usłyszałem śpiew brzmiący niczym dźwięk dzwonu, który milknął, w miarę jak dochodziłem do siebie. Gwiazdy gasły jedna po drugiej, a przepastna czerń nieba stawała się coraz bledsza.

Ostrożnie otworzyłem oczy. Nie czulem bólu. Leżałem na łożu z baldachimem w hotelu Mission Inn, otoczony znajomymi sprzętami.

Wlepiłem wzrok w wiszący nade mną jedwabny materiał i dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, zmusiłem się, by zrozumieć, że wróciłem do własnych czasów, a ból jakby wyparował z mojego ciała. Powoli usiadłem.

– Malachiaszu? – zawołałem.

Żadnej odpowiedzi.

– Malachiaszu, gdzie jesteś?

Znów cisza.

Czułem, że lada chwila coś we mnie pęknie, i byłem tym przerażony.

Wyszeptałem jego imię raz jeszcze, lecz brak odpowiedzi wcale mnie nie zaskoczył. Jednego byłem pewien: Meir, Fluria, Eli, Rosa, Godwin i lord Nigel bezpiecznie opuścili Norwich. Wiedziałem o tym. Gdzieś w głębi mojego skołowanego umysłu tkwił obraz otoczonego przez żołnierzy wozu – z dala od całego zamieszania – zmierzającego do Londynu. Ta wizja wydawała mi się równie rzeczywista, jak każdy element wystroju tego pokoju, o którym wiedziałem, że na pewno istnieje.

Spojrzałem na siebie. Nie wyglądałem najlepiej, lecz miałem na sobie marynarkę, kamizelkę i spodnie koloru khaki oraz białą, rozpiętą pod szyją koszulę, czyli swoje zwykłe ubranie. Sięgnąłem do kieszeni i znalazłem w niej dowód tożsamości, którego użyłem, by zameldować się w hotelu. Rzecz jasna, nie był on wystawiony na nazwisko Toby O'Dare, lecz to, którego używałem, poruszając się po mieście bez przebrania. Wsunąłem prawo jazdy z powrotem do kieszeni, zwlokłem się z łóżka, poszedłem do łazienki i spojrzałem w lustro.

Nie dostrzegłem żadnych siniaków czy zadrapań.

Odniosłem jednak wrażenie, że po raz pierwszy od wielu lat naprawdę patrzyłem na swoją twarz. Zobaczyłem Toby'ego O'Dare, lat dwadzieścia osiem, odwzajemniającego swoje własne spojrzenie. Dlaczego spodziewałem się zobaczyć siniaki i zadrapania? Prawdę powiedziawszy, nie mogłem uwierzyć, że nie jestem martwy i udało mi się przeżyć to, co zdawało się w pełni zasłużoną śmiercią pod drzwiami katedry. Gdyby świat wokół mnie nie wydawał się równie rzeczywisty, jak tamten jego wymiar, pomyślałbym, że śnię.

Obszedłem pokój, w dalszym ciągu nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. Zobaczyłem swoją skórzaną torbę i dopiero teraz zauważyłem jej podobieństwo do tej, którą miałem z sobą przez cały czas, jaki spędziłem w trzynastym wieku. Laptop, używany przeze mnie wyłącznie do wyszukiwania informacji, również leżał na swoim miejscu. Jak te rzeczy się tutaj znalazły? W

jaki sposób ja się tutaj dostałem? Działający, podłączony do prądu laptop Macintosha wyglądał tak jak zawsze, gdy kończyłem na nim pracę.

Po raz pierwszy pomyślałem, że wszystko, co mi się przytrafiło, było snem, wytworem mojej wyobraźni. Sęk w tym, że nie potrafiłbym sobie wyobrazić niczego podobnego, ani Flurii, ani Godwina czy żydowskiego starca, który przechylił szalę zwycięstwa w procesie na ich stronę.

Otworzyłem drzwi i wyszedłem na wyłożony płytkami taras. Niebo nade mną było przejrzyste błękitne, a ciepłe słoneczne promienie pieściły moją skórę. Po kilku tygodniach ciągłej szarugi i zimna poczułem się absolutnie cudownie. Usiadłem przy żelaznym stole i poczułem na ciele

orzeźwiająca bryzę, chroniącą przed upałem, tak charakterystyczną dla południowej Kalifornii. Oparłem łokcie o stół, ująłem głowę w dłonie i rozplakałem się.

Plakałem tak, że z mojego gardła wyrwał się szloch. Odczuwany przeze mnie ból był tak silny, że nie potrafiłbym go opisać, nawet samemu sobie.

Wiedziałem, że mijają mnie ludzie, ale nie dbałem o to, co zobaczyli czy poczuli. W pewnej chwili podeszła do mnie jakaś kobieta i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Czy mogę panu jakoś pomóc? – szepnęła.

– Nie – odparłem. – Nikt nie może. Wszystko skończone.

Podziękowałem, uściśnąłem jej dłoń i powiedziałem, że jest bardzo miła.

W odpowiedzi uśmiechnęła się, skinęła głową i dołączyła do pozostałych turystów zmierzających w kierunku schodów rotundy.

Sprawdziłem kieszeń, znalazłem w niej kwit parkingowy, po czym zszedłem na dół, minąłem korytarz i wyjście z hotelu, wręczyłem kwit oraz banknot dwudziestodolarowy parkingowemu i stałem tam, oszołomiony, jakbym patrzył na wszystko po raz pierwszy: campanario z jego dzwonami, rosnące wzdłuż ścieżek cynie i strzeliste palmy sięgające prawie do samego nieba.

Parkingowy zbliżył się do mnie.

– Czy wszystko w porządku, proszę pana? – zapytał.

Kiedy otarłem nos, zorientowałem się, że nadal płaczę.

Wyciągnąłem z kieszeni lnianą chusteczkę i otarłem łzy.

– Tak, już dobrze – powiedziałem. – Po prostu straciłem naraz wielu przyjaciół – wyjaśniłem – na których i tak nie zasługiwałem.

Chłopak nie wiedział, co odpowiedzieć, i nie miałem o to do niego żalu.

Usiadłem za kierownicą i pojechałem w stronę San Juan Capistrano, tak szybko, jak tylko mogłem, nie zagrażając nikomu na drodze.

Wydarzenia ostatnich tygodni przewijały się przez mój umysł niczym wielka wstążka. Nie zwracałem uwagi na mijane wzgórza czy znaki drogowe.

W głębi serca wciąż tkwiłem w przeszłości, a w chwili obecnej prowadziłem samochód na wycucie.

Kiedy wjechałem na teren misji, rozejrzałem się pełen nadziei i raz jeszcze szepnąłem: Malachiaszu. Nie doczekałem się odpowiedzi ani nikogo, kto choć trochę by go przypominał. Widziałem tylko

rodziny z dziećmi, spacerując wokół kwiatowych rabat.

Swoje kroki skierowałem prosto do Serra Chapel. Szczęśliwie w kaplicy było niewielu turystów, którzy i tak wydawali się całkowicie pochłonięci modlitwą. Poszedłem w stronę ołtarza, przyglądając się płonącemu obok tabernakulum światłu. Z całego serca zapragnąłem paść krzyżem na podłogę i modlić się, lecz wiedziałem, że taki gest niepotrzebnie zwróci na mnie uwagę.

Jedyne, co mogłem zrobić, to uklęknąć w pierwszej ławce i zwrócić się do Boga tymi samymi słowami, które wypowiedziałem, gdy rzucił się na mnie rozwścieczony tłum.

– Dobry Boże – modliłem się. – Nie potrafię stwierdzić, czy to był sen, czy jawa. Wiem tylko, że od tej chwili jestem Twój i nie pragnę niczego więcej.

Podniosłem się z klęczek, usiadłem i przez następną godzinę płakałem bezgłośnie, by nie przeszkadzać innym. Kiedy któryś z wiernych zbliżał się do mnie, spuszczałem głowę i zamykałem oczy, czekając, aż skończy modlitwę lub zapali świecę w swojej intencji.

Kiedy patrzyłem na tabernakulum, oczyszczając umysł, wiele myśli krążyło mi po głowie. Najbardziej druzgocząca była ta dotycząca mojej samotności. Bezpowrotnie utraciłem wszystkie osoby, które znałem i kochałem całym sercem. Byłem pewien, że nigdy już nie zobaczę Godwina czy Rosy ani Flurii i Meira. Wiedziałem, że do końca życia nie ujrzę jedynych ludzi, których naprawdę poznałem i pokochałem. Straciłem ich na zawsze –

dzieliły nas stulecia, a ja nic nie mogłem na to poradzić. Im dłużej zastanawiałem się nad tym wszystkim, tym większa ogarniała mnie wątpliwość, czy kiedykolwiek ujrzę Malachiasza.

Nie mam pojęcia, ile czasu tam spędziłem. W pewnej chwili zdałem sobie sprawę z tego, że dzień zamienił się w wieczór.

Bez końca powtarzałem Bogu, jak bardzo żałuję wszystkich swoich grzechów i że niezależnie od tego, czy to anioły zesłały na mnie wizję, bym przejrzał na oczy, czy naprawdę byłem w średniowiecznym Norwich i Paryżu, nie zasłużyłem na miłosierdzie, które mi okazał. Wreszcie wyszedłem z kościoła i wróciłem do Mission Inn.

Do tego czasu na dworze zrobiło się ciemno. Wiosną zmierzch zapadał

dość wcześnie. Wszedłem do apartamentu dla nowożeńców i połączyłem się z internetem. Bez trudu znalazłem zdjęcia Norwich, przedstawiające zamek i katedrę, które wyglądały zupełnie inaczej, niż zapamiętałem. Katedra została znacznie rozbudowana od czasu mojej wizyty.

Wpisałem w wyszukiwarkę internetową hasło: „Żydzi z Norwich” i z niejasnym uczuciem lęku przeczytałem w całości okropną historię męczeństwa świętego Williama. Nagle, drżącymi z emocji dłońmi, wystukałem słowa: Meir z Norwich. Ku mojemu zdumieniu znalazłem więcej niż jeden tekst na jego temat. Meir, poeta z Norwich, istniał naprawdę. Wpatrywałem się w monitor jak skamieniały. Przez dłuższą chwilę nie byłem zdolny ruszyć palcem. Później uważnie przeczytałem artykuły. Dowiedziałem się z nich, że tożsamość tego człowieka poznano wyłącznie dzięki

manuskryptowi napisanych po hebrajsku wierszy, zawierających jego imię. Rękopis obecnie znajduje się w Muzeum Watykańskim.

Wpisałem jeszcze wiele różnych imion, lecz nie znalazłem niczego, co miałoby związek z tym, co przeżyłem. Żadnych informacji na temat męczeńskiej śmierci kolejnego dziecka. Smutna historia Żydów w średniowiecznej Anglii miała swój niespodziewany koniec w roku 1290, kiedy usunięto ich z wyspy. Ponownie odebrało mi mowę.

Z moich dalszych badań wynikało, że śmierć świętego Williama uważana była za pierwszy przypadek rytualnego morderstwa przypisanego Żydom. Zarzut popełniania przez nich tego rodzaju zbrodni powtarzał się wielokrotnie przez całe średniowiecze i później. Anglia była pierwszym krajem, z którego całkowicie wypędzono Żydów. Przypadki ich wydalenia z poszczególnych miast czy terenów zdarzały się już wcześniej, ale nigdy na tak wielką skalę. Resztę historii znałem. Żydzi zostali przyjęci z powrotem kilka wieków później przez Olivera Cromwella, który sądził, że zbliża się koniec świata, a nawrócenie Żydów odegra w nim ważną rolę.

Wstałem od komputera, ledwo patrząc na oczy, padłem na łóżko i spałem wiele godzin.

Obudziłem się o świcie. Stojący na szafce nocnej zegar wskazywał

trzecią, co oznaczało, że w Nowym Jorku była szósta, o której to porze Pan Sprawiedliwy siedział już przy swoim biurku. Otworzyłem klapkę komórki, upewniłem się, że jest to telefon na kartę – taki, jakiego zawsze używałem – i wystukałem jego numer. Gdy tylko usłyszałem głos Pana Sprawiedliwego, powiedziałem:

– Posłuchaj mnie. Nigdy więcej nie będę zabijał. Nigdy też nie skrzywdzę nikogo, jeśli będę mógł tego uniknąć. Nie jestem już twoim płatnym zabójcą. Skończyłem z tym.

– Chcę, żebyś do mnie przyjechał, synu – odparł.

– Żebyś mógł mnie sprzątnąć?

– Lucky, jak mogłeś w ogóle tak pomyśleć? – Wydawał się szczerze urażony. – Synu, ja tylko martwię się o to, co możesz sobie zrobić. Zawsze się o ciebie martwiłem.

– Już nie musisz – powiedziałem. – Mam się czym zająć.

– A konkretnie?

– Pisaniem książki o tym, co mi się niedawno przydarzyło. Bez obaw, to nie ma nic wspólnego z tobą ani twoimi zleceniami. Wszystko to pozostanie sekretem, tak jak do tej pory. Można powiedzieć, że posłuchałem rady ojca Hamleta i pozostawię twój los w boskich rękach.

– Nie wiesz, co mówisz, Lucky.

– Wiem doskonale.

– Synu, ile razy usiłowałem ci wytłumaczyć, że przez cały czas pracujesz dla Porządnych Ludzi? Co mam zrobić, żebyś w końcu zrozumiał? Służyłeś swojemu krajowi.

– To niczego nie zmienia – odparłem. – Życzę ci szczęścia. A skoro już o nim mowa, chciałbym ci zdradzić, jak naprawdę się nazywam. Jestem Toby O’Dare i urodziłem się w Nowym Orleanie.

– Co ci się stało, synu?

– Czyżbyś znał moje nazwisko?

– Nie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się niczego na temat twojej przeszłości sprzed przyjazdu do Nowego Jorku. Nie musiałeś mi tego mówić. Zresztą i tak nie wykorzystam tej wiedzy przeciw tobie. Z naszej organizacji można się wycofać, synu. Wolno ci odejść. Chcę się tylko upewnić, że wiesz, dokąd zmierzasz.

Roześmiałem się. Po raz pierwszy od chwili powrotu wybuchnąłem śmiechem.

– Kocham cię, synu – usłyszałem.

– Wiem o tym, szefie, i na swój sposób również cię kocham. Właśnie to jest w tym wszystkim najdziwniejsze. Tylko że na nic ci się już nie przydam.

Zamierzam czegoś w swoim życiu dokonać, choćby to miało być tylko napisanie książki.

– Będiesz do mnie czasem dzwonił?

– Nie sądzę, ale zawsze możesz śledzić witryny księgarń, szefie. Kto wie?

Może pewnego dnia zobaczysz moje nazwisko na jednej z okładek. Muszę już kończyć. Dodam tylko, że... Cóż, to nie ty ponosisz winę za to, czym się stałem.

Wiedziałem, co robię. W pewien sposób nawet mnie uratowałeś, szefie. Na mojej drodze mógł stanąć ktoś o wiele gorszy niż ty i nie wiadomo, jak by się to skończyło. Powodzenia, szefie.

Rozłączyłem się, zanim zdążył coś powiedzieć.

Przez następne dwa tygodnie mieszkałem w Mission Inn, spisując na laptopie wszystko, co mnie spotkało. Opisałem swoje pierwsze spotkanie z Malachiaszem i opowiedzianą przez niego historię mojego życia. Najwierniej jak potrafiłem, zrelacjonowałem wszystko, czego udało mi się dokonać.

Opisując Flurię i Godwina, cierpiałem tak bardzo, że ledwie mogłem znieść ten ból, ale pisanie wydawało mi się jedyną właściwą rzeczą, jaką mogłem uczynić, nie przerywałem więc. I wreszcie dołączyłem garść prawdziwych informacji dotyczących Żydów z Norwich oraz książek na ich temat, nie wyłączając elektryzującego faktu, że Meir, poeta z Norwich, naprawdę istniał.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobiłem, było nadanie mojej książce tytułu: Czas Aniołów. Pokuta.

Kiedy wreszcie skończyłem, zegar pokazywał czwartą rano. Wyszedłem na opustoszały, pogrążony w kompletnej ciemności taras, usiadłem przy żelaznym stole i nie myśląc o niczym, czekałem, aż się rozwidni, a ptaki jak zawsze powitają śpiewem nowy dzień. Mógłbym ponownie zapłakać, lecz przez moment wydawało mi się, że nie mam już więcej łez.

Jeden fakt pozostawał niezaprzeczalny: nie wiedziałem, czy wszystko to wydarzyło się naprawdę. Nie potrafiłem stwierdzić, czy to ja wyśniłem całą historię, czy zostałem w nią przez kogoś wciągnięty. Wiedziałem tylko, że jestem kompletnie rozdarty i zrobiłbym wszystko, dosłownie wszystko, by ponownie ujrzeć Malachiasza, usłyszeć jego głos, spojrzeć mu w oczy, po prostu się upewnić, wyzbyć wątpliwości, które doprowadzały mnie do szaleństwa. Po głowie kołatała mi się jeszcze jedna myśl, ale nie mogę sobie jej teraz przypomnieć. Po prostu zacząłem się modlić i ponownie błagać Boga o przebaczenie za to, co przeciw Niemu uczyniłem. Myślałem o wszystkich swoich ofiarach, dostrzeżonych w tłumie, i za każdą z osobna odmówiłem płynący prosto z serca akt żalu. Zdumiewało mnie, że wciąż pamiętałem wszystkich, nawet ludzi, których zamordowałem jako pierwszych, wiele lat temu.

Później modliłem się na głos:

– Malachiaszu, nie opuszczaj mnie. Wróć, choćby po to, by wskazać mi drogę. Wiem, że nie zasługuję na twój powrót, tak jak nie zasłużyłem na twoje pierwsze objawienie, lecz modlę się do ciebie o to, byś mnie nie opuszczał.

Aniele Boży, stróžu mój, potrzebuję cię.

Nikt nie mógł usłyszeć mojego głosu na tym pustym, ciemnym tarasie.

Czułem łagodny powiew porannej bryzy i widziałem garść gwiazd rozsypanych po mglistym niebie.

– Brakuje mi wszystkich osób, które tam zostawiłem – kontynuowałem rozmowę z Malachiaszem, choć go przy mnie nie było. – Brakuje mi miłości, którą do nich poczułem, i tej, która emanowała z ciebie. Tęsknię za szczęściem, prostym szczęściem, jakie napełniło mnie, kiedy uklęknałem w Notre Dame i dziękowałem niebiosom za to, co dane mi było przeżyć.

Malachiaszu, wróć do mnie, niezależnie od tego, czy wszystko to było prawdą czy fikcją.

Zaniknąłem powieki i wyteżyłem słuch, czekając na dźwięki anielskiej pieśni. Oczami wyobraźni widziałem, jak przed tronem Boga stoją anielskie postacie, skąpane w jasności, i słyszałem niekończący się hymn chwały.

Być może sprawiła to miłość, jaką odczuwałem do ludzi z tych odległych czasów, ale do moich uszu rzeczywiście dotarła niewyraźna melodia. Może słyszałem ją wtedy, gdy Meir, Fluria i reszta ich rodziny bezpiecznie opuścili Norwich.

Otworzyłem oczy dopiero po długim czasie.

Dzień wstał na dobre i wszystkie barwy wokół mnie były bardzo wyraziste. Przyglądałem się właśnie fioletowemu geranium, które otaczało pyszniące się w tokańskich donicach drzewka

pomarańczowe, i podziwiałem jego piękno, gdy nagle spostrzegłem siedzącego naprzeciw mnie Malachiasza.

Uśmiechał się do mnie i wyglądał dokładnie tak samo jak podczas naszego pierwszego spotkania: miał delikatną budowę ciała, łagodnie faliste włosy oraz błękitne oczy. Siedział lekko przechylony w bok, opierając się na łokciu, i prawie nie zwracał na mnie uwagi, jakby przebywał tu od dłuższego czasu.

Zacząłem drżeć na całym ciele. Podniosłem ręce w górę, jak do modlitwy, żeby ukryć malujące się na mojej twarzy zdumienie, i wyszeptałem łamiącym się głosem:

– Bogu niech będą dzięki.

Malachiasz roześmiał się łagodnie.

– Doskonale się spisałeś – powiedział.

Po policzkach znowu pociekły mi łzy. Płakałem tak rzewnie jak w dniu swojego powrotu. Do głowy przyszedł mi cytat z Dickensa, który dawno temu zapamiętałem. Wypowiedziałem go na głos:

– „Bóg wie, że nie należy nigdy wstydić się własnych łez. Są one jak deszcz obmywający pył, który zalega nasze stwardniałe serca”.

Słyszając to, uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Gdybym był człowiekiem, to też bym płakał – szepnął. – To niedokładny cytat z Szekspira.

– Skąd się tutaj wziąłeś? Dlaczego wróciłeś?

– A jak sądzisz? – zapytał. – Mamy następne zadanie i niewiele czasu do stracenia, ale jest jeszcze jedna rzecz, którą musisz zrobić, zanim wyruszymy, i to możliwie szybko! Czekałem przez wszystkie te dni, żebyś się tym zajął, lecz byłeś zbyt pochłonięty spisywaniem swojej historii i najwyraźniej nie domyśliłeś się, co powinieneś teraz uczynić.

– O co może chodzić? Pozwól mi to załatwić, żebyśmy mogli wyruszyć w kolejną misję!

Byłem tak podekscytowany, że ledwie mogłem usiedzieć, lecz mimo to zostałem na swoim miejscu, ze wzrokiem utkwionym w twarzy Malachiasza.

– Czyżby historia Godwina i Flurii niczego cię nie nauczyła? – zapytał.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Zadzwoń do swojej dawnej dziewczyny w Nowym Orleanie, Toby O'Dare. Masz dziesięcioletniego syna, który cię potrzebuje.

godz. 13.40 21 lipca 2008

OD AUTORKI

Ta książka jest dziełem fikcyjnym, jednak niektóre z opisanych w niej postaci i wydarzeń zostały zainspirowane rzeczywistymi ludźmi i faktami.

Meir z Norwich istniał naprawdę, a manuskrypt jego wierszy, pisanych po hebrajsku, znajduje się w Muzeum Watykańskim. O jego życiu wiemy jednak niewiele więcej ponad to, że mieszkał w Norwich i że pozostawił po sobie wiersze. Jego sylwetkę opisał V.D. Lipman w dziele *The Jews of Medieval Norwich*, opublikowanym przez londyńskie Stowarzyszenie Historyczne Żydów. Książka zawiera hebrajskie wiersze Meira. Do tej pory – o ile mi wiadomo – nie przetłumaczono ich na angielski.

Podkreślam raz jeszcze, że sylwetka Meira w tej powieści jest fikcyjna i została przeze mnie stworzona jako wyraz hołdu wobec osoby, o której mamy tylko szczątkowe informacje.

Użyte w powieści imiona, szczególnie Meir, Fluria, Lea i Rosa, były faktycznie nadawane przez Żydów z Norwich i zostały przeze mnie zaczerpnięte z książki V.D. Lipmana oraz z innych źródeł. Postacie te również są fikcyjne. Izaak z Norwich, doskonały żydowski lekarz, istniał naprawdę, ale jego charakterystyka jest wytworem mojej wyobraźni.

Norwich musiało mieć w tamtych czasach szeryfa, a w źródłach zapewne zachowało się jego imię, podobnie jak biskupa, ale nie chciałam posługiwać się ich prawdziwymi imionami ani szczegółami z życia, jako że są fikcyjnymi bohaterami tej powieści.

Święty William z Norwich żył naprawdę, a tragiczna historia oskarżenia Żydów o zamordowanie go została opisana przez Lipmana, jak również w książce Cecil Roth zatytułowanej *A History of the Jews in England*, opublikowanej przez Clarendon Press. Dzieła te zawierają także informacje na temat świętego Hugh z Lincoln oraz studenckich zamieszek przeciw Żydom w Oksfordzie. Dzieła Roth i Lipmana stanowiły dla mnie niewyczerpane źródło wiedzy.

Nieocenioną pomocą w pisaniu tej powieści okazały się książki, takie jak: *The Jews of Medieval Western Christendom, 1000–1500* Roberta Chazana (publikacja Cambridge University Press) oraz *The Jew in the Medieval World: A Source Book, 315–1791* Jacoba Radera Marcusa (publikacja Hebrew Union College Press z Cincinnati). Dwa następne cenne źródła to *Jewish Life in the Middle Ages* Israela Abrahamsa (publikacja Jewish Publication Society of America) oraz *Medieval Jewish Civilization: An Encyclopedia* (redakcja Norman Roth, publikacja Routledge). Korzystałam też z wielu innych książek, których nie sposób tu wymienić.

Czytelnicy zainteresowani okresem średniowiecza mają do dyspozycji nieprzebraną ilość źródeł, także tych poświęconych życiu codziennemu ówczesnych ludzi. Istnieją nawet ilustrowane albumy na ten temat, przeznaczone dla młodzieży, ale każdy może w nich odnaleźć coś pouczającego. Wiele książek opisuje średniowieczne uniwersytety, miasta, katedry i tym podobne. Jestem szczególnie wdzięczna wydawnictwu Jewish Publication Society of America za liczne publikacje dotyczące żydowskiej historii i kultury. Cennym źródłem inspiracji podczas pisania tej powieści był

również Ben Hur Lewisa Wallace'a – znakomite i nowatorskie dzieło, które spodoba się zarówno chrześcijanom, jak Żydom. Mam nadzieję, że moja książka znajdzie uznanie w oczach wyznawców

wszystkich religii, a także niewierzących. Moim celem było uchwycenie oraz rzetelne opisanie skomplikowanych stosunków pomiędzy Żydami i chrześcijanami w czasie zagrożenia i prześladowań tych pierwszych.

Jak słusznie powiedział jeden z badaczy, Żydów w średniowieczu nie można postrzegać wyłącznie przez pryzmat ich cierpienia. Z inteligencji żydowskiej wywodziło się wielu wybitnych myślicieli i pisarzy, takich jak Majmonides i Rashi, których imiona kilkakrotnie pojawiają się na kartach tej powieści. Komunikacja wewnątrz wspólnoty żydowskiej, jej organizacja oraz wiele innych aspektów życia, zostały bogato udokumentowane przez rzeszę badaczy i wciąż zbierane są nowe fakty dotyczące żydowskiej historii.

Jeśli chodzi o anioły oraz rolę odegraną przez nie w dziejach ludzkości, chciałabym odesłać zainteresowanych czytelników do książki, której tytuł

pojawił się w powieści – The Angels ojca Pascala Parente, wydanej przez TAN

Books and Publishers, Inc., i która podczas pisania stała się dla mnie biblią.

Dużo uwagi poświęciłam też Aniołom i demonom Petera Kreefta (publikacja Ignatius Press, polskie wydanie Wydawnictwo M). Znakomitym i rzetelnym źródłem informacji na temat aniołów oraz związanych z nimi wierzeń chrześcijańskich jest Suma teologiczna świętego Tomasza z Akwinu.

Chciałabym podziękować Wikipedii, encyklopedii online, za hasła dotyczące Norwich, zamku i katedry w tym mieście, Majmonidesa, Rashiego oraz świętego Tomasza. Korzystałam również z innych pomocnych przy pisaniu tej powieści stron, lecz było ich zbyt wiele, by je tutaj wszystkie wymienić.

Dziękuję także hotelowi Mission Inn oraz misji San Juan Capistrano, które rzeczywiście istnieją i stanowiły dla mnie cenne źródło inspiracji.

Moja powieść miała w zamierzeniu dostarczyć czytelnikom rozrywki, jeśli jednak zachęciła niektórych z nich do dalszych badań, te uwagi powinny okazać się pomocne.

Na zakończenie chciałabym przypomnieć tekst mojej żarliwej modlitwy: Aniele Boży, stróże mój,

Ty zawsze przy mnie stój,

Teraz i na wieki, dziękuję Ci.

Anne Rice

Błogosławcie Pana, wszyscy Jego aniołowie,

pełni mocy bohaterowie,

wykonujący Jego rozkazy,

by słuchać głosu Jego słowa.

Błogosławcie Pana, wszystkie Jego zastępy,

słudzy Jego, pełniący Jego wolę!

Błogosławcie Pana, wszystkie Jego dzieła,

na każdym miejscu Jego panowania:

błogosław, duszo moja, Pana!

Ps 103

Table of Contents

